

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/589

1996



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

G. NIVAT:

O DYSYDENTACH RAZ JESZCZE

J. KARSKI:

MOJE UWAGI O SPRAWACH POLSKICH

S. ABNER: **Z NORDYCKIEJ PERSPEKTYWY**

A. STACH: **„DIALOG” NA TEMAT POLONII
W NIEMCZECH**


SPIS RZECZY

Georges Nivat:	<i>O dysydentach raz jeszcze</i>	3
Mariusz Wilk:	<i>Brat G.</i>	17
J. Zdzisław Szyteyko:	<i>Amerykańskie kontrasty</i>	21
Andrzej Romer:	<i>Via Baltica</i>	29
WIERSZE		
Lucja Gliksman:	<i>Gare St. Lazare</i>	39
Mira Kuś:	<i>Epitafium. – Ścieżka</i>	40
Janusz Szuber:	<i>Pasterz. – Arka Przymierza. – Saboty</i>	41
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Jan Karski:	<i>Moje uwagi o sprawach polskich</i>	43
Stefan Abner:	<i>Z nordyckiej perspektywy</i>	51
KRAJ		
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	65
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	75
WYWIADY „KULTURY”		
M. Tymowski – i W. Krzemińska:	<i>Polska polityka naukowa. (Rozmowa z Janem K. Frąckowiakiem)</i>	83
SPRAWY I TROSKI		
Paweł Ratyniecki:	<i>Nauki polskiej droga przez mękę</i>	91
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	97
Bohdan Osadczuk:	<i>Ukraińskie orientacje</i>	101
Andrzej Stach:	<i>„Dialog” na temat Polonii w Niem- czech</i>	104
KRONIKA KULTURALNA		
Bolesław Taborski:	<i>Kontakt 96</i>	111
Jerzy R. Krzyżanowski:	<i>Ostatni apel Sienkiewicza</i>	118
Henryk Sienkiewicz:	<i>Patrzcie na naszą Polskę</i>	120
Felicja Kęszczyka- Sznaydrowa:	<i>Pogrzeb Henryka Sienkiewicza</i>	126
–	<i>Komunikat Komisji Fundacji Stypen- dialnej im. Jana i Suzanne Brzę- kowskich</i>	129
–	<i>Komunikat Komisji Fundacji Stypen- dialnej im. Stanisława Lama</i>	130
NOTATKI REDAKTORA 131		
KSIĄŻKI		
Bogumiła Berdychowska:	<i>Rzecz o trudnym dialogu</i>	138
Stefania Kossowska:	<i>„Ruchome schody”</i>	143
Tadeusz Chrzanowski:	<i>Nieco wspomnień o Logofagach</i>	145
Piotr Daszkiewicz:	<i>Uchronić ich losy od zapomnienia</i>	150
–	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	153
–	● <i>Wydarzenia miesiąca</i>	154
–	● <i>Wykaz książek Biblioteki „Kultury”</i>	157
–	●	
Kazimierz Zamorski:	<i>Apel do żołnierzy II Korpusu</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik/Octobre 1996

INSTYTUT  **LITERACKI**

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Zdzisław Bobrowicz, Princeton, NJ (USA) – po raz 6-ty – dol. 100,00	F. 500,00
Dr Edward Kossoy, Conches GE (Szwajcaria) – Fr. szw. 670,00	F. 2.680,00
Stanisław Kwiatkowski, Cleveland, OH (USA) – po raz 2-gi – dol. 20,00	F. 100,00
Dr Andrzej Więckowski, Champaign, IL (USA) – po raz 2-gi, dol. 26,00	F. 130,00

DZIĘKUJEMY !

ZMIANA NUMERÓW TELEFONÓW

Od 18 października 1996 nasz numer telefonu będzie 10-cyfrowy:

01 39 62 19 04

A numer Faxu: 01 39 62 57 52

Przy łączeniu się z nami z zagranicy numer pozostaje bez zmian:

(33) 1 39 62 19 04

O dysydentach raz jeszcze

Czy przed terminem „ruch dysydencki” należy stawiać przedrostek „ex”, tak jak to robi eseista Matwiejewicz mówiąc o świecie współczesnym? Ex-ZSSR i ex-dysydenci? W pewnym sensie na pewno tak. Na długo przed upadkiem komunizmu pisano o dysydentach w czasie przeszłym (np. w książce Jean Chiamy i Jean-François Soulet wydanej w 1982 roku przez Editions du Seuil). Ja sam w 1978 roku mówiłem nieostrożnie o końcu ruchu dysydenckiego. Chciałem przez to powiedzieć, że nowa polityka Breżniewa, polegająca na wypędzaniu dysydentów z kraju, położyła kres ruchowi pewnego typu. Poza zasięgiem tyranii dysydent stawał się wygnańcem, banitą, jakimś Victorem Hugo na wyspie Jersey. Nie był już zamknięty w celi więziennej, nie czekał w korytarzach sądów na decyzję niesprawiedliwego trybunału dotyczącą swego kolegi. Pamiętamy epokę, kiedy Sacharow czy generał Grigorenko, robotnik Marczenko czy pisarz Maksimow w oczekiwaniu na wiadomości o losie innego dysydenta znosili ze stoickim spokojem wyzwiska i bicie. Ta wielka epoka nadała nowy sens słowu, które obiegiło świat. Dawniej nazywano dysydentem odszczepieńca w ramach jednego plemienia w czasach francuskiej wojny kolonialnej w Maroku, albo wewnątrz jednej partii czy ruchu, w tym wypadku chodziło o odstępstwo w stosunku do całego społeczeństwa, do ustroju – nawet do utopii. Epoka ta nie była wielka ani liczbą działaczy, ani dzięki osiągniętych rezultatom, ale przez to, że dysydenci odwoływali się do wartości uniwersalnych. Nie obeszło się bez męczenników, których nie wolno zapomnieć: poeta Gabaj (Marc Charitonov

poświęcił mu piękny esej, prawdziwy „nagrobek” literacki), młody poeta Gałanskow, Marczenko, którego śmierć w więzieniu przyspieszyła na pewno początek „pierestrojki” Michaiła Gorbaczowa.

Wielkość twórców ruchu dysydenckiego w ZSSR i w krajach poddanych dyktaturze komunizmu polegała wyłącznie na tym, że odwoływali się do uniwersalizmu pewnych wartości, nawet jeżeli sami rzadko mieli świadomość wszystkich implikacji swoich czynów i na ogół nie powoływali się na wielkie religie, w szczególności na chrześcijaństwo (z wyjątkiem dysydentów chrześcijan, mniej licznych choć było ich dużo, zwłaszcza w środowisku baptystów. Irina Emeljanowa zostawiła wzruszające świadectwo o kobietach baptystkach w swoim obozie, które co rano, bez względu na sytuację, śpiewały pieśni nabożne i oprócz własnej pracy wykonywały pracę towarzyszek zbyt słabych, żeby jej podobać.) W ich odrzuceniu instrumentalizacji człowieka pobrzmiewa odniesienie do Kanta: „Działaj tak, abyś mógł motywy twoich czynów sformułować jako prawo uniwersalne”. Kant nazwał to imperatywem kategorycznym, i stąd wypływa pierwszy postulat rozumu praktycznego: człowiek jest stworzony do wolności.

Mówiono o dysydentach (ja sam to robiłem w związku z Sacharowem): święci laicy, Antygoty, samotni bohaterowie buntujący się w imię wyższego nakazu moralnego, pokojowi buntownicy. Jeden z pierwszych wśród nich nauczył ich, że należy przeciwnika usidlić, biorąc na serio prawa i konstytucję, a także umowy międzynarodowe, które sam podpisał. Dlaczego reżym sowiecki podpisał te umowy, którymi gardził na początku swego istnienia? Chyba w trosce o zdobycie szacunku i uznania; stąd ta fasada prawna, na której oparli się niepokorni. Dzisiaj ich dzieło jest ukończone, bo padł potwór, którego zwalczali. (Ma się rozumieć, że inne zadania czekają na kolejnych dysydentów, bowiem opór moralny musi wciąż rodzić się od nowa).

Nadszedł czas, kiedy należy prowadzić studia nad dysydentami, tak jak się bada każde doniosłe zjawisko historyczne, ale w pierwszym rzędzie trzeba zrozumieć filozoficznie ich pojawienie się, pod wieloma względami graniczące z cudem. Michelet, którego wrogość do Rosji tamtej epoki jest znana,

nawrócił się na kult dekabrystów kiedy Hercen wyjaśnił mu tę kartę historii swego kraju. W ten sposób powstały *Les Légendes nordiques*. Ruch dysydencki lat 1960-70 to dalszy rozdział tych legend.

Zacznijmy od dziwnej symbiozy, w jakiej dysydenci żyli z reżymem, przeciwko któremu walczyli. Książka historyka François Furet, *Le Passé d'une illusion*, daje nową interpretację tego złudzenia, jakim był komunizm, złudzenia nierozłącznie związanego ze zbrodnią. Furet, za Hanną Arendt i innymi przyjaciółmi i wrogami despotyzmu, porównuje komunizm z nazizmem, zestawia dwa oblicza totalitaryzmu w Europie. Pokazuje, jak się one nawzajem wzbogacały, bo nawet jeżeli ich horyzont intelektualny był różny, ich pojęcia mas, władzy mas i przemocy były identyczne.

Dysydenci nie pojawiają się w szczytowej epoce totalitaryzmu. Należą do fazy schyłkowej, kiedy w systemie komunistycznym, już podminowanym przez tajny raport Chruszczowa na XX zjeździe, pojawiają się pierwsze oznaki jego zwątpienia o sobie. Użycie przemocy nie jest jeszcze wtedy wykluczone, czego dowodem jest agresja na Czechosłowację 21 sierpnia 1968 roku. Stała się ona zapłonem ruchu dysydenckiego, skoro nazajutrz na Placu Czerwonym protestuje grupa młodych, wśród nich nieustraszona matka rodziny, poetka i dziennikarka, niezmierzona bojowniczką, Natalia Gorbaniewska. Ale ten akt przemocy jest chwiejny, niekompletny. Już bierze się pod uwagę reakcje z zewnątrz, przeprowadza się delikatną kalkulację ryzyka, jakie stanowi zagrożenie nuklearne. Nawet gułag nie jest już systematyczną fabryką „umarlaków”. Obóz Siniawskiego to już nie obóz Szafamowa. Nawet w najgłębszych ostępach administracji gułagu bierze się po cichu pod uwagę protesty nowego typu: Amnesty International wysyła do kierownictwa tysiące kartek pocztowych, wyrazy indywidualnego oburzenia opartego na odrodzonej idei praw człowieka, które zlewają się w jedną wspólną rzekę protestu na całym świecie.

Wtedy właśnie pojawia się na scenie historii Rosji sowieckiej ta nowa postać (nie ulega wątpliwości, że przedtem też istnieli bohaterowie oporu moralnego, ale ci znikali natychmiast). Dysydent wykorzystuje dążenie reżymu do szacowności, które doprowadza go do rokowań w Helsinkach.

Wielu myślało wtedy, że Zachód padł ofiarą oszustwa, ale dalsze wypadki wykazały, wprost przeciwnie, że dysydenci od razu dostrzegli korzyść, jaką mogli wyciągnąć z tych tekstów, które wprawdzie były ozdobą dla reżymu Breżniewa, ale mimo wszystko stały się punktem odniesienia dla świata. Dysydent lat 70-tych jest więc bojownikiem pokojowego ruchu oporu, działającym w oparciu o prawodawstwo sowieckie i o umowy międzynarodowe podpisane przez sowiecką władzę. Bierze reżym za słowo i te ukłucia komara niewypowiedziane irytują potwora. Przeciw sobie dysydent ma policjanta albo sędziego sowieckiego, który, w braku wyraźnych dyrektyw, nie jest pewny siebie i chciałby się go pozbyć jak najprędzej. Minęła już epoka sławnych „trójek”, tych trybunałów administracyjnych skazujących wszystkich pod rząd na 25 lat. Nie miejsce tu na debatę „teologiczną” o powodach rozmiękczenia systemu stalinowskiego. Reżym stracił „wielki rozmach”, nie miał już możliwości stosowania okrucieństwa bez granic, entuzjastycznego. Dzieci przywódców słuchały w ukryciu Radia Liberty i wielu z nich wyrosło na „nieprawomyślnych”. Z opóźnieniem o jedną generację pragnienie wzbogacenia się szerzyło spustoszenia, ale ideologia działała nadal jak cement wiążący i można było myśleć, jak socjolog Zinowiew i cała armia zachodnich sowietologów, że właśnie na skutek owego rozmiękczenia system osiągnął swój punkt stabilności prawie doskonałej. Wielu widziało już millenium...

W zakamarkach reżymu było więc wielu „nieprawomyślnych”, ale mało dysydentów. Albowiem dysydent działał z odkrytą twarzą. Bo, wbrew całej armii sowietologów czy ekspertów CIA (nieco później zaskoczonych implozją systemu), dysydent wierzył, że reżym niebawem się zawali. Dysydent był tym małym, bezrogim cielęciem, które uparcie bodło potężny dąb. Ilu ich było w bohaterskiej epoce „Kroniki bieżących wydarzeń” odbijanej na powielaczu przez garstkę odważnych, ściganych przez gigantyczną armię KGB? Nie więcej niż kilkuset. Nie znajdowali zrozumienia u ludności nawykłej do stawiania oporu drogą zaradności i sprytu, a nie w imię zasad. Ale tych kilkuset było rozsianych na całym terytorium i we wszystkich warstwach społeczeństwa. Była to, jak mówi generał Grigorenko w swoich

„Wspomnieniach”, „republika dysydentów”. Młody student Andriej Amalrik stawiał czoła KGB; bohaterski Władimir Bukowski, katom nowego typu, psychiatrom KGB w Instytucie Serbskim (odważnie zdemaskowanym przez Feinberga i Borysowa); fizyk Sacharow, zbirom otaczającym jego dwuizbowy domek, w którym żył na zesłaniu w mieście Gorki, gdzie cudzoziemcy nie mieli wstępu; generał Grigorenko zerwał ze swoją kastą i on także został zamknięty w szpitalu wariatów. Wszystkie te starcia dysydenta z policjantem, z psychiatrą, który zdradził przysięgę Hipokratesa, z sędzią czekającym na telefon „z góry”, są wzorowymi aktami samotnej odwagi.

W tej walce każdy z dysydentów rozbudował swoje *ego*, wyrobił sobie nerwy ze stali, a nade wszystko niszczycielską ironię. Bo ironia, ta broń literacka, grała kapitalną rolę nie tylko w tekstach Sołżenicyna, w których funkcjonuje jak nurt podskórny, ale przede wszystkim w gestach, w „tekście” życia dysydentów. Wokół tych wybitnych jednostek kształtuje się z wolna mgławica sympatyków; są to intelektualiści zrywający ze zwykłą ostrożnością (ostre krytyki szeptem wypowiedane w kuchni, ezopowy język w tekstach publikowanych, zabawa w chowanego z bezradną cenzurą); ironia jest nieodłączną cechą tych ludzi, tak różnych od siebie, którzy przewyżczyli w sobie konformizm społeczny i strach odkrywając, że reżym też się ich boi. Dzięki temu dysydenci – nawet jeżeli nie byli pisarzami i poza ich dysydencką przygodą ich pisarstwo było przeciętne – podnosząc prowokację do kategorii estetycznej stali się pisarzami wysokiej rangi. Wystarczy wymienić „Dziennik skazanego na śmierć” Edwarda Kuzniecowa, „Mimowolną podróż na Syberię” Amalrika, „I powraca wiatr” Bukowskiego. Chodzi tu o coś więcej niż świadectwo (jako świadectwo są to teksty niezaprzeczalnie wybitne), chodzi o dzieła ironii, poematy energii wywrotowej, której najlepszym chyba przykładem w dawniejszej literaturze rosyjskiej są moim zdaniem „Rzeczy minione i rozmyślania” Aleksandra Hercena.

Inną kategorią dysydentów byli artyści, doprowadzeni stopniowo, w pewnym sensie logiką sztuki, do protestu przeciwko smutnemu konformizmowi, do którego doszedł sphytkowy totalitaryzm, już nie naprawdę totalny ale wciąż

trzymający w ręku monopol władzy. W początku lat 1970 pojawia się niezwykle fenomen literatury zbuntowanej, odrzucającej wzory i gorsety, w których była uwięziona (za cenę bogatych przywilejów). Zbuntowani, to: Wiktor Niekrasow, Georgi Władimow, Władimir Maksimow, a także młodzieńki poeta Vadim Delaunay (jeden z sześciu protestujących na Placu Czerwonym w sierpniu 1968; niestety zmarł on przedwcześnie w Paryżu, padając ofiarą alkoholizmu), nie mówiąc już o pionierach takich jak Josif Brodski, którego proces w 1962 pozostanie w historii jako pomnik pojedynku poety z władzą, jak później Julij Daniel i Andriej Siniawski, którzy, oskarżeni o wydanie za granicą pod pseudonimami „Opowieści fantastycznych”, bronili się w procesie od zarzutu antysowieizmu. Andriej Siniawski wyniósł z lat obozu książkę „Głos w chórze”, ukazującą gułag (gułag Chruszczowa, złagodzony) jako skrót Rosji i jej ludów, i miejsce intelektualnego odczytania całej jej kultury.

„Literatura gułagu”, kapitalne świadectwo nieludzkiego systemu, jest i pozostanie pomnikiem najwyższej wagi w literaturze rosyjskiej (i europejskiej) XX-go wieku. Ale z punktu widzenia ruchu dysydenckiego nie jest ona jednolita. Szałamow został w Rosji sowieckiej i poddał się pokornie – był już wtedy starcem – kiedy zażądano od niego, by potępił wydanie za granicą „Opowiadań kołymskich”. W końcu było to bez znaczenia, skoro tekst arcydzieła istniał i nie mógł już zginąć. „Stroma droga” Ewgenii Ginzburg, palące świadectwo nawrócenia w celi więziennej (jego echo pobrzmiwa w dziele jej syna, Wasyla Aksionowa, zwłaszcza w „La Brûlure”), ukazała się w „tamizdacie” (wydanie zagraniczne), autorka nie była jednak czynną dysydentką, zadowolona się pisaniem. Sołżenicyn jest wypadkiem szczególnym. W jego bojowej książce „Bodło cieleń dąb” wielokrotnie powraca żal, że autor nie może otwarcie walczyć u boku dysydentów w ich potyczkach z władzą; oszczędza się, szykując do potężnego ciosu, jakim będzie poemat zemsty: „Archipelag Gułag”. I rzeczywiście, wydanie pierwszego tomu „Archipelagu” wywołało niesłychaną burzę, a autor został skazany na wygnanie z ZSSR. Władza wybrała formę kary szeroko stosowanej w starożytności, a we Florencji jeszcze w średniowieczu, skoro Dante padł jej ofiarą. Banicja była używana na początku ery

sowieckiej, na przykład w stosunku do Trockiego, ale niechętnie, czego dowodem będzie zamordowanie w Meksyku na rozkaz Stalina jego dawnego rywala. Chodzi bowiem o to, że reżym skazujący na wygnanie chce mieć pewność, że poza jego zasięgiem panują ciemności i nicłość. Proskrybuje się, bo wygnanie z miasta wygląda na karę najbardziej radykalną: niechaj dusza winnego błądzi w pustynnym *no man's land* otaczającym miasto! Platon przewidział tę karę dla poetów, nie ma dla nich miejsca w jego państwie idealnym. Nie znając Platona, Biuro Polityczne podzielało jego zdanie. Mimo wszystko, banicja była rzadko stosowana w Rosji sowieckiej. W czasach terroru chodziło o zlikwidowanie wroga, nie o skazanie go na błąkanie się po świecie (na przykład Trocki). Za Breżniewa tylko Sołżenicyn i Bukowski zostali wygnani. Od wszystkich innych zażądano, żeby w pewnym sensie wzięli udział w decyzji wygnania. Pozbawieni przywilejów pisarze czy artyści (muzyk Rostropowicz, tancerz Nurejew, pisarz Niekrasow) musieli wyrazić zgodę na zesłanie na przekłety Zachód, musieli o nie prosić.

Generalnie rzecz biorąc, nie wiemy dokładnie (i nie do wiemy się, dopóki archiwa nie zostaną integralnie opublikowane), dlaczego władza zaaplikowała ten upust krwi własnemu systemowi. Poczynając od 1974 roku mnożą się wyjazdy mniej lub bardziej przymusowe i wielu przedstawicieli sowieckiej elity artystycznej znajduje się na Zachodzie. „Mimowolny dysydent” – mówi ładnie Efim Etkind w książce, w której opowiada swoją przygodę: jako profesor Instytutu Pedagogiki w Leningradzie, pewnego pięknego dnia stanął przed obliczem swoich kolegów, wezwany na seans „krytyki”, specjalność reżymu. Niebawem trzej bohaterowie „Pierwszego kręgu”, którzy figurują jak trzej muszkieterowie Dumasa na słynnej fotografii z 1972 roku zatytułowanej „20 lat później”, to znaczy Sołżenicyn, Dimitri Panin i Lew Kopelew (w powieści Nierzin, Sołogdin i Rubin), znaleźli się wszyscy za granicą. Ale nie spotkali się więcej. Nie byli już solidarni, każdy dążył do innego celu, zwłaszcza Sołżenicyn, któremu zupełnie nie odpowiadały zebrania „exów”. On widział, i widzi do dziś, swoją misję jako misję pisarza-proroka...

W ten sposób dochodzi do powstania ruchu dysydenckiego na obczyźnie, do organizacji oporu, w którym główną

rolę odegrał Władimir Maksimow. Założył on pismo *Kontynent*, miejsce spotkania i trybunę, gdzie mógł wyopowiadać się cały ruch oporu moralnego. Stworzył „Międzynarodówkę Oporu”, bo potrafił związać się na Zachodzie z siłami zwalczającymi totalitaryzm gdziekolwiek by on istniał. Dla Maksimowa i dla tych, którzy się do niego wtedy przyłączyli, jak Bukowski, oznaczało to rozszerzenie ich punktu widzenia poza problematykę czysto sowiecką. Ruch ten przeżył wielkie chwile. Ja sam miałem przywilej uczestniczenia w nich niekiedy, na przykład w głośnej „Biennale del Dissidento” w Wenecji, w 1977 roku, której szczytowym momentem był koncert Aleksandra Galicza (nie wiedzieliśmy wtedy, że to jego ostatni koncert). Choć nie znał języków obcych i potrzebował tłumaczy, Maksimow umiał znaleźć wspólny język z ludźmi takimi jak Yves Montand, Eugène Ionesco czy polski malarz Józef Czapski, autor wybitnej książki „Na nieludzkiej ziemi”. Historia pisma *Kontynent* nie jest jeszcze napisana, ale nie ma wątpliwości, że zostanie, tak jak powstała historia *Roczników Ojczyzny*, wielkiego pisma rosyjskiego z XIX-go wieku, podobnie jak trzeba będzie opracować historię *Roczników Współczesnych*, wielkiego pisma pierwszej emigracji rosyjskiej. Narzucają się tu dwa porównania: z *Kolokołem* Hercena, którego uderzenia wymierzone w despotyzm carski przyniosły owoce i wpłynęły na reformatorskie decyzje Aleksandra II, i z *Kulturą*, polskim pismem w Paryżu, którym od przeszło pół wieku kieruje jeden człowiek, Jerzy Giedroyc. *Kulturę* czytała cała myśląca Polska, czego nie można powiedzieć o *Kontynencie*: przenikanie pisma do ZSSR było mniej rozpowszechnione i dużo bardziej ryzykowne. (Opowiadano, że w ataku bezsilnej złości Gomułka rzucił na ziemię i podeptał numer *Kultury*.)

Oba te pisma odegrały jednak podobną rolę jako miejsca spotkania literatury żywej i placówki czujnego oporu wobec metropolii poddanej komunistycznemu despotyzmowi. W pierwszym numerze *Kontynentu* Maksimow odwołuje się do Hercena, ale podkreśla, że *Kolokoło* był pismem wyłącznie politycznym – w tamtych czasach nie było potrzeby „tamizdatu”, bo literatura piękna była wydawana w Rosji. Inaczej mówiąc, despotyzm nie pretendował do dyrygowania wyobraźnią twórczą. To mniej więcej prawda, choć Tołstoj

miał kłopoty z cenzurą, bo „Zmartwychwstanie” było powieścią dydaktyczną, polityczną, właściwie czymś w rodzaju ówczesnego „Archipelagu Gułag”, z tą zasadniczą różnicą, że wydana w Rosji. Wyjaśniając tytuł czasopisma, Maksimow mówi, że podobała mu się „zawartość słowa kontynent”: ten tytuł obejmował o wiele więcej niż rosyjski ruch oporu, oznaczał, że przywłaszczenie kultury w reżymach komunistycznych sięgało od Kuby po Chiny (i trwa nadal, o tym nie należy nigdy zapominać, ale między Chinami i Kubą centralne ogniwo – jeśli można tak powiedzieć, macierzyste imperium – upadło). Słowa zachęty przesłane przez Sacharowa i Sołżenicyna w chwili kiedy powstawało pismo Maksimowa świadczyły o głębokiej jedności ówczesnego ruchu dysydenckiego. Na dwóch skrzydłach jego dwaj przywódcy, jeden bardziej laicki i internacjonalistyczny, wywodzący się z Oświecenia, drugi raczej narodowy w duchu i z inspiracji bardziej religijny, obaj powitali *Kontynent*.

Niestety, przyszło rozczarowanie. Opór a wygnanie to dwie różne rzeczy. Wygnanie jest zawsze ciężkim przeżyciem i to jest naturalne, niemniej niektóre formy wykluczenia i mściwe polemiki przybrały ton niestłuchanie gwałtowny, zwłaszcza między Maksimowem i Siniawskim. Te namiętne wybuchy też będą kiedyś przedmiotem badań dla historyka. Obok *Kontynentu* powstała *Syntaxis* Siniawskich, pismo bardzo prowokacyjne, o zupełnie odmiennej estetyce. Przed *Kontynentem* były już inne próby, na przykład *Nowy Kolokoło* Bielinkowa, ale jego założyciel, który wcześniej uciekł na Zachód, tak utalentowany i tak rozpaczliwie pesymistyczny, umarł niebawem. W 1992, kiedy skończyła się *pierestrojka*, to znaczy kiedy upadła pod ciosami rosyjskiego społeczeństwa, bardziej ewoluowanego niż na ogół myślano, społeczeństwa, które w sumie żądało prawa do swobód obywatelskich, a nie tylko oświeconego despoty, Władimir Maksimow uznał, że dokonał swego dzieła przewodnika ruchu dysydenckiego i postanowił przenieść pismo do kraju, żeby dać mu drugi oddech (czego Giedroyc nie zrobił: *Kultura* jest nadal zakotwiczona w Paryżu i należy przypuszczać, że nie przeżyje swego twórcy i pana po Bogu). Maksimow wybrał na swego następcę Igora Winogradowa, dawniej prawą rękę Twardowskiego w legendarnych czasach

Nowego Mira, kiedy czasopismo to reprezentowało marksizm liberalny, z ludzką twarzą. Przekazanie pałeczki zostało dokonane w 72-im numerze *Kontynentu*, po 17-tu latach istnienia na obczyźnie (w Paryżu i w Niemczech), a w numerze 2 z 1992 roku znajdujemy uroczyste świadectwo tego przekazania władzy. Winogradow pisze wtedy, że podjął się kontynuowania pisma w Rosji, bo uznał, że w sytuacji zagubienia moralnego i katastrofalnego zubożenia duchowego w jakim znajduje się nowa Rosja, pożyteczną rzeczą będzie utrzymanie linii „kultury chrześcijańskiej” *Kontynentu* (prawdę mówiąc, linia ta nie była aż tak bardzo widoczna, istniała raczej w deklaracjach niż w praktyce). Zwracając się do nowego pisma, Maksimow zastanawia się, czy prestiż *Kontynentu* i innych publikacji emigracyjnych nie był sukcesem owocu zakazanego, i czy teraz wytrzyma on konkurencję z wielkimi pismami krajowymi. Ton ogólny tekstu jest pesymistyczny, ale autor dorzuca: „Jak by nie było, założyciele *Kontynentu* mają czyste sumienia: stworzyliśmy pismo na wygnaniu, przeprowadziliśmy tę małą łódkę przez bitwy i burze, i doprowadziliśmy ją do matki-ojczyzny.”

Ruch dysydencki, to przede wszystkim ludzie-dysydenci. Los dysydenta nie jest łatwy, bo oznacza odcięcie od kontekstu, od kariery. Wprawdzie Zachód często witał ich jak bohaterów, wielcy tego świata czasem zwracali się do nich o radę, ale sława, jaką dają środki masowego przekazu jest kapryśna, a media nie znoszą zobowiązań długotrwałych i wyłącznych. Wszyscy dysydenci poznali gorycz odosobnienia i znikomość światła rampy. W „Sądzie w Moskwie” i we wszystkich swoich poprzednich książkach Władimir Bukowski dał wyraz swemu rozgoryczeniu i pesymizmowi. Bo też on sam, i Maksimow, i wielu innych, przeżyli jeszcze jedną próbę – powrót do kraju. Kiedy nastąpiła wolność, trzeba było znowu wybierać między definitywnym powrotem, powrotem stopniowym i powrotem zawieszonym między domem na wygnaniu i ojczyzną. Prawdę mówiąc, jeden tylko wrócił definitywnie, Aleksander Sołżenicyn. Inni, prawie wszyscy, a zwłaszcza ci, którzy posądzali Sołżenicyna, że nie będzie chciał wrócić, nie zerwali więzów z krajem osiedlenia i ograniczyli się do podróży. Spotkanie po dwudziestu latach rozłąki jest zawsze bardzo trudne, a cóż dopiero, gdy ma się

odnaleźć swój kraj, swój naród. W przeciwieństwie do dysydentów krajowych, takich jak Elena Bonner, emigrantom nie starczyło cierpliwości, żeby wejść w świat polityczny dzisiejszej Rosji (gdzie Elena Bonner czy Siergiej Kowalew reprezentują nowy typ dysydenta). Podobno istnieje ustawa uniemożliwiająca im kandydowanie w wyborach. Z cytowanej książki Bukowskiego wieje przerażający pesymizm. On sam to mówi: „Znowu byłem, jak dawniej, wiecznym malkontentem, ponurym pesymistą, a nawet niebezpiecznym ‘ekstremistą’.” Podobnie jak Maksimow, Bukowski zrazu nie umiał odnaleźć się w uwolnionej Rosji, a potem zaczął ją przeklinać. Lew Anninski pisze o tym ze wzruszeniem, zastanawiając się nad tymi zdumiewającymi zmianami stanowiska: dlaczego Maksimow, powodowany swoją obsesją nowej nomenklatury „demokratów” posuwa się do tego, że staje po stronie tych, przeciwko którym walczył jako dysydent? I dlaczego logik satyryk Aleksander Zinowiew, który zadziwił nas swoją książką „Przepastne wyżyny” (przeczytałem ją jednym tchem jeszcze w rękopisie, kiedy dotarł on na Zachód, a dokładniej do wydawnictwa L’Age d’Homme w Lozannie), dlaczego Zinowiew odwrócił się od Zachodu do tego stopnia, że oskarża go o spisek zmierzający do unicestwienia ludu rosyjskiego i dlaczego wychwala stalinizm? Prawdę mówiąc, poprzednie pisma Zinowiewa zieją złością wobec do ruchu dysydenckiego. On sam nie był towarzyszem Grigorenki i Sacharowa. Jak Sołżenicyn, ale z innych powodów, trzymał się na uboczu. Już w „E” widoczny był podskórny motyw, powracający w całym dziele Zinowiewa: nienawiść-miłość do komunizmu.

Nowy etap rozpoczynają wypadki z 3 i 4 października 1993 – szturm na parlament zamieniony w twierdzę milicji różnego autoramentu – które miały zaatakować ratusz Moskwy i telewizję w Ostankino. Ten drugi nieudany pucz został zdławiony, podczas kiedy pierwszy ustąpił przed gniewem tłumu. Nie da się powtórzyć bezkrawawej rewolucji. Oczywiście można było wtedy mieć wątpliwości co do kierunku, jaki przybierały sprawy w Rosji, ale jednak droga ku demokracji była znowu otwarta. Mimo to, październik 1993 jest punktem zwrotnym, w którym część dawnych dysydentów zerwała z nowym reżymem i odzęgała się od

niego. W „Doświadczeniu rosyjskim” Zinowiew uroczyście rzuca gromy na „morderców komunizmu” i potępia bierność ludu rosyjskiego, „wspólnika zbrodni bez precedensu”. Podobna nienawiść do Jelcyna i „fałszywych demokratów” doprowadziła nawet do niewiarygodnego, zdawało się, pogodzenia dwóch wrogich braci, Władimira Maksimowa i Andrieja Siniawskiego.

A tymczasem w samej Rosji nie było aż tak wielkich zmian stanowiska. Liberałowie zostali liberałami, komuniści i nacjonaliści połączyli się w związku wbrew naturze, ale wy tłumaczalnym, Aleksander Sołżenicyn został tym, kim był zawsze – nie do zakatalogowania, bardzo krytyczny wobec rządu, ale nigdy nie drukujący w *Prawdzie*, podobnie jak Władimir Maksimow w ostatnich latach życia... Większość pisarzy „demokratycznych”, n.p. Faził Iskander czy Bułat Okudźawa, publicznie wypowiedzieli się za powtórny wyborem Jelcyna. Fakty są złożone: można analizować to, co się dzieje w dzisiejszej Rosji w kategoriach systemu klanowego, grup nacisku, albo walki o utrzymanie władzy przez dawną nomenklaturę nawróconą na własność prywatną, żeby łatwiej zagarnąć jej lwią część. Ale istnieją też fakty uparte, jak na przykład praktyka swobód obywatelskich, nawet jeżeli media w tym kraju nie funkcjonują jeszcze zbyt dobrze, wolne wybory, stopniowe poddanie się regułom gry konstytucyjnej.

Czy namiętna niechęć do tej ewolucji wielu dawnych dysydentów jest dzisiaj zjawiskiem politycznym, czy tylko psychologicznym? Stając przed perspektywą powrotu komunizmu zabarwionego nacjonalizmem Rosja odpowiedziała „nie”, a wybory prezydenckie w czerwcu 1996 pokazały dokładnie i potwierdziły miarę tego „nie”. Innymi słowy, przy wszystkich niesprawiedliwościach społecznych, wygląda na to, że Rosja ma przed sobą przyszłość otwartą.

Znaczy to też, że mimo nostalgii imperium jaką żywi frakcja komunistyczna i nacjonalistyczna, uznanie niezależności republik ex-sowieckich poczyniło postępy w umysłach. Nie należy zapominać, że rozpad ZSSR był niezmiernie ważnym czynnikiem w ewolucji demokratycznej; patrząc wstecz trzeba przyznać, że dysydenci narodów do niedawna poddanych, zwłaszcza Ukrainy, odegrali istotną rolę – istotną

dla Rosji, bo zgoda na *diminutio capitis* była wstępem do jej nieodwracalnej demokratyzacji. Zresztą najlepiej ukazuje to książka generała Grigorenko. Oddajmy więc cześć także nie rosyjskim dysydentom, takim jak Czernowił, Dziuba, Dżamilew – i oczywiście Leonid Pliuszcz. Jego „Karnawał historii” pokazuje nawrócenie na wyzwolenie nacjonalizm umysłu, który zrazu nic nie wiedział o swym własnym kraju (ale czyż nie tak było w wypadku nacjonalistów ukraińskich w XIX-ym wieku?).

W ostatecznej analizie wydaje mi się, że podstawowy motyw niezgody tylu dysydentów z ich własnym dzieckiem, uwolnioną Rosją (uwolnioną nie znaczy wolną, jak nam to przypomniał Brodski we wspomnianym eseju zamieszczonym w jego ostatniej książce, *On Reason and Grief*), tkwi w koncepcji czasu, którą dysydent ukuł sobie walcząc jak Antygona przeciw prawom miasta: widział tylko czas jednowymiarowy, „wszystko albo nic”, czas w którym jego zadania byłyby przyjęte albo odrzucone. Widział przyszłość wyłącznie w sferze ducha, gdzie istniała tylko jedna stawka – wyzwanie, wyzwanie Antygony. Było mu bardzo trudno pogodzić się z myślą, że kres czasu utopii totalitaryzmu oznaczał dla Rosji nadejście czasu nowego, niepewnego, czasu ryzyka dla wszystkich i że ewolucja kraju w kierunku reform politycznych i ekonomicznych nie będzie szła gładko, że musi być podjęte wychowanie całego narodu, nauka cierpliwości – tym razem dobrowolnej.

Rezygnacja z historycznej alternatywy „wszystko albo nic” była dla wielu nie do przewyciężenia. Getto dysydentów na Zachodzie nie przygotowało ich do takiego zwrotu w myśleniu. Paruzja nie spełniła się i wiadomo już, że nie nadejdzie. Otóż z perspektywy czasu widać teraz, że dysydenci wierzyli w paruzję, w nadejście Złotego Wieku. Walka z miękkim potworem breżniewowskiego totalitaryzmu żywiła się tym marzeniem, równie utopijnym jak marzenie o zniesieniu nędzy, które tylu Rosjan pchnęło w objęcia rewolucji i kazało im przyjąć bolszewizm w jego początkowym stadium. Szok wywołany utratą perspektywy Złotego Wieku, w który dysydenci wierzyli na pewno głębiej niż przedstawiciele gasnącej ideologii, a z drugiej strony oczywiste szkody społeczne spowodowane w Rosji wtargnięciem wolności

gospodarczej w społeczeństwo od dawna odrętwiałe, zrobiły resztę: wielu dysydentów odzęgnęło się od liberalizacji, o którą przedtem walczyli z taką odwagą.

Nie znaczy to, że bili się o chimery. Walczyli przeciw zgubnemu odrętwieniu, przepowiadali, widząc jasno i wbrew wszystkim „skamieniałym”, którzy ich otaczali, nie mówiąc o cynikach, że natura ludzka już nie zniesie długo tego skostnienia. Taki był sens ich walki i sens hasła Sołżenicyna: „Przestańcie żyć w kłamstwie”. Ale w każdym społeczeństwie i we wszystkich stosunkach międzyludzkich istnieje cząstka kłamstwa, czy będą to stosunki społeczne, ekonomiczne czy tylko uczuciowe. W Rosji nie ma już „Kłamstwa”, ale na pewno istnieje jeszcze ta nieunikniona cząsteczka nieprawdy, jest jej nawet sporo (więcej czy mniej niż w naszych zachodnich społeczeństwach, tego nie wiem, ale nie w tym rzecz). Przejść od roli proroka, który stoi sam przeciw wszystkim, do działania i do kompromisu w sytuacji kiedy przyszłość jest znowu otwarta, to była inna kwestia, i to jest problem dzisiejszej Rosji. Ludzkość nie zawsze potrzebuje, jak to mówi Sołżenicyn o swojej Antygonie, „pobożnych przestępców”.

Georges NIVAT

Przełożyła Teresa Dzieduszycka

Brat G.

„Unikaj wszelkiej famy, odosobnij się od świata i siedź w swojej celi, jakbyś w cudzych krajach błądził”.

8-my punkt „Reguły życia odosobnionego”
opata Antoniego Wielkiego, IV wiek n.e.

Sam mi przyniósł to motto, kiedy się dowiedział, że o nim piszę. I poprosił, bym go zamknął w jednym ustępie, jak w celi. – Akapit, Mar, to w sam raz tyle, by o człowieku opowiedzieć, choć, w rzeczy samej i tak skłamię, bo o człowieku należy milczeć. – Włosy ma gęste, do pasa, czarno-połyskliwe, przewiązane szkarłatną wstążką. Twarz chudą, ascetyczną, ukrytą w brodzie, inkrustowanej siwizną. Olśniewająco białe zęby, przenikliwe oczy. Lat 43. Pół-Mołdawianin, pół-Bułgar. Były architekt, projektował Dom Sowietów w Kiszyńniowie. Żonaty, dwoje dzieci: czteroletni Nikita i siedemnastoletnia pasierbica Elena. Mieszkają na cyplu Śledziowym, obok nas, w sąsiednim domu – w dawnej stacji biologicznej. Przyjaźnimy się. Chodzi w czarnym podrzaskniku (z błogosławieństwem archimandryty Josifa), stąd wielu, zarówno przejezdnych, jak i miejscowych, przyjmuje go za monacha, co wywołuje rozdrażnienie u ojców, zwłaszcza u Zosimy, który często się zżyma: jaki to monach, co z babą żyje! W rzeczywistości G. już drugi rok żyje z żoną „jak brat z siostrą”, niczym święty Joann Kronsztadzki. Niedawno przeszedł ciężką operację serca. Pan dał, że wyżył. Babki szpitalne za batuszkę go brały, po rękach całowały, chciały się spowiadać. Dumny do pychy, ambitny. O złośliwym, kłującym języku. Pogardza ludźmi. Zwłaszcza miejscowymi alkaszami, o

których mawia, że to *t'ma* (czerń) zaprzędana biesowi i skazana na potępienie. Bies to jego obsesja. Niedawno Elena się skarżyła, że jej spalił „Mistrza i Małgorzatę” Bułhakowa, mówiąc, że to apologia czarta. W ogóle pali książki. Umysł jezuicki, makiaweliczny, często powtarza, że z motłochem wszystkie chwytły dozwolone, jeśli służą Bożym celom. Owe cele, rzecz jasna, sam określa. Jedną z jego głównych idei jest wyrugowanie z Sołówek narodu, by Wyspy z powrotem należały wyłącznie do monastera. Z wyższością też patrzy na bractwo monasza, „nastawianą przez ciemnych Mołdawian”. Bowiem najstarsi sołowieccy zakonnicy, rodzeni bracia, German i Zosima, pochodzą z Mołdawii, co jest przyczyną oburzenia wielu Ruskich przyjeżdżających na Sołowki, natomiast sam G. ma się za Bułgara i podkreśla, że to od nich, Bułgarów, zaczęło się oświecenie Rusi i całej Słowiańszczyzny! Twierdzi też, że bracia tylko ciałem zamieszkują w monasterze, a ich serca zostały w świecie, podczas gdy on, żyjąc na zewnątrz klasztornych murów, sercem przebywa w środku. Zatem to on, G., jest pierwszym (od powrotu życia zakonnego na Wyspy) sołowieckim monachem z prawdziwego zdarzenia, a tamci to zaledwie post-sowieccy pomieszkańcy. Więcej, G. uważa się za początkującego starca, odnawiającego tradycje sołowieckiego *starczestwa*, sięgające czasów Eleazara Anzerskiego, co niewątpliwie podgrzewa jego konflikt z ojcem Germanem i z ojcem Zosimą, rządzącymi w monasterze pod nieobecność archimandryty Josifa, który większość czasu przebywa w Moskwie i chodzą słycho, że w otoczenie Patriarcha mierzy. Zimą ojcowie chcieli donos na G. wysłać, do jego spowiednika, starca Joanna Krest'jankina z Ławy Pskowsko-Pieczerskiej, że „rozbojnik i braci w pokuszenie wwdodzi”, ale Namiestnik nie dał im błogosławieństwa. Ograniczyli się zatem do publicznego napiętnowania go z ambony w chramie, co prawda bez imienia, ale palcem pokazując, że przychodzi tu taki i poucza braci, a sam łże-monach i pozorant pyszny... Cóż, zawsze tak było, iż prawdziwych pokutników prześladowano w monasterach, wystarczy wspomnieć dzieje Nila Sorskiego, z którego G. bierze przykład. Dlatego myśli o własnym skicie, może w Filipowej Pustelni, a może na Zajęczych Wyspach? A póki co, rżnie krzyże. Bowiem krzyż, to cały świat, a nawet więcej – to droga do

wieczności. Zaczynał skromnie, od krzyży pokłonnych. Najpierw pod Sekirną górą postawił, tam, gdzie zeka ze schodów spuszczała, przywiązanych do bierwion. Potem na Anzerze pod Golgotą, która krwią za łagru spłynęła. Wreszcie wyróżnął największy (drewniany), ten kunsztem przeszedł wyobraźnię, a zawartością teologiczną samego Namiestnika w popłoch wprawił, bo wykazał, że Namiestnik wie nie wszystko. Krzyż miał stanąć w Przystani Pomyślności, naprzeciw Świętych Wrót, w wodzie. Ale nie stanął! Z początku było trochę sporów dogmatycznych, trochę przepychanek i intryg, później sprawa zagłuchła, cisza zapadła i do dzisiaj krzyż leży, zamiast stać. Leży rozłożony, a postument w ogóle się wala, to na deszczu, to pod śniegiem, już drugi rok. Podobnie rzecz się miała z ikonostasem do Nikolskiej cerkwi. Ledwie go zaczęli, szum się podniósł: wycieczkami chodzili oglądać, z błogosławieństwem Namiestnika. Turyści, komersanci, sponsorzy. Nawet ruble pokapały i dolary. A potem zagłuchło, jak z krzyżem. Carskie wrota stoją w pracowni, a na resztę funduszy nie ma. Brak też jasności, co dalej. Namiestnik rzadko na Soławkach bywa. Ojcowie zakazali braciom do G. chodzić. Produkty mu wstrzymali, o pieniądzach ni słowa. Dobrze, że choć Nadjeźda zapłatę przynosi. Żona G. pracuje w miejscowym muzeum. A on sam, wraz ze swoim posłusznikiem Nikołą, młodym drzeworytnikiem z Moskwy, zaczęli rżnąć krzyże, wedle starych wzorów Północy (kargopolskich, szenkurskich, wielskich, jarengskich, solwyczegodzkich) – na własną rękę. Cóż to za krzyże! Niezwykłe, jak obsesja, modlitwne labirynty. Myślenie bryłą, geometrią, konstrukcją. Żadnych twarzy, żadnych członków, żadnych wizerunków. Same symbole, znaki, litery. Teksty modlitw jako ornament. Język sprowadzony do czystego ornamentu. Śmierć języka. Ukrzyżowanie Słowa! Tak, śmiało można powiedzieć: bizantyzm XXI wieku. Lub nowoczesny hezychazm. Robią wrażenie. Pełno ich, wszędzie, po całej pracowni: spore, nieduże i całkiem małeńkie, podróżne, do celi i do kieszeni, na ołtarz, na piersi i na szyję, otwierane, składane, szkatułkowe, przestrzenne, pielgrzymie, pokutne, postnicze, schimnicze, cmentarne, żeglarskie (w kształcie kotwicy), medytacyjne, tekstowe, odwrócone i czteroramienne. Wszystkich razem ponad setkę. I żaden się nie powtarza! Różni je w Wielki Post.

W zupełnym odosobnieniu. Nawet do bani nie chodzili przez siedem tygodni. Modlitwą i postem żyli. W *bezmotwii*, czyli w świętym milczeniu. – Bo *bezmotwie* jest najważniejsze. To twórcze pryncypium. W *bezmotwii* widać, co jest zbyteczne, to wszystko, co należy usunąć. Wszak proces tworzenia to nic innego, jeno ograniczanie się, jak w ascezie, do niezbędnego. Prawdziwa twórczość ze Światła bierze początek. A Światło tylko w samotności, w ciszy można znaleźć – w sobie. Inni cię zawsze na wierzch wytaszcą, z siebie wywloką, w mrok. Dlatego należy się zamknąć, niczym w celi, w tym co robisz i podróżować, nie ruszając z miejsca. Czasami, żłobiąc dźwiękiem psalm w cedrze, czujesz pod stopami piach egipskiej pustyni, innym razem, idąc śladem modrze-wiowego słoju, raptem trafiasz na jerozolimski rynek, albo pod Golgotę. Podobają ci się? Widzisz, a ojcowie nie chcieli ich nawet oglądać, German mówi, że to staroobrzędowe wzory, no ale... co może wiedzieć półgramotny muzyk z Mołdawii na temat prawdziwej s z z t u k i w k r z y ż a ? Tak, tak, bo to sztuka wyrznąć w krzyżu własną celę, resztę świata i całą wieczność, nieprawdaz?

Maj 1996

Mariusz WILK

Amerykańskie kontrasty

Swoją pasjonującą „Historię Stanów Zjednoczonych” wydaną przez Instytut Literacki w Paryżu w 1957 r., Paweł Zaremba tak zakończył: „Przemiany ludnościowe, gospodar-cze, kulturalne i pogładowe nie obaliły podstaw ustroju ame-rykańskiego, podstaw demokracji amerykańskiej, tak różnej od angielskiej, tak zgoła niepodobnej do demokracji krajów kontynentu europejskiego, nie mówiąc już o młodych demo-kracjach azjatyckich”.

I dalej, w ostatnim zdaniu:

„Nie pojawiło się też jeszcze na horyzoncie amerykań-skim zjawisko najgorsze dla każdej cywilizacji: zmęczenie. Na jego braku opiera Ameryka swój optymizm i wiarę w przyszłość, którą chętnie, czy niechętnie podzielać z nią będą musiały inne narody”.

Do takich wniosków doszedł Paweł Zaremba pisząc swoją książkę (której egzemplarz mam z jego dedykacją) w latach pięć-dziesiątych. Od tego czasu minęły cztery dziesięciolecia. I cóż się dzieje? To „najgorsze zjawisko – zmęczenie” zaczyna się uka-zywać, gasząc powoli optymizm, który ustępuje miejsca oba-wom, wątpliwościom, zwątpieniom i coraz większym troskom.

Zmiany zachodzące w Ameryce nadają jej kształt inny od zamierzonego przez ojców amerykańskiej demokracji, którzy we wstępie do Konstytucji pisali, że ją ustanawiają „w celu stworzenia doskonałego związku ugruntowania sprawiedli-wości, zawarowania ładu wewnętrznego, zapewnienia środ-ków na wspólną obronę, stworzenia podstaw pod powszech-ny dobrobyt i zabezpieczenia dla nas samych i dla potom-ności błogosławieństw wolności”.

A jak jest teraz? Jak wygląda obraz dzisiejszej Ameryki? Jakie są jego najostrzejsze kontrasty?

Antagonizmy rasowe

W maju tego roku jedna z komisji Kongresu rozpoczęła dochodzenie w sprawie coraz częstszych wypadków podpaleń zborów murzyńskich baptystów i metodystów, przeważnie w stanach Południa, w tak zwanym *Bible Belt*. „Epidemia terroru” – jak to określił amerykański minister sprawiedliwości – przeniosła się na inne stany a w jej wyniku do lipca spłonęło ponad trzydzieści świątyń. Ten stan rzeczy wywołał nie tylko gwałtowne protesty różnych ugrupowań murzyńskich, ale zaognił już i tak napięte stosunki między ludnością białą i czarną.

Jesse Jackson, wieczny i ostry krytyk nawet najmniejszych przejawów przypadkowej niezręczności o posmaku rasistowskim w stosunku do Murzynów, nazwał falę podpaleń „zmową białych przeciwko kulturze czarnych”. Sprawa przybrała poważny obrót, dochodzenie prowadzi FBI – Federalne Biuro Śledcze.

Endemiczna niechęć ludności białej do czarnej w stanach Południa – kiedyś kolebki niewolnictwa, podsycana przez zaściankowy prymitywizm Ku-Klux-Klanu i rozniecana co pewien czas przez nieodpowiedzialnych małowładczkowych politykierów, jest źródłem zakłopotania administracji amerykańskiej. Rząd Federalny jak i władze lokalne strzegąc litery prawa bezlitośnie tępią wszelkie przejawy rasizmu. Robi się wszystko, łącznie ze stosowaniem ciężkich kar, by zagwarantować ludności murzyńskiej należne jej pełne równouprawnienie. Często dochodzi do przesady bo różnego rodzaju programy pomocy faworyzują nieraz czarnych z niekorzyścią dla białych. Zdarza się to przy ubieganiu się o posady w urzędach państwowych lub w szkolnictwie. Ale konflikt – pokuta Amerykanów za ciężki grzech niewolnictwa – trwa.

Okresami, gwałtowne wybuchy rasowej nienawiści przedzają się w krwawe i groźne ekscesy, jak to miało miejsce dwukrotnie w Los Angeles, ostatnio w 1992 roku. Wtedy to, po uniewinnieniu przez ławę przysięgłych białych policjan-

tów, którzy ciężko pobili Murzyna Rodneya Kinga, w parę godzin po ogłoszeniu wyroku, w południowej części miasta doszło do rozruchów. Wkrótce przeniosły się one na inne dzielnice wielkiego Los Angeles. Miasto płonęło. Rewanż czarnych, przeważnie młodocianych członków „gangów”, do których przyłączyła się biedna i niezadowolona ludność meksykańska, zostawił plon w postaci ponad pięćdziesięciu zabitych i kilku tysięcy spalonych budynków. Straty obliczono na przeszło miliard dolarów.

Drugim głośnym epizodem o podłożu wyraźnie rasistowskim był zeszlóroczny proces murzyńskiego prominenta w dziedzinie sportu i filmu, O.J. Simpsona. Wszystkie poszlaki wskazywały, że to on w brutalny sposób zamordował swoją rozwiedzioną „białą” żonę i jej przyjaciela. Mimo to, ława przysięgłych składająca się w większości z Murzynów, w ciągu zaledwie paru godzin uniewinniła Simpsona, rzekomo z braku dowodów. Nie wzięto pod uwagę ani faktu, że po wykryciu podwójnego morderstwa Simpson uciekał samochodem z pieniędzmi i paszportem w kieszeni, ani też tego, że ślady krwi zamordowanych znaleziono na ubraniu oskarżonego. Fachowe koła prawnicze, jak i większość opinii publicznej, uznały wynik procesu za z góry ukartowany i za kpinę z wymiaru sprawiedliwości. Był to najwyraźniej przejaw rasizmu ze strony czarnych, a więc *à rebours*.

Powstaje dość paradoksalna sytuacja. Zwalczanie rasizmu, jego eksponowanie przez prasę, radio i telewizję – rozbudza świadomość przynależności etnicznej różnych grup mniejszościowych. Murzyni już nie lubią jak się ich nazywa „czarnymi” w odróżnieniu od „białych”, lecz chcą się nazywać „African-Americans”. Ma to przysparzać poczucia godności i wyodrębniać ich pozycję etniczną.

Podobnie rzecz się ma z innymi mniejszościami. W ciągu ubiegłych dwóch dziesięcioleci zwiększył się ogromnie napływ emigrantów z Meksyku, Środkowej i Południowej Ameryki, z krajów azjatyckich i Kuby. Każda z tych grup, w przeciwieństwie do lat poprzednich i do fal emigrantów z Europy, nie stawia sobie za cel harmonijnej integracji i ujednoczenia się z resztą społeczeństwa, lecz chce zachować i zaznacza swą odrębność.

Zmiany demograficzne i separatyzm etniczny

Ostatnie dane demograficzne zebrane w przygotowaniu następnego spisu ludności wskazują, że w roku 2050 liczba białych Amerykanów pochodzenia nie-hiszpańskiego spadnie z 74% do 53%, a ludność pochodzenia hiszpańskiego (w tym meksykańskiego) wzrośnie z 10% do 24,5%.

Te zmiany występują nie tylko wskutek przyrostu naturalnego i legalnej imigracji, lecz w dużym stopniu z powodu imigracji nielegalnej, szczególnie do Teksasu i Kalifornii z sąsiedniego Meksyku. Oblicza się, że tą drogą przybywa miesięcznie około tysiąca osób zachęconych zarówno łatwością, z jaką można przekroczyć granicę, jak i niesłuchaniem liberalnym traktowaniem nowo przybyłych, szczególnie przez władze kalifornijskie. Niebezpieczeństwo odesłania z powrotem grozi w razie przyłapania na granicy ale z chwilą gdy przybysz znajdzie się w jakimś większym skupisku miejskim, już czuje się bezpieczny, ubiega się i otrzymuje zasiłki lub opiekę lekarską. O dokumenty nikt go nie pyta, „nielegalni” wsiąkają w getto ludzi mówiących tym samym językiem i łatwo znajdują nisko płatne zatrudnienie na farmach czy w miastach, nawet bez znajomości angielskiego.

W południowych stanach nikogo nie dziwi i nie razi, że ktoś nie mówi lub mówi źle po angielsku. Nikt też nikogo o nic nie pyta, jedynym dokumentem jest prawo jazdy, które otrzymuje każdy bez trudności po zdaniu łatwiutkiego egzaminu. Wypełnia się formularz z kilkoma pytaniami, na które należy odpowiedzieć „tak” lub „nie”, a formularz petent dostaje w języku według własnego wyboru. W Kalifornii drukuje się je aż w 26 językach, kosztem milionów dolarów. Angielski, wprawdzie powszechnie używany, nie jest oficjalnym językiem. Dopiero teraz powstają inicjatywy by ustawowo przeforsować uznanie angielskiego za język obowiązujący.

Innym przykładem przesadnej troskliwości o imigranta nawet nielegalnego jest gwarantowana opieka nad ciężarną matką, której udało się prześliznąć przez granicę. Urodzone w Stanach dziecko otrzymuje automatycznie obywatelstwo amerykańskie i nie podlega deportacji, a matka, jako opiekunka, nabywa prawo stałego pobytu.

Wielojęzyczność jest faworyzowana w szkołach i na wyższych uczelniach. Na uniwersytecie kalifornijskim dużym wzięciem cieszą się tak zwane *ethnic studies*. Ktoś niedawno w związku z tym zauważył, że pewien profesor w zakresie tych studiów propaguje separatyzm. Uczy on, że Kalifornia stanowi integralną część Meksyku a pod zarządem amerykańskim znajduje się czasowo.

Grupy imigrantów azjatyckich w kategorii „Asian-Americans” stanowią oddzielną klasę niepopularną ani wśród białych ani czarnych. Jest to spowodowane kompletną samodzielną i niechęcią wychodzenia poza własne, bardzo zamknięte środowisko. W dzielnicach chińskich, koreańskich czy wietnamskich, jest trudno porozumieć się po angielsku.

Do czego to wszystko prowadzi?

Rysujący się coraz ostrzej separatyzm etniczny stanowi odwrócenie procesu integracji jako idei społecznej Amerykanów dumnych z tego, że ich kraj był dla wszystkich *melting pot* – tygłem stapiającym w jeden naród przybyszów z całego świata. Dziś już tak nie jest. Działają zbyt duże siły odśrodkowe, podsypane przez źle pojęty i przesadny liberalizm.

Kłopoty ze szkolnictwem i wychowaniem

Innym zwierciadłem destrukcji społecznej jest system nauczania i atmosfera panująca w szkołach średnich, utrzymywanych przez tak zwane „dystrykty szkolne”. Jedna trzecia uczniów otrzymujących dyplomy ukończenia, ledwo sobie daje radę z czytaniem i ma słabe pojęcie o historii lub geografii.

Na administrację i dowożenie dzieci do szkół z dzielnic „białych” do „czarnych” i odwrotnie, by wypełnić kwoty integracyjne nakazane prawem, wydaje się masę pieniędzy i już ich nie starcza na podniesienie poziomu nauczania. Dodajmy do tego brak dyscypliny, upadek autorytetu nauczycieli i ich skromniutkie kwalifikacje zawodowe. Ale chyba dużą rolę odgrywa też powszechna choroba młodej Ameryki jaką jest pożądanie natychmiastowej satysfakcji z pominięciem wysiłku koniecznego do osiągnięcia celu; szukanie *instant gratification*, tej życiowej łatwizny... Psycholodzy

dolewają oliwy do ognia. Według nich dobre samopoczucie jest rzeczą najważniejszą a egocentryzm – cnotą. Dbaj o to, żebyś był zawsze zadowolony, myśl przede wszystkim o sobie! Nowoczesne podręczniki uczą, że dziecko musi mieć zupełną swobodę uzewnętrzniania swoich pasji, powinno robić to, co w danej chwili chce. Nie ma mowy o karaniu lub jakiegokolwiek dyscyplinie. Przykład:

Siedmioletnią dziewczynkę nauczono pilotażu, zachęcając do pobicia rekordu przelotu solo z jednego końca Ameryki na drugi. Wystartowała w złą pogodę z instruktorem i ojcem, ale pilotowała sama. Katastrofa, wszyscy zginęli. Matka orzekła na pogrzebie, że to wprawdzie wielka tragedia ale niemniej jest dumna, że córeczka miała zupełną swobodę decyzji „w duchu amerykańskiej demokracji”.

Przestępczość

W dzielnicach ubogich pewien odsetek uczniów, którzy nie potrafią ukończyć *High School*, pochłania ulica. Dzieje się to najczęściej tam, gdzie przeważa mniejszość etniczna. Z tego elementu rekrutują się młodociane mafie przestępcze – ta największa zakąła wielkich miast.

W granicach metropolii Los Angeles takich mafii – „gangów” – jest tysiąc trzysta. Ich członkowie trudnią się handlem narkotykami, terroryzowaniem mieszkańców, rabunkiem i zwalczaniem konkurentów. Łatwość, z jaką w Ameryce można nabyć broń, poczynając od tanich rewolwerów a kończąc na pistoletach maszynowych, stwarza w niektórych niebezpiecznych dzielnicach istne pola bitwy. Biada temu, kto nieopatrznie zapaści się nawet w biały dzień w zaułki opanowane przez młodociane mafie.

„Gangi” są jawne, tolerowane przez władze (Konstytucja gwarantuje swobodę zrzeszeń), a liberalna lewica dba o to by nie naruszano swobód obywatelskich gangsterów.

W latach 1971–1991 pięćdziesiąt tysięcy nastolatków poniosło śmierć wskutek posiadania broni palnej. W tej liczbie dwadzieścia cztery tysiące zostało zamordowanych przez swoich rówieśników. Reszta zginęła w wyniku samobójstw lub nieszczęśliwych wypadków z bronią. W szkołach instaluje

się przy wejściach monitory do wykrywania pistoletów przynoszonych potajemnie przez uczniów w celu – jak tłumaczą – samoobrony. Boją się swoich kolegów. Dotyczy to zarówno chłopców jak i dziewcząt.

Przestępczość wzrasta mimo przeróżnych akcji zaradczych, jak tworzenie klubów i stowarzyszeń, mających odciągnąć młodzież od bandyckich szajek i narkotyków. Paliatywy nie odnoszą skutku, bowiem jakoś nikt dotąd nie wpadł na pomysł by uznać „gangi” za nielegalne. Powstaje paradoksalna sytuacja: swobody konstytucyjne, z jakich korzystają elementy przestępcze, ograniczają wolność terroryzowanych obywateli.

Ważkość problemu przestępczości ukazują cyfry. Półtora miliona mieszkańców USA odsiaduje kary więzienia. Jeżeli dodamy do tego trzy i pół miliona skazanych z zawieszeniem lub zwolnionych warunkowo za kaucją, to otrzymamy sumę pięciu milionów ludzi znajdujących się pod kontrolą organów wymiaru sprawiedliwości.

Nietał moralny

Chociaż na banknotach amerykańskich wypisano *In God we trust*, Ameryka jest w zasadzie areligijna. Religia należy do spraw prywatnych jednostki, niemal intymnych, o niej się nie mówi, nie dyskutuje, nie wspomina, jest oczywiście tolerowana, ale przez państwo omijana i w żadnym wypadku nie popierana. Ten kompletny separatyzm nie wychodzi na zdrowie.

Symbole religijne w szkołach czy urzędach są stanowczo zakazane, bowiem mogą razić uczucia niewierzących. Krucyfiks w sali szkolnej spowodowałby falę protestów, oburzenie przeróżnych libertynów i nawet akcją sądową. Tu, dla kontrastu muszę wspomnieć, że ilekroć jestem w Warszawie, z uczuciem pogodnej satysfakcji patrzę na krucyfiks zawieszony w głównej hali PEKAO, w byłym gmachu KC PZPR, a ten krucyfiks na szczęście nikogo nie oburza i nie razi.

Arelijność stwarza kryzys obyczajowy, pozbawiając młodzież wskaźników moralnych i etycznych punktów odniesienia. Przejawem tego jest zastraszająca liczba urodzin nieślubnych dzieci niedorośliwych matek w wieku szkolnym. W latach 1980–1992 ilość urodzin dzieci niezamężnych kobiet

poniżej osiemnastu lat wzrosła aż o 54%! Dzisiaj, co czwarte dziecko niepełnoletniej matki nie zna swego ojca! Więc cóż się dziwić, że tych najmłodszych, bez ojców, z matkami które same są dziećmi, wychowuje ulica. A płaci za to amerykański podatnik. Pomoc dla nieślubnych dzieci i nieletnich matek kosztuje rocznie blisko siedem miliardów dolarów.

A jednak zmęczenie

Uwagi zawarte w powyższym szkicu dotyczą zjawisk społecznych i wcale nie wyczerpują tematu przemian zachodzących w Ameryce w innych dziedzinach życia, których, rzecz jasna, nie mogli przewidzieć ojcowie Republiki ani twórcy Konstytucji. A w świetle współczesnej „rewolucji socjalnej” Konstytucja sprzed dwustu lat traci swą aktualność. Niestety, jakakolwiek dyskusja na temat jej zmiany stanowi *tabu*, bo Amerykanie uważają ją za świętość nietykalną i nawet najbardziej nieśmiały jej krytyk jest natychmiast zakrzyczany.

Amerykanie nie potrafili zlikwidować głębokich różnic i tarć o podłożu rasowo-etnicznym, występujących coraz żywiej u nowych imigrantów. Ci nowi szukają tu przede wszystkim chleba i wyższej stopy życiowej. Ideały demokracji amerykańskiej grają dla nich inną rolę niż dla wczesnych osadników, rolę praktycznego zabezpieczenia bytu. Są odmienne od ideałów przyświecających pierwszym kolonizatorom, którzy poza dążeniem do swobodnego bytu kierowali się chęcią stworzenia jednolitego państwa i doskonałej unii.

Przemiany społeczne tak głębokie i z tak negatywnym oddźwiękiem napełniają pesymizmem i wywołują głośnie krytykę ze strony intelektualnych kół prawicy i lewicy. Politycy, w roku wyborczym, są skorzy do obietnic i nie szczędzą dobrych rad, których społeczeństwo wysłuchuje cierpliwie od dziesięcioleci. I właśnie dlatego, że dyskusje, projekty i obietnice nie prowadzą do niczego – Amerykę ogarnia zmęczenie.

J. Zdzisław SZYLEYKO

Via Baltica

Via Baltica jest nazwą szosy dotychczas w większości zaledwie dwupasmowej, ale która z czasem ma się stać magistralą Północ-Południe. Prowadzi ona z Tallina przez Parnawę i Rygę, dalej przez Bowsk (Bauska), Poniewież, Ramygołę, Kiejdany, łączy się z autostradą z Wilna do Kłajpedy, ale po 25 kilometrach w Kownie skręca na Mariampol, Kalwarię, Suwałki, Augustów, Grajewo, Łomżę do Warszawy.

Są to plany na daleką przyszłość, liczące na poparcie finansowe Zachodu i międzynarodowych instytucji. Dziś do tego jest jeszcze daleko. Ale zacznijmy po kolei.

Do Wilna przyleciałem 6 czerwca. Dworzec lotniczy dużo się nie zmienił, nadal przechodzi się długim, ciemnym korytarzem, ale odprawa paszportowa trwa bardzo krótko, są wózki na walizki, jak również chętni tragarze. Kontrola celna jest szybka i sprawna. Na lotnisku spotykają mnie moi przyjaciele z tradycyjnymi kwiatami (piękne czerwone piwonie). Jedziemy do hotelu, a potem na kolację do restauracji „Szarunas”. Hotel i restauracja należą do sławnego litewskiego koszykarza, który stale gra w zagranicznych drużynach i tylko na Olimpiadzie grał w litewskiej ekipie. Ceny jak na Wilno bardzo wygórowane (kolacja na cztery osoby z winem \$100) i zapewne dlatego jesteśmy jedynymi klientami.

Jeden dzień spędzam w Wilnie. Chcę się zorientować w ogólnej sytuacji aby mieć potem lepsze punkty odniesienia na Łotwie i w Estonii. W końcu już dwa lata minęły od mego ostatniego tu pobytu. Spotykam szereg osób, z którymi rozmawiam o sytuacji ekonomicznej.

Nie jest dobrze. PNB (produkt narodowy) nie wzrasta.

Inflacja w rocznym ujęciu 30%, a mimo tego kurs dolara ustalony przez rząd jest nie zmieniony. Zawsze 4 lity za dolara, kiedy wzięwszy pod uwagę inflację, powinno być raczej 6.

Średnie zarobki 660 litów miesięcznie czyli \$165 i mimo inflacji nie ma podwyżek. Co gorsza, wypłaty w wielu instytucjach zalegają i często pracownicy muszą czekać miesiąc czy dwa na swoje pobory. Bezrobocie oficjalnie jest w granicach 8%.

Co się tyczy obrotów handlowych to import Litwy (około 290 mln.\$ na miesiąc) przewyższa o blisko 20% eksport. Kierunek eksportu: 34% do Unii Europejskiej, 44% do Krajów eks-Związku Sowieckiego, 10% do Łotwy, 2% do Estonii. Polska nie figuruje na liście.

Żeby skończyć ten przegląd ekonomiczny to chcę zaznaczyć, że w Wilnie kupno mieszkania kosztuje \$400 za metr kwadratowy, a na Starym Mieście nawet do \$1000. Że nie ma pożyczek na hipotekę. Wynajęcie mieszkania w dobrym punkcie kosztuje od \$6 do \$10 za metr kwadratowy miesięcznie.

Ceny te nie są dostępne dla przeciętnego obywatela. Ale tak jak w Polsce i w Rosji jest już tu mała grupa ludzi, którzy zdążyli dorobić się majątku. Systemy administracyjne i podatkowe jeszcze są daleko od normalnego funkcjonowania. Teoretycznie pierwsze 170 litów (\$42) nie ulega opodatkowaniu, zaś na wszystko powyżej jest jedna rata w wysokości 33%.

Wilno wygląda już o wiele lepiej. Dużo domów odnawia się. Jest sporo nowych sklepów, ładne witryny, dużo nowych hoteli i restauracji. Są już także dwa MacDonaldy!

Co się tyczy mniejszości polskiej, to nie chcę tu powtarzać tego, co Jerzy Giedroyc powiedział już w „Notatkach Redaktora” w lipcowym numerze *Kultury*. Podpisuję się pod tym całkowicie. Warto by tylko dodać, że stosunki polsko-litewskie, które jeszcze przed rokiem były bardzo dobre, teraz gwałtownie się pogarszają. Z jednej strony, agitacja prowadzona przez polskie partie prawicowe, z drugiej niechęć litewska do pisowni nazwisk po polsku. Układ podpisany w 1992 roku do dziś nie jest ratyfikowany. Litwini posługują się argumentem, że policjant litewski nie będzie mógł przeczytać dowodu osobistego z nazwiskiem o polskim brzmieniu. Nie

wiem, czy ktoś pomyślał o tym, że w Stanach Zjednoczonych każdy potrafił wymówić nazwisko Zbigniewa Brzezińskiego! Tradycyjnie również kler litewski jest przeważnie antypolski. Na szczęście Kościół nie ma tu tak wielkiego wpływu jak w Polsce.

Również Polacy z okolic Wilna sprzeciwiają się rozszerzeniu granic miasta, mimo że to nie naruszy ich prawa własności, ani specjalnie nie podniesie podatków. Wręcz przeciwnie, wartość ich ziemi wzrośnie.

8 czerwca wyruszamy samochodem na północ. Jedziemy przez Molety, Onikszty, Poniewież do Birż. Przed Poniewieżem zatrzymujemy się w Rogówku, jednej z rezydencji Komarów. Pałac, pochodzący z przełomu XVIII-XIX wieku, przebudowywany w połowie zeszłego stulecia, jest w dobrym stanie. Jest tam dziś szkoła, ale podobno został już zwrócony córce Komara, która otworzyła w spichrzu kawiarnię. Nieco dalej jest mały cmentarz rodziny Komarów. Nowa tablica na grobie ostatniego właściciela Władka Komara, zamordowanego w czerwcu 1944.

Birże znane są dziś na całej Litwie z najlepszych wyrobów mlecznych, produkowanych przez miejscową kooperatywę. Nad jeziorem, pięknie położony, dawny zamek, kiedyś twierdza rodu Radziwiłłów. Dziś jest to jedynie rekonstrukcja. Po starym obronnym zamku pozostały tylko fosy i wały. Na początku zeszłego stulecia Birże przeszły na własność Tyszkiewiczów. Ponieważ koszta odbudowy zamku są zbyt duże, Jan Tyszkiewicz, pierwszy ordynat birżański, buduje sobie pałacyk w stylu willi włoskiej, po drugiej stronie jeziora w Ostrowie.

O 20 km od Birż przekraczamy granicę łotewską. Dla nas żyjących w Zachodniej Europie, gdzie często zdarza się przejechać dziesięć granic, włącznie ze Szwajcarią, nie zatrzymując samochodu i nie wyciągając paszportu, może się wydać trochę dziwne przekraczanie granic między krajami bałtyckimi. Nasz samochód był jedyny na tym przejściu. Trzy szlabany po litewskiej stronie i o 50 metrów dalej, tyleż po łotewskiej. Pierwszy szlaban, żeby wjechać na teren kontroli, drugi po sprawdzeniu paszportów, a trzeci po kontroli celnej. Bagażu nie rewidowali, paszportów nie stemplowali, ale wszystko razem trwało ze 25 minut!

To była pierwsza granica, ale powtarza się to na każdej. O dziwo, Estończycy byli najtrudniejsi, bo kazali wszystkim wysiadać z samochodu. I to wszystko między krajami, gdzie w ogóle nie powinno być granic! Ale mniejsza z tym. To są „choroby” młodych narodów i zamiłowanie do „urzędowania”.

Dalej jedziemy na Bowsk (Bauska) i kilka kilometrów dalej oglądamy wspaniały pałac w Rundale (Ruhenthal). Niegdyś dobra książąt kurlandzkich, w XVIII wieku pałac zbudowany przez architekta B. Rastrellego, który był również jednym z architektów Hermitage'u w Petersburgu. Pałac bardzo zniszczony w czasie wojny jest teraz ślicznie odnowiony. Ma kształt czworoboku z pięknym ogromnym dziedzińcem pośrodku.

Stąd już mamy niedaleko do Rygi. Jesteśmy na północy i słońce tu w czerwcu zachodzi późno. Zatrzymujemy się w hotelu na starym mieście. Byłem w Rydze kiedyś przed wojną, ale jedyny obiekt, który pamiętałem – ratusz – dziś nie istnieje. Ta część Rygi została zniszczona.

Ryga to wielkie miasto. Blisko połowa ludności Łotwy mieszka w Rydze. Stare hanzeatyckie miasto ze swym pięknym kościołem St. Peters i z katedrą z początku XIII wieku dziś robi wrażenie solidnego XIX-wiecznego handlowego centrum, stylem budownictwa przypominającego nieco Wiedeń. Dzwina i port dodają dużo uroku. Tu i ówdzie są tu również piękne kamienice.

Na Starym Mieście jest pełno małych placyków, skwerów, wszędzie o tej porze roku kawiarnie i restauracje pod gołym niebem. Ryga przywodzi mi na myśl wiele wspomnień. Ojciec mój kończył tu niemieckie gimnazjum, gdy go wyrzucili ze szkoły w Wilnie za rozmowę po polsku na ulicy. Tutaj na powstałej w 1863 roku Politechnice została założona w 1879 roku pierwsza korporacja polska „Arkonia”. Założycielami Arkonii byli Konstanty Przewłocki, Dymitry Korybut-Daszkiwicz, Bohdan Sołtan i Bronisław Romer. Tutaj wreszcie w podziemiach katedry został pochowany w 1580 roku, jeden z moich protoplastów Simeon Romer.

Ryga zawsze była bardzo międzynarodowym miastem. Przed wojną była to duża kolonia niemiecka, rosyjska i żydowska. Dziś Niemcy i Żydzi zostali zastąpieni nastanymi

tu Rosjanami, których jest bardzo wielu. Na ulicach w śródmieściu częściej się słyszy język rosyjski niż łotewski. Również w hotelu wszystko się odbywa po rosyjsku. Większość personelu to Rosjanie, którzy nie znając łotewskiego języka, pracują najczęściej w usługach. Hotel bardzo porządkowy, ale zwyczajnie nadal wschodnie: płacić trzeba z góry, na każdym piętze siedzi *etażnaja*, która wręcza klucze i której się je zostawia wychodząc. Rosjanie czują się tutaj jeszcze jak u siebie w domu.

Ryga jest droższa od reszty Łotwy. Kurs „łata” jest oparty na koszyku walut (DM, Yen, FF, £ i \$). Ograniczeń walutowych nie ma. Ceny są nieco wyższe niż na Litwie, ale i średni zarobek jest tutaj koło 200 dolarów miesięcznie. Emerytury zaledwie \$60! Inflacja 25%. Polski eksport do Łotwy wynosi około 50 mln. dolarów (żywność i wiele innych artykułów przemysłowych, gdyż polskie ceny są niższe). Natomiast Łotwa eksportuje do Polski dwa razy mniej. Przemysł tu stoi nisko a surowców, poza drzewem, nie ma.

Mimo, że Rosjan, czy też eks-obywateli Związku Sowieckiego jest na Łotwie około 42%, to największą „legalną” mniejszość stanowią Polacy. Jest ich tutaj 65.000, z czego 70% to obywatele Łotwy. Są to Polacy, zamieszkali tutaj już przed wojną, którzy przed 1940 rokiem mieli obywatelstwo łotewskie. Druga grupa, około 30%, to ci którzy byli w ZSSR i którym nie pozwolono wrócić na tereny polskie, czy Wileńszczyznę i którzy woleli tu się osiedlić niż pozostawać na Wschodzie. Są również tacy, którzy przybyli tu na roboty. Łotysze ich powoli naturalizują (po 10 latach pobytu), tak że należy przypuszczać, że po roku 2004 wszyscy będą już obywatelami tego kraju.

Na Łotwie istnieje Związek Polaków, który ma 2000 członków. Największe skupiska Polaków są koło Dyneburga. Jest sześć szkół początkowych, z których jedna z czasem pewno przekształci się w gimnazjum. Dwie polskie szkoły są w Rydze; po jednej w Dyneburgu, w Rzeżycy, w Brasławiu i w Jakobpil.

Staraniem Ambasadora RP odsłonięto pomnik bitwy pod Kirholmem. Kirholm nazywa się dziś Salaspils i jest to miasteczko o 20 km od Rygi na szosie dyneburskiej. Pomnik wzniesiony jest po lewej stronie.

W niedzielę zwiedzamy okolice Rygi. Park Narodowy obejmuje dolinę pięknej rzeki Gauja. Jedziemy starym traktem katarskim wiodącym z Rygi do Pskowa. Przejedziemy przez Sigulda, gdzie są ruiny starego zamku i jedziemy dalej do Cesis. Cesis to jedno z najstarszych miast na Łotwie, założone w 1207 roku. Są tu również ruiny starego zamku, a Łotysze z dumą uważają Cesis za najbardziej „łotewskie miasto” (wpływy obcokrajowców były tu najmniejsze).

W krajach bałtyckich są trzy wielkie nadmorskie letniska: na Litwie Połaga, w Estonii Parnawa, a na Łotwie Jurmala. Jurmala jest jednym z najpopularniejszych uzdrowisk nad Bałtykiem. Położona między rzeką Lelupe i Zatoką Ryską, zarośnięta pięknym lasem sosnowym stanowi nieprzerwane 30 km plaży. Początki Jurmali sięgają czasów, kiedy przysyłano tutaj oficerów rosyjskich na wypoczynek, po kampanii napoleońskiej roku 1812. Do wielkiego rozkwitu urosła Jurmala w drugiej połowie XIX wieku, kiedy wybudowano tu wiele sanatoriów i prywatnych willi.

Jest upalny dzień i moi towarzysze kąpią się (mimo dość lodowatej wody). Zatrzymujemy się w hotelu „Rigas Jurmala”, który za dawnych czasów był dostępny tylko dla „wyższych czynników” partyjnych. Jak nasz kieszonkowy przewodnik to określa: brzydka cementowa bryła, która posiada pływalnię z morską wodą, saunę, korty tenisowe i jest położona nad samym morzem. Sądząc po ilości mercedesów i BMW hotel został dziś zaadoptowany również przez mafię. Niemniej pokoje i restauracje są tutaj bardzo porządne i o połowę tańsze niż w Rydze.

Po trzech dniach opuszczamy Łotwę i jedziemy w stronę Tartu, czyli Dorpatu. W Valka przekraczamy granicę łotewsko-estońską. Znow ta sama komedia, znow jesteśmy jedynym samochodem, znow jest sześć szlabanów i wszystko trwa pół godziny. Musimy jeszcze wykupić ubezpieczenie estońskie, a na to trzeba wymienić pieniądze!

Krajobraz krajów bałtyckich jest bardzo podobny. Wszystkie są bardzo płaskie. Im dalej się jedzie na północ, tym bardziej wzrasta ilość lasów, zmniejsza się ilość osiedli, a drogi stają się coraz gorsze. Właściwie na Litwie nie można się skarżyć na stan dróg. Wszystkie są raczej dobre. Na Łotwie są już dużo gorsze, a w Estonii, z wyjątkiem głównych magi-

strali, najgorsze. Ruch jest mały.

Zatrzymujemy się o 20 km przed Dorpatem w motelu, w lesie. Bardzo ładne nowoczesne domki, oczywiście jeden z nich to sauna. Nasze locum to dwupokojowy domek z łazienką. Wszystko razem kosztuje grosze. Nasz znajomy z Wilna polecił nam to miejsce, które jest o kilka kilometrów w bok od głównej drogi.

Następnego ranka zwiedzamy Dorpat (Tartu). Założony w 1030 roku przez ruskiego kniazia Jurija, Dorpat doszedł do największego rozkwitu w XIII-XV wieku. Był wówczas nie tylko siedzibą biskupstwa, ale jako hanzeatyckie miasto, głównym punktem handlu ze Wschodem.

W XVI wieku Dorpat został podbity przez Iwana Groźnego, później w roku 1582 odebrany przez Stefana Batorego, i na podstawie Pokoju Zapolskiego, przyznany Polsce. Niedługo pozostał jednak pod panowaniem Polaków, gdyż już w 1600 został zdobyty przez Szwedów. Jeszcze raz teren walk i w dwa lata później na krótko odebrany przez Chodkiewicza, w końcu wrócił pod panowanie Szwedów. Gustaw Adolf założył tu w roku 1632 uniwersytet, jeden z najstarszych (po Wilnie) w tej części Europy.

W czasie wakacji letnich, Tartu, mimo, że jest drugim co do wielkości po Tallinie miastem w Estonii, robi wrażenie zupełnie pustego. Jest pięknie położone i są piękne stare gmachy, mimo, że miasto było tylokrotnie burzone, palone itp.

W drugiej połowie zeszłego stulecia studiowało tu wielu Polaków. Mnie wiąże z Dorpatem to, że mój dziad tu studiował i że tu się urodziła moja matka.

Na szosie z Tartu do Tallina po raz pierwszy widzimy nieco większy ruch. Tallin od razu robi wrażenie miasta zachodniego. Zatrzymujemy się w dużym hotelu, gdzie większość klientów to Finowie. Służba hotelowa kiedy się do niej zwracamy po rosyjsku, odpowiada nam po angielsku. Piękne stare miasto otoczone murami, prawie całkowicie zamknięte dla ruchu kołowego. Dziś Tallin liczy około 450.000 mieszkańców. Bliskość Finlandii i duża ilość fińskich turystów sprawiają, że kwitnie tu handel, jest małe bezrobocie i zarobki są dwa razy wyższe niż w pozostałej części kraju.

Średni zarobek w Estonii sięga \$220 miesięcznie, ale i

ceny są wyższe niż na Litwie czy Łotwie. Inflacja około 26%. Bezrobocie oficjalnie tylko 3,5%. Trudno tutaj uzyskać wiarygodne dane. Estonia stara się pokazać światu w jak najlepszym świetle. Aby uniknąć w przyszłości przeszkód w negocjacjach z Unią Europejską, nie popiera własnego rolnictwa. Poza obrębem miast, jest to biedny kraj. 15–30% ludności mieszka nadal na wsi. Jedna czwarta ludności to emeryci i starcy. Ich zapomogi wynoszą zaledwie jedną trzecią średniego zarobku, co nie wystarcza na życie.

Połowa terenu całego kraju jest pokryta lasami. Stąd też główny eksport to drzewo. Obroty z Polską są minimalne. Polska importuje z Estonii drzewo, a sprzedaje jej żywność, która jest w Polsce tańsza.

Mniejszość polska w Estonii liczy około 3000 osób. Podobnie jak mniejszość litewska. Jest Związek Polaków w Tallinie, jest i Związek Litwinów. Polskie szkółki są tylko przy parafiach. Wychodzi polskie pismo *Nasza Polonia*.

Dużą grupę i Polaków, i Litwinów stanowią mieszane małżeństwa. Są tu Polacy, którzy przed 1939 rokiem przyjechali na roboty, są też ich dzieci; są małe grupki związane z uniwersytetem w Tartu, ale największa chyba grupa i Polaków, i Litwinów to ci, co zostali wywiezieni z Litwy, Białorusi, Ukrainy i wschodnich obszarów Polski w głąb Rosji i którym po latach nie pozwolono wrócić do swych rodzinnych stron, ale którzy mogli osiedlić się w Estonii.

Estonia zupełnie się wyzwoliła już spod wpływów byłego Związku. Prawie cały handel zagraniczny jest prowadzony z Finlandią, Szwecją i Niemcami. Oczywiście jest problem Rosjan, którzy nie mają obywatelstwa estońskiego i którzy nie znając języka nie mają szans na naturalizację. Dziś zarabiają w usługach, w handlu, itd.

Charakterystyczne są flagi przepasane czarnymi opaskami, które tutaj wywieszono 14 czerwca – w rocznicę masowych deportacji ludności w 1941 roku.

Po kilku dniach opuszczamy Tallin i tym razem trzymamy się *Via Baltica*. Droga tak nazwana miała zwiększyć turystykę w krajach bałtyckich i pomóc w rozwoju ruchu handlowego. Niestety projekt ten bardzo powoli się rozwija. Główną przeszkodą nadal są punkty graniczne, gdzie podróżni są narażeni na humory strażników i na ogromną stratę

czasu. Rządy trzech krajów starają się tę sytuację zmienić. Została nawet podpisana umowa o zniesieniu cła na produkty żywnościowe. Istnieje projekt ustawy o stworzeniu strefy wolnocłowej.

Jedziemy przez Parnawę (Pärnau), również swego czasu hanzeatyckie miasto, dziś piękne uzdrowisko nad Morzem Bałtyckim. Nie mamy czasu na zwiedzanie, tak że tylko przejeżdżamy przez stare miasto. Przejście graniczne z Estonii do Łotwy to znów koszmar. Trwa przeszło dwie godziny. Dobrze, że jest to okres „białych nocy” i że słońce późno zachodzi. Droga od granicy estońskiej do Rygi to chyba najładniejszy kawałek *Via Baltica* gdyż idzie wzdłuż wybrzeża Zatoki Ryskiej. Mijamy Rygę i zatrzymujemy się w Jurmala.

Dalej jedziemy przez Mitawę (Jelgava), gdzie wznosi się wspaniały pałac budowany przez Rastrellego dla księcia Kurlandii Ernesta Jana Birona. Niestety nie jest on tak utrzymany jak Rundale. Na początku zeszłego wieku, przez krótki okres w pałacu tym mieszkał Ludwik XVIII ze swym dworem.

Granicę litewską przekraczamy w Janiszkach i o dziwo trwa to tylko 8 minut! Pod Szawłami zatrzymujemy się przy „Górze Krzyżów”, którą już poprzednio opisywałem. Przybył tam od tego czasu jeszcze jeden krzyż przywieziony przez Jana Pawła II.

Wybieram drogę, którą jeszcze nie jechałem: przez Pokrój, Szadów, Bajsagołę, Terespol, Datnów i dalej kłajpedzką szosą do Wilna. W Pokroju dawny pałac van der Roppów, kiedyś piękny i znany ze swego parku i zbiorów, dziś bardzo zniszczony i zapuszczony. Ostatni właściciel Went von der Ropp, który swego czasu uczęszczał do polskiego gimnazjum w Poniewieżu, w czasie ostatniej wojny był w Generalkommissariacie szefem od odbierania majątków Polakom i osiedlania na ich miejsce Niemców!

Bejsagoła to zupełnie co innego. Pałac i park ślicznie utrzymany. Wewnątrz nie byłem. Jest tam teraz szkoła hodowli bydła. Brak jest danych kto i kiedy zbudował ten pałac, ale ostatni właściciele Komarowie, którzy kupili Bejsagołę w 1830 roku, przypuszczali, że architektem musiał być Merlini, lub któryś z jego uczniów.

Jedziemy z Bejsagoły przez Gudziuny do Terespoła. Terespol to willa zbudowana przez Antoniego Chrapowickiego w 1909 roku, ulubione miejsce „złotej młodzieży polskiej” na Litwie Kowieńskiej, głównie z powodu gościnności gospodarzy i małej odległości od stacji kolejowej w Gudziunach. Dziś przedstawia raczej smutny obraz. I park, i dom mieszkalny zupełnie zapuszczone. Tylko aleja starych drzew od stacji kolejowej nadal stoi. I w Bejsagole, i w Terespolu bywałem przed wojną i pamiętam te miejsca z tych czasów.

Wracamy do Wilna. Wybory do parlamentu litewskiego są wyznaczone na 20 października. Obecnie na 140 mandatów Demokratyczna Partia Pracy (eks-komuniści) mają 71 posłów. Związek Ojczyzny (Landsbergis) 24, Chrześcijańska Demokracja 12, Bezpartyjni 10, Frakcja Polska 4. Panuje ogólne przekonanie, że obecna większość przegra wybory, ale nie jest jasne, które ugrupowania opozycyjne zdobędą największą ilość głosów.

Odwiedzam Troki. Rozmawiam również ze znajomymi Polakami. Ma się właśnie odbyć przeniesienie zwłok biskupa Bandurskiego. Biedny biskup. Ukochał sobie Wilno, osiedlił się tu, był bardzo popularnym kapłanem, został pochowany w Katedrze Wileńskiej, a teraz Ksiądz Biskup Polowy Głódź zdecydował przenieść jego zwłoki do Kościoła Garnizonowego w Warszawie. Zastanawia mnie ta mania przenoszenia zwłok.

Na zakończenie chciałem tylko poinformować zainteresowanych, że są już w handlu doskonałe przewodniki angielskie po Wilnie i Rydze, jak również *Baltic Travel Guide* – przewodnik po wszystkich trzech krajach zawierający dużo praktycznych porad.

Andrzej ROMER

Wiersze

Łucja GLIKSMAN

GARE ST. LAZARE

Pamięci Józefa Czapskiego

„wrażliwość... na wzajemne oddziaływanie
brył i płam...”

J. Czapski, Oko, Paryż 1960

Ten szkic wisi u mnie na ścianie,
Ale cały wielki obraz dobrze znam,
Wielki rozmiarami, wielki twórczym zamysłem,
„Wzajemnym oddziaływaniem brył i płam”.

Szarość – ale jaka szarość –
I trzy postacie, trzy bryły, trzy płamy –
Czerwień – ale jaka czerwień.

Józiu już nieobecny, bądź zawsze z nami.

Teraz jest w Paryżu jeszcze ciemno,
A u nas już niebo blednie, świt.
A ja jestem, gdzie już nigdy nie będę,
Na dworcu St. Lazare –
Czekam wśród szarości i czerwieni
Na ten pociąg do Maisons-Laffitte.

Łucja GLIKSMAN

Mira KUŚ

EPITAFIUM

ze względu
na nienadestanie na czas
dyplomów i odznaczeń
odbyła się jedynie
część artystyczna

ŚCIEŻKA

smutność nad smutnościami
biała piaszczysta ścieżka
pośród dojrzałych zbóż
w agonalnej ciszy
w lipcowe
niedzielne popołudnie

powietrze
z trudem łapie oddech
rozżarzony piasek dyszy
łaknąc stopy

oto leżę
wyciągam się
od krańca łąnów
do krańca
z przepaską na biodrach
na mojej skroni kolce
dzikiej róży

nietknięta
ginę pośród zbóż
od tortury
nieistnienia

Mira KUŚ

Janusz SZUBER

PASTERZ

Między paprocią i paprocią
Stoisz drewniany, nieruchomy
I dmuchasz w flet przymknąwszy oczy
Pasterz dla moich dwojga uszu,

Którymi piję łyk po łyku
Gęstą, dojrzałą ciszę drewna
Żeby zapisać w oktostychu
Nasz wspólny hołd dla Polihymnii.

ARKA PRZYMIERZA

Wysoko na górze za attyką
Przedpotopowego kredensu, w blaszanym pudle
Po andrutach Banka, wysłanym pergaminowym
Papierem, trzymała suche ciasteczka

Własnego wypieku i za każdym razem,
Nie pozwalając się w tym nikomu wyręczyć –
Ułomna, bryłowata, świecąca różową skórą
Pod rzadkimi pasmami siworudych, niedokładnie

Pomalowanych włosów – wspinała się
Na rozchwiane krzesło, utrzymując jednak
Jako taką równowagę, oddana w skupieniu
Czynności z pogranicza ekwilibrystyki aby

W obu dłoniach unieść prawie pod sam sufit
 Lekką arkę przymierza wypełnioną begami.
 Ocukrzona tasiemki z dodatkiem anyżku,
 Popijane herbatą słodzoną syropem z pigwy,

Frędzle kapy na stole jak dotknięcie pokrzyw
 Drażniące gołe kolana. Na jednym twarda
 Kropla biedronki przyniesionej tutaj z ogrodu.

SABOTY

Drzwi do sieni, masywne, z żeliwną klamką
 I zakratowanym okienkiem, uchylone,
 Wewnątrz gęsty mrok mimo blasku
 Na glazurowanych ceglach muru, dwa kamienne
 Schody i od razu kocie łby brukowanej uliczki
 Ze świeżą plamą spływających nieczystości
 W drobnych bąbelkach tęczącej piany.
 Natężam słuch i widzę w tamtej ciemnej
 Braturrze: jeden, potem dwa saboty
 Wystające spod kopuły spódnic,
 Jak pośpiesznym krokiem oddalają się
 Ku przyczajonej za płótnem nicości.

Janusz SZUBER

Archiwum polityczne

Moje uwagi o sprawach polskich

PRZEMÓWIENIE WYGŁOSZONE NA UNIWERSYTECIE ŁÓDZKIM Z OKAZJI WRĘCZENIA DOKTORATU *HONORIS CAUSA*

Jestem wzruszony i wdzięczny za dzisiejszą uroczystość, szczególnie, iż ma ona miejsce w Łodzi – mieście mojej szczęśliwej i dumnej młodości. Jestem absolwentem gimnazjum im. Marszałka Piłsudskiego – gimnazjum z ulicy Sienkiewicza 46.

Żyję w Stanach Zjednoczonych ponad pięćdziesiąt lat. Ameryka uformowała moją osobowość i stosunek do świata. Stałem się Amerykaninem. Czterdzieści pięć lat wykładałem w Szkole Służby Zagranicznej jezuickiego Uniwersytetu Georgetown. Dziewiętnaście lat prowadziłem wykłady w Pentagonie dla oficerów amerykańskich sił zbrojnych. Większość moich wykładów dotyczyła regionu Europy Środkowo-Wschodniej.

Pragnę podzielić się z Państwem moimi uwagami w sprawach polskich.

W opinii publicznej Polacy to dzielny i patriotyczny naród. Ale jak historia wykazuje, już do wielu pokoleń losy Polski nie leżą wyłącznie w polskich rękach. Zależą także od polityki wielkich mocarstw europejskich – współcześnie także Stanów Zjednoczonych.

Dlatego też nasza służba zagraniczna jest niezmiernie

ważna. Wymaga ludzi kompetentnych i wszechstronnie wykształconych. Nie ma w niej miejsca na amatorów. *La diplomatie n'est que le calcul* – dyplomacja to tylko obliczanie – mawiał Talleyrand. *Dans la diplomatie pas de zèle* – w dyplomacji nie ma miejsca na fanatyzm – strofował współpracowników.

W ciągu ostatnich kilku lat polskie rządy zabiegają o uzyskanie członkostwa w Sojuszu Północnoatlantyckim, czyli NATO, czy też w Unii Europejskiej, czy w obu tych organizacjach. Istnieją jednak w niektórych polskich ośrodkach zastrzeżenia i obawy, że zbyt bliskie łączenie Polski z Zachodem osłabi niezależność państwową i zgrozi polskim duchowym wartościom.

Sojusz Północnoatlantycki został powołany do życia w 1949 roku dla zapobieżenia grożącej agresji Związku Sowieckiego i jego satelitów lub pokonania agresorów, gdyby Kreml zdecydował się na wojnę. Należy do niego, poza Stanami Zjednoczonymi i Kanadą, czternaście krajów zachodnio-europejskich. Posiada dwie struktury: polityczną i wojskową.

W swej strukturze politycznej NATO jest luźnym sojuszem obronnym. Jego członkowie zachowują suwerenność i swobodę decyzji. Na przyjęcie nowych członków muszą zgodzić się wszyscy. Jego struktura wojskowa natomiast, jest rygorystyczna. Każdy z krajów członkowskich wydzielił ustaloną część swych sił zbrojnych, oddając je pod komendę wodza naczelnego, którym od początku jest niezmiennie amerykański generał, odkomenderowany na to stanowisko przez Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Kluczowy punkt statutu NATO stanowi, iż atak na któregokolwiek z członków Sojuszu będzie uważany za atak na wszystkich jego członków.

Znaczenia NATO w historii powojennej Europy nie da się przecenić. Przez pół wieku Sojusz zapewnił Europie Zachodniej pokój i bezpieczeństwo. Gwarantuje, iż Stany Zjednoczone stoją na straży bezpieczeństwa i stabilizacji w Europie i dzisiaj.

W 1966 roku rząd francuski Generała de Gaulle'a wycofał z NATO wszystkie francuskie siły zbrojne argumentując, iż mogą one podlegać tylko własnemu rządowi.

Pozostawił jednak Francję w Sojuszu, jako pełnoprawnego członka. Polityczna struktura Sojuszu dopuszcza takie rozwiązanie.

Po zejściu de Gaulle'a ze sceny politycznej, prawie wszystkie francuskie rządy kontynuowały ich negatywny stosunek do wojskowej struktury NATO, przyznającej Amerykanom przywódczą rolę w sprawach dotyczących bezpieczeństwa Europy. Prawie wszystkie rządy francuskie dążyły do uniezależnienia politycznego, a przede wszystkim wojskowego, od Stanów Zjednoczonych. Nominalnie nie domagały się rozwiązania Sojuszu i utraty zaplecza potężnej Ameryki. Domagały się reformy wojskowej – takiej reformy, która dałaby europejskim członkom prawo decydowania kiedy i w jakich okolicznościach amerykańskie dowództwo i amerykańskie siły zbrojne mogłyby interweniować.

Ewentualnie i z inicjatywy Francji powstała Unia Europejska i jej wojskowy członek – Unia Zachodnioeuropejska. Obejmuje ona piętnaście państw europejskich, ustalając współpracę gospodarczą, kulturalną i społeczną – nawet walutową.

Pomimo nieustających trudności i rywalizacji Unia odniosła ogromne sukcesy, zapewniwszy krajom stowarzyszonym rozwój, dobrobyt i stabilizację. Choć prawie wszyscy jej członkowie są także członkami Sojuszu – Unia i jej członek wojskowy są od Sojuszu niezależni.

W członku wojskowym Unii Francja dominuje. Już od roku 1955, kiedy Federalna Republika Niemiec weszła do NATO, Kanclerz Konrad Adenauer zgodził się, aby *gros* wojskowych sił niemieckich zostało zintegrowanych w Sojuszu, podczas gdy od 1966 roku rząd francuski dysponuje wszystkimi siłami obronnymi Francji.

Obecny rząd francuski bardziej niż poprzednie rządy domagał się, aby w razie jakiegos lokalnego konfliktu między państwami europejskimi zażegnanie tego konfliktu należało do Europejczyków, oczywiście poprzez Unię Zachodnioeuropejską. Amerykańskie wojskowe dowództwo NATO, zarządziłoby zbrojną interwencję tylko wtedy, gdyby któreś z krajów członkowskich NATO lub NATO jako całość, zostały zaatakowane z zewnątrz. Rozwiązywanie konfliktu pomiędzy poszczególnymi krajami europejskimi musi należeć do

Europejczyków a nie do amerykańskiego dowództwa – argumentowali Francuzi. To Europa a nie Ameryka jest wspólnym domem europejskich narodów.

Koncepcja francuska zwyciężyła i niedawno zawarto w Berlinie porozumienie, reformujące NATO. Na wypadek lokalnego kryzysu w Europie – zażęgniwanie tego kryzysu będzie należało do europejskich członków Sojuszu z wyłączeniem amerykańskich sił zbrojnych i amerykańskiego dowództwa. Będą jednak mogli otrzymać z NATO sprzęt wojskowy, środki transportu i komunikacji oraz dostęp do informacji satelitarnej. Na każdą tego rodzaju ekspedycję pokojową muszą zgodzić się wszyscy członkowie Sojuszu. Jeśli interwencja przerodzi się w działania wojenne – dowództwo nad tymi działaniami obejmie amerykański generał z NATO. Uszczelnienie porozumienia co do procedury ma nastąpić później.

Amerykanie zgodzili się na porozumienie – ale bez entuzjazmu. Przyszłość wykaze jego skuteczność.

Osiągnięte porozumienie można różnie oceniać z perspektywy polskiej.

Z jednej strony jest to zrozumiałe, że narody i rządy europejskie pragną uniezależnić się od Ameryki. Z drugiej jednak strony należy pamiętać, że te narody poprzez stulecia krwawiły się, targane rywalizacją i niszczącymi je wojnami. Nie zdołały osiągnąć współpracy i pokoju.

W naszym stuleciu zadanie to spadło na barki narodu amerykańskiego i jego rządów.

Ameryka jest zbyt potężna, aby Europa mogła zagrozić jej bezpieczeństwu. Ale w naszym stuleciu Europa stała się dostatecznie silna, aby wplątywać Amerykę w swoje konflikty czy wojny. Toteż zapewnienie pokoju i stabilizacji w Europie – a nie dominacja nad nią – motywują politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych, niezależnie od oporów czy nieprzewidywalnych okoliczności.

Współczesnym tego przykładem jest krwawiąca się Bośnia. Walczące tam strony to narody europejskie. Konflikt – klasycznie lokalny. Rządy europejskie próbowały poprzez Organizację Narodów Zjednoczonych zmusić walczące strony do zaprzestania bratobójczych walk. Rywalizacja, ambicje, brak koordynacji, przyniosły kompromitujące fiasko. To

energiczne amerykańskie dowództwo NATO przywróciło pokój, wysyłając sześćdziesięciotysięczne zdyscyplinowane siły zbrojne, w których przeważają Amerykanie.

Co na to wszystko Polska?

Wydaje mi się, że polityka obecnego rządu, jak zresztą wszystkich poprzednich rządów po przełomie w 1989 roku, zabieganie zarówno o członkostwo w Sojuszu Północnoatlantyckim jak i w Unii Europejskiej jest słuszną.

Uczestnictwo Polski w Unii dyktowane jest względami gospodarczymi i kulturowymi. Wszak jednocząca się Europa to także polski dom.

Polsce obecnie nie zagraża bezpośrednio niebezpieczeństwo. Obecna Rosja nie wydaje się zdolna do prowadzenia wojny. Potrzebuje wielu lat aby tę zdolność odzyskać. Ale Rosja wije się w konwulsjach. Ścierają się w niej różnorokie siły polityczne – wśród nich także wrogie Zachodowi i irracjonalne. Dla Polski uczestnictwo w NATO stanie się asekuracją a dla NATO instrumentem do utrzymania racjonalności w polityce zagranicznej Rosji.

Należy jednak pamiętać, że ani Stany Zjednoczone, ani kraje Europy Zachodniej, a przede wszystkim Francja, nie zamierzają utrzymywać „żelaznej kurtyny” z czasów „zimnej wojny”, przesuwając ją na linię Bugu. Nie zamierzają odpychać Rosji od jednoczącej się Europy. Przeciwnie, szukają rozwiązań, które umożliwiłyby włączenie demokratyzującej się Rosji do procesu integracji europejskiej i zapewnienia w całej Europie stabilizacji, rozwoju i bezpieczeństwa. Bez współdziałania z Rosją Europa nie osiągnie stabilizacji.

Tak to widzi przede wszystkim Francja, gdzie żywa jest tradycja *Entente Cordiale*.

„Widzimy w Rosji partnera w zabezpieczeniu stabilności w Europie” – stwierdził niedawno rząd francuski.

„Filarami obrony i stabilizacji europejskiej jest Pakt Atlantyczny, Unia Europejska i ...Rosja” – oświadczył Minister Spraw Zagranicznych, Hervé de Charette.

W ostatnich reformach wojskowych, przeprowadzonych przez szefa sztabu generalnego, generała Jean-Philippe Douin, dowództwo francuskich sił zbrojnych, przeznaczonych na ewentualną interwencję w Europie Wschodniej, zostało zlikwidowane.

Po raz pierwszy od stuleci wyłoniła się możliwość zjednoczenia całej Europy – pokojowo. Gdyby to się udało, byłoby to największym wydarzeniem od czasów Karola Wielkiego.

W tym procesie Polska powinna stać się pomostem między narodami Europy Zachodniej i jej wschodnimi sąsiadami – a nie znów jakimś tam przedmurzem. Jednocząca się Europa nie potrzebuje przedmurzy. Potrzebuje pomostów.

Jakikolwiek wynik wiązania Polski z Zachodem przyniesie nam przyszłość, nie zmieni to naszego położenia geopolitycznego i konieczności możliwie najlepszych stosunków z naszymi wschodnimi sąsiadami, a także z Rosją.

Dramatyczny rozwój technologii, oraz środków masowego przekazu w naszym stuleciu związał rządy z ich społeczeństwami bardziej, niż kiedykolwiek w przeszłości.

Prasa, radio, telewizja, informatyka umożliwiły społeczeństwom wpływanie na charakter i politykę ich rządów. Pragnąc lepszych stosunków z sąsiadami powinni Polacy nie tylko pertraktować z ich rządami, ale także, czy nawet przede wszystkim, nawiązać dialog z ich społeczeństwami.

Ciąży nad naszymi narodami bolesna przeszłość: wojny, podboje, nacjonalistyczne ambicje. Nieufność lub pogarda wobec innych; przekonanie o własnych zaletach czy wyższości. Jakież tam misje cywilizacyjne czy duchowe przez stulecia gmatwały nasze wzajemne stosunki. Trwa to do dzisiaj. Odmiennie niż na Zachodzie, nie dotarła jeszcze do krajów naszego rejonu nowoczesność i zrozumienie, że tylko łączenie się w realizowaniu wspólnych interesów przyniesie im postęp i lepszy byt.

A nasze narody właściwie mało się znają. A to co o sobie wiedzą, jakże często jest oparte na stereotypowych i szkodliwych narodowych mitach.

No bo co tkwi w świadomości wielu Polaków o naszych stosunkach z narodami rejonu bałtyckiego? – nieśliśmy im kulturę, demokrację i chrześcijaństwo. A co oni myślą o nas? Polacy próbowali nas wynarodowić. Chcieli zniszczyć naszą narodową tożsamość.

A Ukraińcy? Trylogia Sienkiewicza jest jedną z najbardziej popularnych książek. Chroniliśmy ich przed zaborczą Moskwą. I jak sumienie nam nakazywało staraliśmy się, aby

wrócili na łono Kościoła rzymsko-katolickiego. A co mówi tradycja Ukraińców? Gnębiła nas polska szlachta a polskie „Pany” rośli w potęgę z naszej krwi, znoju i krzywdy.

A naród rosyjski? To przecież odwieczny wróg – zaborczy i krwawy. To naród rabów. Nigdy nie nauczyli się demokracji. To dzicz. A my to kultura i przedmurze Zachodu. A co po tamtej stronie? Te lachy to zdradzieckie plemię. Nieśli nam zgniliznę Zachodu. Przez stulecia czatowali by wbić nam nóż w plecy. Nie można im ufać. Trzeba ich trzymać w ryzach.

Stoi przed polskim społeczeństwem i jego elitą wielkie i pilne zadanie, a z punktu widzenia polskiej racji stanu obowiązek podjęcia wysiłków, większych niż dotychczas, aby społeczeństwa naszego rejonu, z polskim społeczeństwem łącznie, porzuciły te tradycyjne i szkodliwe mity i uprzedzenia, aby się wzajemnie poznały.

Nie ma narodów lepszych i gorszych. To rządy i systemy rządzenia są lepsze lub gorsze. Narody chcą żyć i prosperować w spokoju. To ich rządy wszczynają wojny.

Trzeba więcej wysiłku, aby unowocześnić polskie społeczeństwo, aby nawiązało kontakty ze społeczeństwami sąsiednich krajów, abyśmy się lepiej poznali i nabrali do siebie zaufania. Kontakty międzyrządowe nie wystarczą.

Potrzeba nam częstszej wymiany studentów i profesorów. Budujmy lepsze i więcej polskich instytutów kulturalnych i naukowych w sąsiednich krajach i zapraszamy te kraje, aby tworzyły takie instytuty w Polsce. Wydawajmy więcej książek o naszym kraju w językach naszych sąsiadów i rozprowadzajmy je tam, zachęcając ich, aby robili to samo w Polsce. Organizujmy więcej wspólnych konferencji i spotkań ludzi nauki i kultury. Wprowadzajmy programy w radiu i telewizji w języku naszych sąsiadów i zachęcajmy ich do prowadzenia takich programów w polskim języku.

Czy są w naszych krajach ludzie kompetentni i chętni do takiej działalności? Chyba tak.

Okrutna jest historia naszego narodu. W dziewiętnastym stuleciu ominęła nas rewolucja przemysłowa i zdobycze nowoczesnej demokracji. No bo rozbiory...

W czasie ostatniej wojny – walka u boku Aliantów, a w kraju bohaterskie podziemie – no i łagry, Katynie, więzienia, obozy koncentracyjne, i masowe egzekucje.

Po wojnie wielkie mocarstwa wepchnęły nas w orbitę sowieckiego imperium. No bo taki był między nimi układ sił, taka strategia, takie oczekiwania czy błędy. Na te decyzje Polacy, żadni Polacy, nie mieli jakiegokolwiek wpływu. Mogli albo z tego stanu rzeczy wyciągnąć konsekwencje albo podjąć beznadziejną walkę.

A potem przez czterdzieści pięć lat naród polski żył, izolowany od narodów Zachodniej Europy, ich reform i przekształceń, które zapewniły im dobrobyt, pokój i możliwości dalszego rozwoju.

Sześć lat temu nasz naród wywalczył sobie wolność – zubożały, w strukturach, które uniemożliwiały rozwój i wyobcowany zarówno od Wschodu jak i od Zachodu.

Spółceństwo szuka rozwiązań, które zapewniłyby mu rozwój i bezpieczeństwo.

W naszej epoce, Polska i inne kraje naszego rejonu nie są w stanie sprostać tym zadaniom własnymi tylko siłami. Muszą się łączyć z innymi krajami – zarówno z Unią Europejską, jak i przede wszystkim między sobą. Rozbudowa współpracy i wymiany gospodarczej między Polską i jej wschodnimi sąsiadami jest naturalna i korzystna dla wszystkich partnerów. Przecież w wielu dziedzinach ich struktury gospodarcze uzupełniają się.

Nie bójmy się, że to łączenie zagrozi tym naszym polskim wartościom narodowym, czy narodowej identyczności. Nie ulegajmy podejrzaniom, że istnieje jakiś tam spisek międzynarodowy masonów, Żydów czy komunistów, którzy przysięgli się na zgubę Polaków. Nie wracajmy do izolacji. Patrzmy, na co się zdecydowały kraje Zachodniej Europy i jakie z tego odniosły korzyści.

Kraje Unii Europejskiej nie są już niezależne od siebie – są współzależne.

Unia, pomyślana jako wspólnota gospodarcza, stała się wspólnotą narodów.

Na skutek wolnego ruchu ludzi, kapitału i pracy, państwowe granice straciły tam tradycyjne znaczenie. I poszedł w zapomnienie tradycyjny spór, czy wojny o Alzację i Lotaryngię między Francją i Niemcami.

Sprawy poszły nawet dalej.

Dla zapewnienia trwałego pokoju swym narodom

Francja, Belgia i Niemcy utworzyły Wspólnotę Węgla i Stali. Jej statut i struktura uczyniły z tej organizacji już nie międzynarodową organizację a ponadnarodowy organizm. I oto tak długo jak ta Wspólnota istnieje, wojna między tymi państwami jest fizycznie niemożliwa.

To wszystko nie sprawiło, iż Unia Europejska stała się jakimś supermocarstwem rządzonym z Brukseli. Członkowskie narody zachowały lub wzbogaciły swoją własną identyczność narodową, kulturę, czy nawet obyczaje.

Polska i pozostałe narody naszego rejonu same nie rozwiążą swych problemów. Muszą się łączyć – zarówno z narodami Europy Zachodniej, jak i przede wszystkim między sobą. Idąc samotnie, nigdy nie będą więcej niż ubogą, zahamowaną w rozwoju, prowincją Nowoczesnej Europy.

Łódź, 27 czerwca 1996 r.

Jan KARSKI

Z nordyckiej perspektywy

Demonopolizacja z widmem w tle

Urok wszelkiej demonopolizacji jest dyskretny: przejawia się w portfelu i na wyciągu z bankowego konta. Doświadczyli tego mieszkańcy Szwecji – kraju, w którym jeszcze niedawno miało zarłoczne państwo wyjątkowo dużo monopolii. Przez dziesięciolecia państwowy urząd telekomunikacyjny Televerket zdierał skórę z tych wszystkich nieszczęśników, którzy musieli pozwalać sobie na rozmowy zamiejscowe, a zwłaszcza zagraniczne. Nie był to rozbój aż tak przerażający, jak ten, który uprawia Telekomunikacja Polska, ale jednak przykry, jak każdy rabunek.

Całkowita demonopolizacja rynku telekomunikacyjnego

w Unii Europejskiej nastąpić ma najpóźniej w roku 1998. Wiedząc o tym (i zdając sobie sprawę, iż kto ostatni, ten najgorszy) uczynił szwedzki rząd swój rynek telekomunikacyjny wyjątkowo liberalnym, porównywalnym jedynie z rynkami USA, Wielkiej Brytanii i Nowej Zelandii. Ku zrozumiałej rozpaczy dyrektorów dawnego Televerket (pośpiesznie przekształconego w państwową spółkę Telia) w Szwecji zaczęli pojawiać się operatorzy telekomunikacyjni z USA, Azji i Europy. W początku roku 1996 było ich zarejestrowanych 22, dziś, w końcu sierpnia, jest już ich ponad 30. Rozpoczęła się bezwzględna wojna cen, dotycząca zwłaszcza rozmów zagranicznych; albowiem dziś koszt „wyprodukowania” jednej rozmowy telefonicznej jest niezależny od tego, czy rozmówcy znajdują się na tej samej ulicy, czy też jeden z nich w Sztokholmie, a drugi – w Sydney.

Jako pierwszy do ataku przystąpił multimedialny, głównie telewizyjny koncern Kinnevik ze swoimi dwiema firmami operatorskimi: *Comvig* (dla telefonii mobilnej) i *Tele2* (dla telefonii stacjonarnej). Aczkolwiek *Tele2* oferowała zniżki dość małe (10-15%), już w pierwszym roku swojego istnienia (1993) odebrała Telii 20% rynku rozmów zagranicznych. Rabaty *Tele2* wkrótce zostały przebite przez dwóch innych operatorów: duńsko-norwesko-brytyjską spółkę *Telenordia* i *France Telecom* (gdy *France Telecom* rozpoczął ścisłą współpracę z niemieckim *Telecom* oraz amerykańskim operatorem *Sprint*, zmienił nazwę swojej szwedzkiej filii na *Global One Services*). Później okazało się, iż zniżki wielkich spółek są jeszcze zbyt skromne. Powstało kilka małych, wręcz rodzinnych firm operatorskich typu *callback*, wykorzystujących różnice cen w różnych częściach świata. Klient takiej firmy (*Unicall*, *Intercall*, *Callback International*) otrzymuje specjalny numer, z reguły do centrali w USA, a stamtąd dzwoni do interesującego go kraju. Chociaż rozmowa odbywa się na linii, powiedzmy, Sztokholm-USA-Budapeszt, może być o 50% tańsza niż rozmowa na linii bezpośredniej według stawek państwowej Telii. Nieco kłopotliwa jest tylko konieczność wystukiwania dużej ilości numerów kierunkowych. Firmy typu *callback* oferowały swoje usługi początkowo tylko klientom indywidualnym, czasami wręcz tylko w jednym mieście. Teraz zaczynają się zwracać do średnich,

a nawet wielkich firm. Czyni to zwłaszcza najdynamiczniejsza z nich: *People to People Telecom*. Znany jest przykład szwedzkiej filii amerykańskiego producenta *printer*ów, *Lexmark*. Z uwagi na to, że sztab firmy znajduje się w USA, jej szwedzka filia płaciła szczególnie duże rachunki telefoniczne. I wtedy zgłosił się wspomniany operator *People to People Telecom* i zaproponował 40% zniżki na wszystkie rozmowy zamiejscowe i zagraniczne. Czy jakiś dyrektor mógłby odrzucić taką ofertę? Interesujące i korzystne dla klienta jest, że firmy typu *callback* nie mają stałych stawek, ergo – klient może się z nimi targować. *People to People* ma zasadę, iż jego ceny są zawsze o 20-43% niższe niż ceny państwowej *Telii*, a konkretna wysokość rabatu jest przedmiotem rokowań. Ostрым konkurentem dla *People to People* jest powstała w ubiegłym roku firma *Netnet*, którą kieruje były dyrektor generalny SAS-u, Jan Carlzon.

Naturalnie tracąca klientów *Telia* też zmuszona została do obniżek cen, na niektórych kierunkach (USA, Niemcy, Francja) aż 50-procentowych. Z uwagi na nikły koszt rzeczywisty połączeń telefonicznych walka cen dopiero się zaczęła.

Oczywiście konsekwencją istnienia w Szwecji czterech różnych i konkurujących ze sobą operatorów telefonii mobilnej (*Telia*, *Comvig*, *Europolitan* i *Tele8*) jest też stała obniżka cen także w tym sektorze. W tym miejscu konieczna jest pewna uwaga. Polacy, którzy parę lat temu nabyli telefony mobilne przestarzałego systemu analogowego *NMT* i zmuszeni byli do opłat zupełnie horrendalnych, byli z reguły przekonani, iż ta nowa zabawka musi być tak kosztowna. Dlatego telefon mobilny stał się w Polsce *gadget*em nadającym wyższy status społeczny. Przy takich cenach, nic dziwnego! W rzeczywistości budowa i utrzymanie sieci telefonii mobilnej są tańsze niż telefonii stacjonarnej. Dlatego właśnie wypowiedane jest czasami twierdzenie, iż w krajach o niedorozwiniętej telefonii nie trzeba budować kosztownej sieci stacjonarnej, gdyż „przecież wystarczy GSM”. Twierdzenie to jest oparte o wielkie nieporozumienie.

Czytelnikom mniej obeznanym z telekomunikacyjnymi zabawkami należy się tu pewne wyjaśnienie. Pierwszy automatyczny system telefonii mobilnej zaczęto wprowadzać do użytku w Szwecji już w połowie lat 50-tych, a na początku lat

80-tych obejmował on już wszystkie państwa nordyckie. System ten nosi nazwę *NMT (Nordiska Mobiltelefonsystemet)* czyli Nordycki System Telefonii Mobilnej. Jest to tzw. system analogowy, oparty o przekaz głosu drogą radiową przy pomocy dużej ilości stacji bazowych, zwanych „komórkami”. Każdy system telefonii mobilnej wymaga dużej ilości owych „komórek” i koordynacji przełączeń bez przerywania rozmowy, gdy obiekt (np. w jadącym samochodzie) opuszcza teren danej stacji bazowej. Zaznaczmy od razu, że Amerykanie stosują swoje własne określenia systemów telekomunikacyjnych, np. analogowy system Bella nazywa się *AMPS (Advanced Mobile Phone System)*, jednak w niniejszej notatce zajmujemy się tylko standardami europejskimi. Wszystkie systemy analogowe (*NMT 450, NMT 900, AMPS, TACS*) nazywa się pierwszą generacją telefonii mobilnej. Generacja druga opiera się o przekaz digitalny (cyfrowy) i w Europie nosi nazwę *GSM (Group Special Mobile)*. Mówiąc w uproszczeniu, dźwięk przetwarzany przez mikrofon w analogowe sygnały elektryczne, jest następnie „tłumaczony” na kod zero-jedynkowy. Przekaz digitalny przewyższa analogowy pod wieloma względami technicznymi i ekonomicznymi; najważniejszy z nich to związek z digitalną telefonią stacjonarną *ISDN (Integrated Services Digital Network)*. To jest właśnie technika przyszłości: digitalna, stacjonarna, zintegrowana z sieciami mobilnymi. Dziś istnieją dwa różne połączenia *ISDN*: B – umożliwiające transfer informacyjny 64 kbit/s i H – używane przede wszystkim przez wielkie firmy, umożliwiające przesyłanie wielkiej ilości danych w zakresie 384 do 1920 kbit/s. Na przełomie wieku przewiduje się upowszechnienie tzw. szerokopasmowych łączy *ISDN*, opartych o zupełnie nową technikę *ATM (Asynchronous Transfer Mode)*. Umożliwiają one pełny przekaz multimedialny (dźwięk, obraz TV i video, poczta elektroniczna etc.) z efektywnością dla laika niewyobrażalną: od 600 Mbit/s (czyli 600 milionów bitów na sekundę) aż do 20 Gbit/s (czyli 20 miliardów bitów na sekundę). Nadmienmy, że pierwszy szwedzki *ATM-network*, oparty o centralę *General Data Comm.*, został uruchomiony w ubiegłym roku w Helsingborg i że pierwsze *ATM-accessnet*, z szybkością przesyłu 5 Gbit/s wejdą do przemysłowej produkcji koncernu Ericssona w roku 1997.

Choć na całym świecie prowadzi się już intensywne badania nad trzecią generacją telefonii mobilnej *IMT-2000 (International Mobile Telecommunications)*, dla której zarezerwowane jest pasmo 2000 MHz, system *GSM*, ciągle ulepszany, będzie jeszcze przez jakiś czas w użyciu – fachowcy mówią o 10-15 latach. W Szwecji przyznawano właśnie licencje na ulepszony system *GSM*, tzw. *DCS 1800*; otrzymało je dotychczas pięciu operatorów, z których każdy wybuduje własną sieć. Ku radości klientów wojna cen między nimi zapowiada się morderczo: Urząd Ochrony Konsumenta przewiduje, iż w systemie telefonii mobilnej ceny rozmów spadną w stosunku do dnia dzisiejszego o 60%.

Signum temporis przejawia się dzisiaj w zacieraniu wszelkich granic. Gdy przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe uruchomiły własne banki i zaczęły sprzedawać klientom pełen pakiet usług finansowych, banki odpowiedziały na to uruchomieniem funduszy ubezpieczeniowych. Praktycznie zatarła się granica między bankiem, firmą ubezpieczeniową i funduszem inwestycyjnym. Państwowe wyższe uczelnie sprzedają różne, dostosowane do potrzeb klientów, kursy, zwłaszcza wielkim firmom.

Bardzo często powtarzane jest twierdzenie, iż w wieku XXI branża telekomunikacyjna będzie miała takie znaczenie jak przemysł naftowy, stalowy i samochodowy w wieku XX. Dlatego nagle wszyscy szturmują rynek telekomunikacyjny: *IBM, Intel, Microsoft, WEBA*, nawet *Thyssen*. Rozmywa się granica między telewizorem, komputerem i telefonem (telefon mobilny trzeciej generacji będzie się wręcz nazywał terminalem osobistym, *PT, per analogiam ad PC*). Szwedzkie firmy telewizji kablowej: *Svensk KabelTV, StjärnTV i Kabelvision* przystosowują właśnie koaksjalne kable do potrzeb telefonii, mając zamiar zaproponować swoim klientom usługi w zakresie miejscowej telefonii stacjonarnej, będącej już ostatnim szańcem obrony państwowej spółki *Telia*. *IT* (techniki informatyczne) mają stać się panaceum na europejskie bezrobocie i nadzieja ta nie jest pozbawiona podstaw. Sztokholmska dzielnica ponurych pudeł ze szkła i betonu: Kista, nie bez racji nazywana jest *Silicon Valley* północnej Europy; w tej niewielkiej przecież dzielnicy

znajduje się *ca 400 firm IT*, zatrudniających 22 tysiące ludzi i ciągle poszukujących nowych pracowników. Podstawowe wyposażenie firmy *IT* to głowy jej zatrudnionych i sieci telekomunikacyjne.

Od roku po nader okazałych gmachach wielkich firm telefonicznych krąży widmo – widmo Internetu. Zaczęło się od tego, że izraelska firma *Vocaltec* wpadła na pomysł zdumiewająco prosty: skoro głos ludzki bez problemu zapisywany jest w postaci zero-jedynkowej, to dlaczego nie transportować go przy znikomych kosztach przez Internet, wykorzystując komputer także do komunikacji wokalnej? Pierwsze próby były mniej udane: rozmówcy mogli się porozumiewać jak przez radio komunikacyjne typu *walkie-talkie* (tj. nie mogli mówić równocześnie), a jakość dźwięku odpowiadała mniej więcej jakości w telefonach mobilnych, która (jak wiemy) daleka jest od doskonałości. *Vocaltec* i inne firmy rozpoczęły intensywne prace i dziś już możliwa jest komunikacja *duplex*, jak w każdym telefonie, a i jakość dźwięku się nieco podniosła. Aby rozmawiać dziś głosem przez Internet, obaj interlokutorzy muszą posiadać:

- *Software Internet Phone* (kosztuje *ca 200 USD*, ale – jak to z Internetem bywa – podobne programy dopiero testowane otrzymać można przez tę sieć gratis);
- komputer (minimum PC 486 lub Macintosh z procesorem 50 Mhz);
- modem (minimum 14.4 kbit/s);
- kartę *Duplex*;
- *headset* (mikrofon i słuchawki) podłączony do komputera;
- abonament Internetu i zwykły abonament telefoniczny.

Dotychczas z tej formy komunikacji przez Internet korzysta zaledwie *ca 400 tysięcy osób*, ale firma analityczna IDC (International Data Corporation) przewiduje, iż już na przełomie lat 1998/99 liczba użytkowników będzie wynosić 16 milionów. Można się więc martwić, gdy się jest dyrektorem operatorskiej firmy telekomunikacyjnej. Nad tą formą komunikacji pracują intensywnie wszystkie wielkie firmy komputerowe (*Microsoft, Netscape* etc.), a największym jej entuzjastą jest Intel. Przedstawiciele tej kalifornijskiej firmy mikroelektronicznej twierdzą, iż bliski już jest czas, gdy

rozmowa głosem z drugim końcem świata będzie kosztować 3 centy za minutę, „więcej nie powinno się płacić”. Teleoperatorzy mają nadzieję, że *Intel* przesadza. Z drugiej jednak strony pamiętają, że *Intel Corp.* nigdy nie stawił na złego konia i że w swojej 28-letniej historii nieraz już zaskakiwał konkurentów, gdy np. jego pracownicy (Ted Hoff i Federicio Faggin) skonstruowali w roku 1971 pierwszy na świecie mikroprocesor, sławny 4004, czy rewelacyjną *EPRM* (*Erasable Programmable Read-Only Memory*). Liczenie na to, że konkurencji coś „nie wyjdzie” jest w businessie postępowaniem samobójczym. Monopolista typu Telekomunikacji Polskiej nie ma takich zmartwień: klienci płacą, bo muszą, komunikacji głosem przez Internet będzie można po prostu zabronić, polscy politycy lubią te metody. Jednak w świecie wolnej konkurencji problemu nie da się rozwiązać tak po prostu. W operatorskich firmach telekomunikacyjnych trwają więc intensywne narady.

Bujny rozwój połączeń do Internetu w Estonii

BNS (Baltic News Service) podał dn. 12 sierpnia 1996, iż w Estonii liczba połączeń z Internetem wynosi 44 na 10 tysięcy mieszkańców, co plasuje ten kraj na 15 miejscu w Europie. Nie jest to zły wynik, jeżeli się pamięta, iż jeszcze niedawno większość Estończyków nie miała pojęcia, że komputer jest także narzędziem komunikacji i że pierwsze estońskie komputery zaczęto podłączać do Internetu sześć lat temu, kiedy to przez sieć tę komunikowało się już 15 300 komputerów szwedzkich. Korzystanie z Internetu jest mniej powszechne w pozostałych krajach bałtyckich; pod względem ilości połączeń na 10 tysięcy mieszkańców znajduje się Łotwa na 23, a Litwa dopiero na 33 miejscu w Europie.

Oczywiście Estonii daleko jeszcze do osiągnięcia poziomu innych państw nordyckich, np. sąsiedniej Finlandii, gdzie liczba połączeń komputerów do Internetu wynosi 579 na 10 tysięcy mieszkańców. Według polskich danych w maju 96 łączność z Internetem posiadało 36 tysięcy komputerów, a więc niespełna 10 na 10 tysięcy Polaków. Przysłowiowym „wąskim gardłem” nie jest wcale brak komputerów (których

liczba w Polsce jest już wcale pokaźna), ale brak telefonów. Liczba użytkowników Internetu na świecie przekracza już 80 milionów osób. Bez rozwoju sieci telefonii stacjonarnej Internet nie będzie Polakom dostępny.

Ponieważ nie wszyscy czytelnicy *Kultury* w Polsce mają już komputer a jeszcze mniej – komputer podłączony do Internetu, konieczne jest być może pewne wyjaśnienie.

Internet jest ogólnosiwiatową, otwartą dla wszystkich siecią komunikacji komputerowej, opartą o wspólny protokół komunikacyjny (TCP/IP). Każdy komputer podłączony do tej sieci posiada swój własny, 32-bitowy adres. Ponieważ posiadacz abonamentu Internetu korzysta z domowego wejścia do sieci telefonicznej, komputer jego musi być zaopatrzony w modem, w urządzenie przetwarzające digitalne (binarne) sygnały komputera w sygnały analogowe, do jakich przystosowana jest sieć tradycyjnej telefonii.

Podłączenie do Internetu umożliwia nie tylko czytanie na ekranie swojego komputera aktualnych gazet (od *Financial Times* do *Zycia Warszawy*), penetrację katalogów bibliotek, uniwersyteckich baz danych czy nawet – w niektórych krajach – transakcje giełdowe z pominięciem maklerów. Internet, jak każda inna sieć globalna WAN (*Wide Area Network*) umożliwia także przesyłanie poczty elektronicznej (*e-mail*) do jednej lub więcej osób, a więc także komunikację grupową. Na sieci toczą się dyskusje na wszelkie możliwe tematy: od kuchni wegetariańskiej do miłości romantycznej (uwaga dla pań! Adres *Incurable Romantix* brzmi: <http://www.autonomy.com/romtix.gif>). Jeden z działaczy PSL-u twierdził niedawno, iż podłączenie chłopów polskich do Internetu zwiększyłyby efektywność tuczu trzody chlewnej; brzmi to humorystycznie, ale nie można wykluczyć, że i takie debaty toczą się na sieci, choć naturalnie po angielsku. W ramach grupy tematycznej SOC.CULTURE.POLISH „prawdziwi Polacy” prowadzą propagandę ROP-u i atakują swoich przeciwników przy pomocy epitetów, które w żadnym wypadku nie mogłyby być przytoczone w *Kulturze* (niestety nie tylko słownictwo, ale i argumenty reprezentują na ogół poziom rynsztokowy).

Ponieważ w formie elektronicznej mogą być dziś rejestrowane, magazynowane i przesyłane nie tylko tekst i rysunki, ale także ruchome obrazy barwne i dźwięk (komu-

nikacja multimedialna) Internet nie mógł się ustrzec przed plagą pornografii, także tej najgorszej, przeznaczonej dla pedofilów.

Dla pocieszenia osób bogobojnych nadmienimy, że także Watykan prezentuje się przez *World Wide Web*, a więc dzięki Internetowi uzyskać możemy najświeższe informacje z frontu beatyfikacji, kanonizacji i walki z antykoncepcją oraz czytać *on line* papieskie wypowiedzi (adres elektroniczny: <http://www.catholic.se>).

Aby korzystać z Internetu posiadać należy: telefon, komputer, modem, abonament podłączenia (sprzedawany przez wszystkich większych teleoperatorów), jako taką znajomość angielskiego i umiejętność obsługi komputera na poziomie elementarnym.

Tworzenie digitalnej, narodowej sieci kultury w Szwecji

W sierpniu 1996 opublikowano raport, zatytuowany „IT i przyszłość w sferze kultury” (SOU 1996:110), stanowiący częściowy efekt prac prowadzonych nad tzw. narodową strategią IT (technik informacyjnych) w Szwecji.

Zlecając opracowanie tego raportu kierował się resort kultury następującymi przesłankami:

– pod względem telekomunikacyjnym jest Szwecja najbardziej rozwiniętym krajem Europy i jednym z wiodących na świecie: na 100 mieszkańców przypada 70 abonamentów telefonów stacjonarnych i 26 abonamentów telefonów mobilnych, a własny komputer w domu ma już 28% całej ludności;

– 80% całej europejskiej komunikacji na Internecie przechodzi przez Sztokholm, głównie przez *SUNET* (*Swedish University Network*¹);

– Szwecja ma najbardziej zdemonopolizowany rynek telekomunikacyjny w Europie: z początkiem roku 1996 zarejestrowanych było w Szwecji 22 międzynarodowych teleoperatorów z Europy, Azji i USA;

– Szwecja będzie prawdopodobnie pierwszym krajem na świecie, testującym digitalną (cyfrową) TV, która według

projektu rządowego ma rozpocząć działalność w połowie roku 1998;

– prawie wszystkie szwedzkie instytucje kulturalne zdążyły już „zdigitalizować” (zmagazynować w formie elektronicznej) dużą część swoich zbiorów;

– państwo odpowiedzialne jest za praktyczną realizację prawa każdego obywatela do informacji.

Wspomniany raport o tworzeniu narodowej sieci kultury w Szwecji jest wersją wstępną, stawiającą szereg trudnych pytań; teraz do autorów raportu spłyną odpowiedzi i różne uwagi, a ostateczna wersja, będąca propozycją konkretnych rozwiązań, zostanie opublikowana pod koniec tego roku.

Narodowa sieć kultury ma z założenia dać każdemu mieszkańcowi Szwecji możliwość – i to bez opuszczania domu – korzystania z bibliotek, czytania literatury, samodzielnego poszukiwania potrzebnej informacji w przeróżnych bazach danych, percepcji dzieł sztuki i wreszcie uczestniczenia w różnych debatach za pomocą poczty elektronicznej (tzw. e-mail).

Przed wszystkim nasuwa się tu pytanie, kto za realizację tego ambitnego założenia zapłaci. Główna autorka raportu pani Bi Puranen z Instytutu Studiów nad Przyszłością (*Institutet för framtidsstudier*) kategorycznie odrzuca myśl, iż płacić miałby użytkownik. Rozwiązanie to nie byłoby realne, chociażby w świetle faktu, że coraz więcej Szwedów, także z klasy średniej, przestaje prenumerować codzienne gazety; po prostu w dzisiejszym świecie ludzie gotowi są płacić za rozrywkę (liczby sprzedaży gier komputerowych czy filmów video ciągle w Szwecji rosną), ale już nie za informację. Raport szkicuje różne warianty finansowania narodowej sieci: opłaty pobierane od prezentujących się na sieci instytucji kulturalnych, inna dystrybucja środków budżetowych, pomoc licznych fundacji, współpraca z biznesem (z ewentualnym dopuszczeniem reklam) etc. W ostateczności Bi Puranen gotowa jest zaakceptować ideę, iż bezpłatna byłaby możliwie szeroko pojęta informacja bazowa, a za pewne typy informacji szczegółowej pobierana byłaby opłata od odbiorcy.

Raport nie ukrywa też poważnych problemów natury społecznej. Dziś typowym posiadaczem komputera w domu

jest młody (poniżej 30 roku życia) mężczyzna, z reguły mieszkający w większym mieście (od 30 tysięcy mieszkańców wzwyż). Dla tej grupy wiekowej, która informatyczne podstawy zdobyła po prostu w szkole, komputer jest urządzeniem równie niezbędnym co telefon lub lodówka – dotyczy to zwłaszcza mężczyzn (także bezrobotnych), bardziej niż kobiety czułych na urok technicznych nowinek. Jest oczywiste, że narodowa sieć kultury musiałaby być dostępna dla wszystkich: także dla kobiet, dla ludzi starszych (zdumiewająco wielu szwedzkich dyrektorów nie ma w domu komputera), dla mieszkańców prowincji (także w tych, typowych dla Szwecji, osadach kilkudziesięcio- czy nawet kilkunastoosobowych), wreszcie dla najstarszych członków społeczeństwa: inwalidów i imigrantów. Jak to rozwiązać technicznie?

Niektórzy twierdzą, iż pewnym rozwiązaniem może być zapowiadziany już przez producentów (*IBM, Oracle i Sun*) prosty i bardzo tani komputer tylko do komunikacji sieciowej, tzw. NC. Piszący te słowa nastawiony jest do tego pomysłu raczej sceptycznie. Jeżeli bowiem użytkownik kupuje komputer z założeniem, iż nigdy nie będzie wykorzystywał go do żadnej pracy twórczej, to z reguły chce mieć przynajmniej możliwość zabawy z komputerowymi grami i oglądania „kultowych” serii typu „The X-files” czy „Star Trek”, a więc wysoką jakość kolorów, której chyba nie zapewni bardzo tani NC. Osobiście sędzę, że bardziej realne są nadzieje związane z nową generacją telewizorów, także umożliwiających korzystanie z sieci komputerowych. Rząd szwedzki zakłada raczej, iż narodowa sieć kultury oparta będzie o Internet. Skoro od roku 1998 ma zacząć działać w Szwecji telewizja digitalna (co zakłada stopniową wymianę aparatów telewizyjnych w całym kraju), to nic nie stoi na przeszkodzie przystosowania ich także do korzystania z Internetu, chociażby w postaci przystawki z myszką i keyboardem. Wielkie nadzieje wiąże się też ze szwedzkim wynalazkiem (kupionym później przez japońską firmę Canon), tzw. inteligentnych *FLC* – płynnych kryształów ferroelektrycznych, które błyskawicznie zmieniają konfigurację (i podają pamięć). Umożliwiają one konstrukcję bardzo cienkich ekranów telewizyjnych, które mogą być wieszane na ścianie każdego pokoju i sterowane przez centralny

domowy PC/TV. Całkiem realna jest możliwość, iż już za parę lat w szwedzkim domu zobaczymy następującą scenkę: w jednym pokoju kilkunastoletni chłopiec śledzić będzie na ekranie walkę detektywów FBI, Muldera i Scully'ego z przestępcami wykorzystującymi telepatię i telekinazę, w innym – jego siostra będzie przez sieć debatować z dyżurnym seksuologiem o upodobaniach jej ostatniego *boy friend'a*, w sypialni mama będzie uczestniczyć w elektronicznej dyskusji, czy romantyczna miłość możliwa jest w dzisiejszym, okropnym świecie, a *pater familias* będzie na czwartym ekranie w swym gabinecie przykładowie pracować nad fakturami swojej firmy.

„W Polsce panuje ład i porządek. Z pięciu postkomunistycznych krajów bałtyckich Polska w największym stopniu przypomina państwa zachodnioeuropejskie pod względem prawodawstwa i gwarancji bezpieczeństwa” – twierdzi sztokholmska Izba Handlowa.

Sztokholmska *Chamber of Commerce* wydaje osiem razy w roku ilustrowany biuletyn pod bezpretensjonalnym tytułem *Handelskammartidningen* (*Czasopismo Izby Handlowej*). W numerze 4/96 tego biuletynu ukazał się artykuł zatytułowany „Porządek prawny po drugiej stronie Bałtyku – wielkie różnice między krajami”; autor publikacji, Mans Widman dokonuje porównania Rosji, trzech państw bałtyckich i Polski. Stwierdza następnie, że zarówno pod względem porządku prawnego, jak i zwykłego bezpieczeństwa wyprzedza Polska pozostałe postkomunistyczne kraje z rejonu Morza Bałtyckiego, gdyż zaczyna już przypominać państwa zachodnioeuropejskie.

Cytowany przez M. Widmana dyrektor Szwedzko-Polskiej Izby Handlowej, Börje Risinggard zauważa, iż działające w Polsce szwedzkie przedsiębiorstwa w małym stopniu skarżą się na system prawny, dostosowywany do reguł obowiązujących w Unii Europejskiej, w większym – na postawy i działalność administracji. Inercję polskiej administracji można częściowo tłumaczyć przyczynami obiektywnymi: nie tylko brakiem doświadczenia, ale i faktem, że handel z Zachodem i zachodnie inwestycje w Polsce wzrosły w stopniu

utrudniającym sprawne działanie administracji, po prostu ze względów technicznych. Nie należy oczywiście ukrywać faktu, iż część administracji przeciwna jest europeizacji Polski ze względów politycznych.

Mans Widman cytuje również akredytowaną w Warszawie przedstawicielkę Szwedzkiej Rady Eksportu, Ewę Nilsson. Stwierdza ona, że choć polski świat businessu oraz polski system prawny uległy znaczącej, pozytywnej ewolucji, szwedzkie firmy nie powinny spodziewać się, iż ich działalność w Polsce będzie równie bezkonfliktowa, co w państwach Europy Zachodniej. Bez pomocy lokalnego, polskiego personelu, szwedzkie przedsiębiorstwa nie mogą funkcjonować na egzotycznym, polskim terenie. Znalezienie takiego lokalnego personelu, do którego szwedzkie firmy mogłyby mieć całkowite zaufanie i który w swojej działalności kierowałby się szwedzkimi zasadami etyki businessu jest bardzo ważne.

Powyższa, wyważona i w sumie pozytywna opinia o klimacie robienia interesów w Polsce ukazała się wprawdzie w biuletynie organizacji mniej lub bardziej lobbystycznej, nastawionej na dostrzeganie pozytywów, ale nie odbiega ona od innych szwedzkich opinii. Wprawdzie niektóre protekcyjnistyczne i przez PSL wymuszone posunięcia polskich władz oraz poważne opóźnienia w prywatyzacji spotkały się z ostrą krytyką szwedzkich mediów, zwłaszcza branżowej prasy businessu, ale w sumie gospodarcza polityka obecnego rządu Polski oceniana jest w Szwecji słowami ostrożnego uznania. Podkreśla się przy tym, iż – w przeciwieństwie do *Balticum* (nie mówiąc już o Rosji i Ukrainie) – jest Polska po prostu krajem bezpiecznym. Opinia ta jaskrawo kontrastuje z lamentami polskich dziennikarzy, lubujących się w opisach akcji różnych „mafii”.

Przyczyny tak różnego widzenia jednego i tego samego kraju dobrze niedawno wytłumaczył zajmujący się krajami Bałtyku Stefan Nyman z jednego z licznych funduszy inwestycyjnych. Choć w Szwecji istnieją świetnie zorganizowane gangi przestępcze, potrafiące korumpować policję, a przy napadach posługujące się nawet ciężkim sprzętem wojskowym, jest to ciągle kraj wyjątkowo bezpieczny. Gdyby jednak ktoś chciał ukształtować sobie obraz Szwecji na podstawie lektur popołudniówek, musiałby dojść do wniosku,

iz jest to kraj ciągłych mordów, gwałtów, ćwiartowania zwłok, gdyż opisy społecznej patologii są najlepszą bronią w walce o wysokość nakładu. Nyman zauważył słusznie, iż na naturalną skłonność dziennikarzy do epatowania czytelnika opisami zbrodni, mafii, gospodarczych afer, nakłada się jeszcze w Polsce drugi ważny faktor. Konserwatywni Polacy są zwolennikami bardzo represyjnej polityki karnej (z wykonywaniem kary śmierci włącznie) a więc zapowiedzi kar surowych, „zrobienia porządku” i przysłowiowego już „puszczenia aferzystów w skarpetkach” jednąją zwolenników w walce politycznej.

Piszący te słowa pozwoli sobie tu dorzucić jeszcze jedno spostrzeżenie. Zawdzięczam je amerykańskiej pani antropolog, Katherine Verdery, autorce interesującej książki „*What was socialism and what comes next?*” (Princeton University 1996). Stwierdza ona, że wiele posunięć, które na Zachodzie uważane są za normalne i konieczne czynności businessmana, *vox populi* dawnych krajów „realnego socjalizmu” uznaje za przestępcze lub mafijne.

Stefan ABNER

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Kraj

Z ukosa

Pisałem w poprzednim numerze o naszej prowincji, o jej zapóźnieniu, które może mieć poważniejsze skutki dla rozwoju kraju niż myślimy. I właśnie teraz ukazały się dane o zdrowiu zeszlórocznych poborowych. Najciekawsze są informacje o wzroście, a to jest szczególnie czuły miernik „biologicznego dobrostanu”. I nareszcie coś dotykającego, w przeciwieństwie do ekonomicznej statystyki czy intuicji. Potwierdza się przepaść między miastem i wsią. I widać jak Polska szybko poszła do przodu, czy raczej urosła w górę. W roku 1965 przeciętny poborowy mierzył 170,8 cm. W roku 1986 – 175,5 cm, a w roku 1995 – 177,2 cm. Wzrost ukazuje, że nierówności społeczne nie zmniejszyły się nic a nic. Im większe miasto tym wyżsi są poborowi. Najniżsi są synowie chłopscy. Wzrost zwiększa się też wraz z wykształceniem rodziców. Ale są już kraje, np. Szwecja, gdzie od 30 lat młodzież we wszystkich środowiskach ma taki sam wzrost i już nie rośnie. Czyli tam wyczerpano genetyczne możliwości wzrostu. U nas ciągle jest spory margines, bo dzieci inteligencji miejskiej, te najroślejse, nadal idą w górę. Jesteśmy więc opóźnieni nie tylko w tej dziedzinie o lat co najmniej 30, a pewnie o więcej. To również pokrywa się z naszymi intuicjami. Trzeba jednak pamiętać, że wynalazki techniczne przychodzą do Polski z zaskakująco małą zwłoką, co może pomieszać szyki wszelkim przewidywaniom przyszłości. Z drugiej strony nie da się zmierzyć stopnia zneurotyzowania Polaków z powodu historii, oraz na skutek skali pijaństwa, co z kolei może znowu komplikować wszystko na minus. Faktem jest, że dzisiaj oblicza ludzi, gładkość obyczajów, że

to właśnie, a nie eleganckie sklepy, uderza nas gdy wyjeżdżamy na Zachód z wolnej Polski, z paszportem, który już nie potrzebuje wiz, nie cuchnie bezpieką: ma tylko zapach domowej szuflady. Gołym okiem i bez sekcji zwłok widać, że ludzki materiał jest tam w stanie o niebo lepszym niż u nas. To samo dotyczy budynków, a skala zniszczeń jest podobna jak u ludzi. Tyle, że o wiele łatwiej jest odremontować dom. Człowiek musi umrzeć, a w puste miejsce wejść powinny nowe pokolenia. I te pokolenia wchodzą, wstępują dziarsko w wolne miejsca, gdzie tak wiele jest pustych butelek po wódce.

Na naszej prowincji najgwałtowniej zmieniły się sklepy, wiele z nich otwartych jest w sobotę, i w niedzielę, czynne są często przez całą dobę. I jakoś nie ma strachu, że to grzech w niedzielę pracować. Niektóre z tych sklepów zaparłyby nam oddech swym asortymentem, gdyby stały w centrum Warszawy lat temu choćby siedem. Sprzedawczynie wiejskie niezwykle miłe, nawiązują głębszy i bardziej ludzki kontakt z klientem niż w dużych miastach i człek się czuje przez nie głaskany słowem zaprawianym gwarą oraz uśmiechem, który nie zawsze ujawnia zęby w europejskim stanie. Kiedy jednak przybywa kontrola sanitarna, jest panika jak za poprzedniej epoki. Byłem świadkiem takiego popłochu: „idą, idą, chowaj słoninę” – krzyczała kierowniczka sklepu do żeńskiego personelu. I było dla nich naturalne, że ja, anonimowy miastowy klient i świadek chowania słoniny, jestem solidarny z brakiem higieny a nie z sanitarną inspekcją, może nawet kupię na koniec jakby nigdy nic ten połeć ukrytej słoniny. Gołym okiem widać, że do alkoholowego cycka tych sklepów przyszana jest wierna chmara osobników płci męskiej. Każdy sklep, do którego zachodziłem, ma taki ciemny rojek, wydzielający zapach alkoholu i brzęczący swoje pijackie gadki. Mój znajomy B., wybitny specjalista od wsi mazowieckiej, uświadomił mnie, że ten rój tworzą samce, które nie załapały się na żony, tak zwani starzy kawalerowie. Mają już ponad 25 lat i podobno stracili szansę na dziewczynę, bo co jest na wsi płci żeńskiej, co młode i posiada dwie nogi i biust, walczy o chłopaka z małego miasteczka i ze wsi wieje aż się kurzy. Nie chcą w wieku 40 lat wyglądać jak staruszki. Więc ci „starzy kawalerowie” jak wraki opuszczonych statków będą tak tonąć w alkoholu, uczepieni brzegów swoich sklepów.

B. opowiada mi jak przemiany obyczajowe dotarły na wieś. Oto w osiedlu R., które ma prawa miasteczka, ale faktycznie to wieś, powstała agencja towarzyska, czyli mówiąc niegrzecznie, burdel. Ta agencja dostała dumną nazwę „Night club”. Założył ją łebski mieszkaniec R. który wynajął dwie Ukrainki i zainstalował ten „towa” w GS-ie, gdzie wcześniej sprzedawano śruby i sznurki. Miejscowość R. zastygła ze zgrozy, ale też z ekscytacji. Ksiądz od razu zagrział z ambony. Nic nie pomogło. Starzy kawalerowie sprzed sklepu, najpierw nieśmiało, potem otwarcie ruszyli do „Night clubu”. I już wydawało się, że firma zapanuje w R., ale pewnego dnia Ukrainki zwinęły telewizor, magnetowid, pieniądze i dały nogę. W lokalu sprzedaje się teraz garnki.

Bardzo smętnie wygląda Kościół na tej naszej wsi. To znaczy wygląda grubo i dostatnio, kapłani są tłuści, a świątynie wielkie, solidne i brzydkie. Przed nimi pawią się eleganckie limuzyny, sterczą talerzowe anteny, które z satelitów do księżych telewizorów w dziesiątki kanałów tłoczą wszelki gwałt, rozpustę i zło tego świata. A dusza, gdzie jest dusza naszego Kościoła? Księża bardzo niewiele mają do zaproponowania swoim parafianom, poziom ich kazań, żenująco niski. Przed ostatnimi wyborami w trzech kościołach najbliższych chałupie B. księża prawili ludowi, by „nie głosował na Żyda a tylko na tego co nosi Matkę Boską w klapie marynarki”. A jednak lud zagłosował na Aleksandra Kwaśniewskiego. Bo lud wiejski nie ma już dawnej pokory wobec urzędu i kapłana. Niedawno uruchomiono katolicki program telewizyjny o nazwie „Niepokalanów”. Co za żenada, co za nuda wszechogarniająca, wciskająca się we wszelkie szczeliny. Czasami tego słucham jak zahipnotyzowany, tej pocziwości bez granic ale też bez formy, za to ociekającej moralnością. W ankiecie CBOS-u, gdzie pytano nasze społeczeństwo, jakiej profesji i ile powinno się odjąć z dochodów, a jakiej dodać, księża wypadli w oczach opinii publicznej haniebnie źle, najgorzej. Ze im trzeba obciąć najwięcej. Po nich idą dyrektorzy firm państwowych, dalej posłowie i politycy. To wszystko bardzo smutne, bo w puste miejsca wpływa komercyjny śmietnik ze świata. Nigdy nie byłem antyklerykałem a teraz u siebie i u wielu znajomych to widzę, w fazie początkowej lub zaawansowanej.

Ale mimo wszystko coraz więcej jest w Polsce grzeczności, gdy paradoksalnie na drugim biegunie jest coraz więcej chamstwa. Nam się wydawało, że wolność chamstwo ograniczy, gdy ona je niebawem rozpleniała. Chamstwo PRL-u płynęło ze szczytów władzy i z nizin tej władzy. Było jednak skute kajdankami przepisów, ograniczone systemem. Dzisiaj rodzi się we wnętrzu społecznego organizmu, nie ma więc granic, również dlatego, że państwo jest słabe i nie bije po łapach. A też dlatego, że to chamstwo było przez pół wieku ograniczane, a teraz wyprysnęło spod zdjętej cegły. Uderza arogancja ludzi, którzy wskoczyli w bogactwo, upajanie się fortunami, które zwykle nie powstały dzięki ciężkiej pracy, ale dzięki kryminalnym kombinacjom. I tu już pojawia się bardzo polski brak klasy, arogancja bez granic, wypindrzenie się, wypinanie się, patrzcie ile mam i jaki mam gest. Ten gest jest też okropny, ale on właśnie często jakoś rozbraja straszną minę. Nadal żyje więc szlachecka tradycja. Na dodatek Polska staje się krajem, gdzie wszystko musi być ochraniać, aby nie było zagrabione. Istnieje 10 tys. firm ochroniarskich, gdzie pracuje 200 tys. ludzi, czyli dwa razy więcej niż w policji. To są w 80% byli ubecy. Coraz częściej dochodzi do starć takich grup, które są wynajmowane i używane do wszystkiego, również do niszczenia konkurencji, albo odzyskiwania długów. Czyli odradza się dobrze ugruntowana w przeszłości tradycja szlacheckich zajazdów. Coraz też częściej okazuje się, że policjanci po godzinach służbowych pracują w takich agencjach. Zwiększa się ilość rannych w trakcie owych zajazdów. Czasami zamiast byłych ubowców do akcji wynajmowani są ludzie z mafii, która nadal jest jeszcze amatorska ale szybko krzepnie i jak tak dalej pójdzie, prędzej będziemy mieć solidną mafię niż solidną gospodarkę. Oto jeden z przykładów bolesnego przejścia z bezzębego totalitaryzmu do zębatego kapitalizmu.

W Czeczenii siły dawnego imperium nie są w stanie pokonać dzielnych górali. Generał Lebiad', który ma oblicze byłego boksera, w towarzystwie innych okropnych właścicieli gąb, negocjuje pokój przy obskurnym stole, pod którym pewnie stoją butelki wódki. Kamery pokazały jak rosyjscy żołnierze i Czeczeńcy zamiast wypruć sobie nawzajem flaki nożem do krojenia arbuza, wypruwają flaki arbusowi, by się

nim dzielić jak krwawym opłatkiem. Jeden z czeczeńskich partyzantów mówi, że jak obejrzał sobie z bliska tych rosyjskich żołnierzy, to aż mu się wstyd zrobiło, że do nich strzelał: „To przecież jeszcze dzieci”. W tym samym czasie ulice Moskwy są bardziej niebezpieczne niż ulice Groznego. Najlepszy pływak świata Aleksander Popow, którego podziwialiśmy w Atlancie, idzie z dziewczyną na wieczorny spacer. Chce jej kupić arbuza. Dochodzi do sprzeczki ze sprzedawcą. I tu znowu pojawia się rekwizyt, nóż do krojenia arbuza, użyty tym razem w morderczych celach. Ugodzony w brzuch pływak walczy o życie i nie wiadomo czy ten wyścig wygra. Do Moskwy nam jednak nie tak daleko. W dwa dni po złotym medalście olimpijskim, została śmiertelnie zraniona nożem miss Polski z roku 91, Agnieszka Kotlarska. To też się u nas powtarza, coraz częściej, ofiarami zbrodni padają ludzie już nie anonimowi.

Mój przyjaciel Y. jako szef ważnej instytucji dostał pozwolenie na pistolet. Pokazuje mi tarczę ze strzelnicy z całkiem dobrym wynikiem. Bawimy się tym pistoletem w jego gabinecie, chociaż jest naładowany. Przychodzi sekretarka, najpierw zbiera puste filizanki po wypitej kawie, potem pewną ręką chwyta pistolet, a na końcu stawia na tacy cukiernicę. „Pani Haniu, to proszę zostawić”, prosi Y. nieśmiało. Ale Ameryka, myślę. I chociaż nie zazdroścę koleżdze kierowniczej funkcji, ale pistoletu zazdroścę, też chciałbym mieć taką zabawkę, bardzo przydatną w naszych skomplikowanych czasach.

W ostatnim numerze *Kultury* literówka okrutnie zniekształciła moją myśl, którą potwierdza czas i wizualny ogład wyznawców partii ROP i w ogóle całej polskiej narodowej prawicy. Tych ludzi poznaje się na pierwszy rzut oka, po rozmyciu pewnej części ciała, ale nie części głównej, jak chciała literówka a „części głównej”. To jest od głowy. Ich głowy są niekształtne, w tym bezkształcie tkwią rozmyte twarze. To jest gębiastość kartoflano-pospolita.

Myślę o swoich młodszych kolegach z tej prawicy, która wydawała mi się bardziej światła i z twarzą. Oni mając posady w telewizji – gdy telewizja była w rękach młodej prawicy – wykreowali Wojciecha Cejrowskiego, dając mu wielomiliono-

wą publiczność. Nie podobał im się jego brak klasy, ale uważali, że ta opcja skrajnie-narodowo-prawicowa powinna mieć swój głos. Nie wiedzieli, czy raczej nie chcieli wiedzieć, że paranoiczne myślenie posiada swoją dynamikę. Dlatego nawet w świątłych demokracjach ogranicza się pole paranoikom. Nie wolno jednak tu przywoływać ducha Hitlera. Bo morderczy geniusz nie jest udziałem naszych narodowców. Nie wydają się krwiożerczy chociaż plują krwią. A jako politycy są superpartaczami. Nie ma polityki bez gry. A tu proszę popatrzeć, jaka prostolinijność ich fobii i nienawiści, zbyt bezkształtnej i bulwiastej, by mogła zostać ukryta pod polityczną maską. I zawsze wszystko przegrają. Chcieli przejąć „Solidarność”, a tylko ją obrazili. Przewodniczącego „Solidarności”, kiedy nie dał się uwieść, nazwali rozlazłą, histeryczną babą. Gdy na chwilę zapomną o „obcych” (o tak, to słowo pada często), to sami sobie nawzajem przegryzają gardła.

Obserwuję ruchy robaczkowe partii ROP. Spazmy nienawiści Cejrowskiego, który zwołuje na swojej wsi wielotysięczny *Parteitag* swoich zwolenników, a tam wszelkie fobie fruwią gęsto jak nietoperze w jaskini. Występuje na tym sabacie czarownic polityk UPR-u Stanisław Michalkiewicz. Pamiętam jak na początku stanu wojennego przyniosłem mu maszynopis pierwszego numeru pisma literackiego *Wezwanie*. M. był zabiedzony jak my wszyscy wtedy, ale ładny w swojej odwadze. Wkrótce potem poszedł siedzieć za druk tego pierwszego numeru. Do głowy mi nie przyszło, że ten człowiek będzie mi w roku 1996 bardziej obcy niż generał Jaruzelski, dałbym się wtedy pokrajać, że takie czucie będzie niemożliwe. A tak teraz czuję.

Niedawno spotkałem X., osobę mi bliską. Opowiada z przejęciem o niezwykle dolegliwym romansie, który stał się dlań koszmarem, bo ona, zostawiona, poczęła go prześladować. Zajęło mi sporo czasu by się zorientować, że X. ma paranoiczne urojenia. Snuł niezwykle logiczne konstrukcje. Życzyłbym naszym populistom logiki wywodu, można by pomyśleć, że jest normalny, tylko przeczulony. Aż tu nagle te tramwaje o określonych numerach, które ona wysyła, by mu przekazać szyfrem wiadomość. Mania prześladowcza – oto powszechna choroba skrajnych polityków. Kiedy Jan Olszewski mówi, że jest spisek przeciw Polsce i uśmiecha się

znacząco, bo on wie, on tyle rozumie, to ja z przerażeniem widzę, że tak samo znacząco uśmiecha się do mnie X. Wielkością niejednego szaleństwa jest nie tylko żelazna logika wywodu, czasami zbyt żelazna, ale też umiejętność powiedzenia: „wiem, że myślicie, że jestem szalony”. Nasi szaleńcy opanowali do perfekcji pewne socjotechniki. „Tak, jesteśmy oszołomami, ciemnogrodem”, mówią kpiąco oszołomieni i ciemni. Myślą, że w ten sposób rozbiją minę swej choroby. Nic z tego. Tak nie da się zakryć zapachu ksenofobii i tego błysku w oku. To jest ta magiczna chemia. Wszystko to, panie, chemia, więc nawet gniewać się ciężko, gdy się zna nieubłagalność pewnych reakcji chemicznych. R. który jest typową osobowością autorytarną, opowiada jak ojciec walił go w łeb za każdym razem, gdy jako dziecko robił błędy gramatyczne. Coż z tego, że teraz mówi poprawnie, kiedy wewnątrz głowy ma nieco uszkodzone. Dla cierpiących na manię prześladowczą zawsze cennym obiektem podejrzeń byli maso ni i Żydzi. I są nadal, chociaż w Polsce tych ostatnich nie ma. S. który ma bardzo semicki wygląd opowiada mi, że nawet w marcu 68 gdy w PRL szalał oficjalny faszyzm, to on nie miał na ulicy żadnych przykrości z powodu swego nosa, a teraz miewa. No i kto by pomyślał, że tak się porobi.

Pobranie seksualne populistów i skrajnej prawicy narodowej. Jak się zna poszczególne osobniki z tego ogrodu zoologicznego, to widać ile w tym faryzeizmu, kompleksów i zakłamania. Kiedy Sejm zdominowany przez postkomunistów przegłosował ustawę, która ponownie dopuszcza aborcję z powodów społecznych, rozpętała się histeria. I tak myślałem, że będzie gorzej. Jak na razie nikt się nie samospalił w obronie nie narodzonych i mordowanych. Pikiety przed klinikami tylko śpiewają i modlą się, a protestujących jest garstka i to garstka raczej niemłoda. Prymas rwie szaty, biskup też i partie narodowo-prawicowe rwą. Ale mają liczne szaty zapasowe, a te do darcia już wcześniej zostały podarte. Mówi się o spisku komunistycznym przeciwko nie narodzonym Polakom, co brzmi jednak humorystycznie. A nawet, że to akt nazistowski. Nie śmieszy mnie już fakt, że prezydent Kwaśniewski mówi o problemie rozsądnie, a mającą ludzie kiedys mi bliscy. Przeciwnicy aborcji z osobistościami z Unii

Wolności, z byłą panią premier Suchocką na czele, głoszą, że w czasie aborcyjnego głosowania w Sejmie, maszynka do liczenia głosów sfałszowała wyniki. Oto znowu zyskują punkty postkomuniści. Coraz częściej w oczach liberalnie myślących Polaków, to oni właśnie stają się uosobieniem Europy w naszym zaścianku.

Rozpoczął się kolejny rok szkolny a uczniowie nadal nie mają podręcznika do wychowania seksualnego. Nie można ustalić jego treści. Powstaje więc humorystyczny projekt dwóch podręczników. Jeden zwany będzie świeckim, drugi katolickim. W regionach gdzie etyka katolicka dominuje proponuje się podręcznik prof. Ostrowskiej, gdzie stosowanie środków antykoncepcyjnych to „walka z prawem naturalnym”. Tam, gdzie wpływ proboszczów jest mniejszy, ma być w użyciu podręcznik prof. Lwa Starowicza, który kościół uznał za księgę siejącą pornografię i zgorszenie. I pomyśleć, że to się dzieje w kraju, gdzie niemal każdy posiada w domu kablówką telewizję, gdzie nawet dzieci oglądają filmy pornograficzne.

Akcja Wyborcza „Solidarność” w badaniach opinii publicznej dogania postkomunistyczną koalicję. Marian Krzaklewski rośnie na następcę Wałęsy, a o Wałęsie mówi jak o postaci historycznej, która nie ma czego szukać w żywej polityce. Natomiast Wałęsa chce wrócić do polityki, ale robi to ostrożnie i niepewnie, cały zjezony jak kot, który wchodzi do nowego mieszkania. Na razie dał błogosławieństwo Akcji Wyborczej, mimo, że ta go za bardzo nie szanuje. Marian Krzaklewski, działacz i polityk o inteligencji bardzo umiarkowanej, o poglądach na gospodarkę raczej nie umiarkowanych a dla naszej ekonomii groźnych. Pamiętam go na początku jego drogi. Takie z niego było przerażone chłopię, a teraz proszę jaki Pan polityk.

I cała ta pokraczna figura związku zawodowego, który staje się partią polityczną. Manifestacja „Solidarność” w Warszawie zgromadziła kilkanaście tysięcy ludzi, jakby mięśnie wracały do wychudłych ramion Związku. Żadna partia polityczna nie jest dzisiaj w stanie przeprowadzić równie sprawnie tak dużej manifestacji. Pytanie tylko ile te mięśnie mają szarych komórek. Otóż boję się, że jest ich

niewiele. A dawno już skończył się czas gestów. Teraz jest czas koncepcji i biznesu.

Na czele pochodu „Solidarność” szła orkiestra dęta w górniczych mundurach i dęta „Pierwszą Brygadę”. Za nią podpite towarzystwo śpiewało: „Ole, ole, komunie nie damy się”. Kobiety niemłode śpiewały „Boże coś Polskę”. W milczeniu szła w pochodzie grupa skinów. Oto szerokie ramiona „Solidarność” przygarnęły półgłówków – pół faszystów. Zgodnie z teorią, że każdy kto wrogiem postkomunistów jest naszym sojusznikiem. Antysemickie przyspiewki były szybko gaszone przez porządkowych. Wystarczy! Jeśli „Solidarność” krzepnie, to krzepnie smutno i niemądrze. Gdy Akcja Wyborcza „Solidarność” to zlepek organizmów, które połączyła perspektywa wygrania wyborów i niechęć do postkomunistów. Tam jest ogień i woda w poglądach na gospodarkę i jak urządzić społeczeństwo. Po ewentualnym zwycięstwie musi więc dojść do mordobicia. Cały ten pomysł łączenia się za wszelką cenę i kompromisu nawet w miejscach bezkompromisowych, wydaje mi się wielce ryzykowny. Rozmywa to, co i tak u nas za bardzo rozmyte, brzegi naszych mglistych i niejasnych partii politycznych.

Postkomuniści i chłopy z PSL-u przejmują już naprawdę, a nie na niby telewizję. Ja nawet ich jakoś rozumiem. Mają władzę, a telewizja nadal w nich bije. Oglądam tę telewizję od środka, o, było tam nad czym ubolewać, jest amatorstwo, obsadzanie stanowisk kolegami, jak często bez talentu. Okropne rzeczy. Ale to, co wydaje się dnem, jest szczytem kultury i kwalifikacji w porównaniu z tym, co idzie. Prezes telewizji Ryszard Miazek na początku prezentował się jako prawdziwy katolik. Nawet „katolika” i faszysty Cejrowskiego nie zdjął z ekranu. Dopiero gdy ten za bardzo się dobierał do postkomunistów, skończyła się tolerancja dobrego Polaka wobec jeszcze lepszego Polaka. Siedem osób z kierownictwa I programu podało się do dymisji na znak, że z prezesem współpracować się nie da. Były szef I programu Tomasz Siemioniak, który zdążył z Miazkiem przejść na „ty”, opowiada o prezesie rzeczy śmieszne i straszne. Z anegdot o Ryszardzie Miazku i ministrze Kultury Zdzisławie Podkańskim (też PSL) można by złożyć książeczkę. W lipcu

prezes Miazek wezwał Siemioniaka do gabinetu i przyciszonym głosem zakomunikował: „Mówię to tylko do twojej wiadomości – Oleksy musiał odejść, ponieważ nie chciał się zgodzić na przyjazd pół miliona Żydów z Izraela do Polski”. Miazek lubi o sobie mówić w trzeciej osobie: „No i prezes przyszedł na spotkanie”. Minister kultury też jest nieustannie ośmieszany w prasie, to znaczy jest po prostu cytowany, co wystarczy aż nadto. Poprosił dyrektora Andrzeja Rosnera (kiedyś drugi obieg), by ten go umówił na spotkanie z niezującym już od dawna Józefem Czapskim. To jedna z wielu zabawnych opowieści o ministrze kultury. Nic dziwnego, że Rosner został zwolniony. Wracają dobre czasy PRL-u, gdy chociaż jest tak smutno, jest się z czego pośmiać.

Koalicja SLD i PSL, czyli postkomuniści z PZPR i z ZSL, czyli różowe „pany” i zaróżowione chłopcy, zaczynają żywić do siebie wrogość większą niż żywią do największych przeciwników politycznych. Premier Cimoszewicz zwalnia z funkcji ministra współpracy gospodarczej Jacka Buchacza i wygłasza w telewizji dramatyczne przemówienie, po którym na zdrowy rozum prokuratura powinna wszcząć postępowanie karne. Ale tu rozum nie taki zdrowy. Buchacz zwołuje konferencję prasową i chce procesu, bo jest niewinny. To zabawne, że nawet po tamtej stronie mam starych znajomych. Z Buchaczem w dawnych czasach, kiedy był skromnym urzędnikiem PSL-u, grałem w tenisa. Wydawał mi się poczciwym facetem. A teraz to już nie wiem. PSL natomiast wie, że to jest zemsta SLD i celowe upokarzanie chłopca. Trudno o bardziej skłóconych sojuszników. Czy jednak wszystko nie zmierza do groźnego scenariusza, że PSL się odłączy by popłynąć w ramiona innych populistycznych ugrupowań, czyli DOP? Wtedy SLD będzie ratunkiem dla kraju. Ludzi jednak nawet takie groteskowe scenariusze tak bardzo już nie bulwersują. Nastroje nieco się poprawiają, rosną wskaźniki gospodarcze i nieco wskaźniki optymizmu. A to jest najlepsza pasza dla zdrowego rozsądku.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

Czego dziś Warszawa potrzebuje najbardziej? Otóż mostu na swoim południowym krańcu. Ostatnim mostem w tej części miasta jest Most Łazienkowski, już w Śródmieściu, następny – w Górze Kalwarii, o 30 km dalej. Tymczasem miasto obrośło, i dalej obrasta, wielkimi dzielnicami mieszkaniowymi po obu stronach Wisły. Chcąc przejechać na przykład, z lewobrzeżnego Ursynowa na prawobrzeżny Goćław, trzeba się cofać do zakorkowanego centrum, co już jest udręką. Niektórzy w desperacji zawracają więc i prą w mazowieckie łany, żeby przez Most Kalwaryjski, pokonawszy w sumie ponad 60 km, dostać się w miejsce odległe o rzut kamieniem od własnego domu. Gdy się jednak zastanowić, nie wiem, czy nie mniejszy to absurd niż czekanie w narastającym z dnia na dzień korku na wjazd na Most Łazienkowski.

Z braku obwodnicy, z braku metra (istnieje jedynie połówka jednej nitki) i mostu właśnie, oraz rosnącej nieubłagania motoryzacji – poruszanie się po Warszawie stanie się wkrótce nie tylko udręką, ale czymś wręcz niewykonalnym.

Tego typu bolączki wielkich aglomeracji są znane na świecie. Jednakże różnica między światem a nami polega na tym, że świat zjawiska te nie tylko przewiduje, ale stara się im przeciwdziałać. Przede wszystkim skrzykuje się fachowców... My też ich mamy, a jakże! Żeby trzymać się przykładu wspomnianego mostu, nazwanego roboczo „Siekierkowskim”. Założenia i plany w różnych wariantach są od dawna zapięte na ostatni guzik. Tyle, że na papierze.

U nas wszystko kończy się na papierze albo na słowach – rzadko na wykonaniu.

Most można dziś zbudować bardzo szybko, oczywiście za pieniądze. Nikt mi wszakże nie powie, że Warszawska Gmina Centrum ich nie ma, i to w niebywałej porównawczo ilości. Przedwojenny prezydent miasta, Stefan Starzyński, musiał każdy skrawek ziemi na cele publiczne wykupywać od „prywaciarzy”. Dziś te wszystkie niezabudowane w Śródmie-

ciu działki – nie zamknięte pierzeje placów, dziury po powstańczych wypaleniach, na których tak skwapliwie budują się wieżowce banków i zagranicznych przedsiębiorstw – należą póki co do Gminy. Trudne do uregulowania kwestie prywatnej własności na tych terenach napędzają więc niebywałego dochodu Gminie Centrum. Na co więc to wszystko idzie? Bo nie na reperację chodników, zapadniętych od Powstania, nie na jezdnie, dziurawe i kałużaste jak studnie, nie na oświetlenie ulic. Chyba na paliki. Ostatnio, opalowano Warszawę zielonymi słupkami. Tysiące słupków sterczących na krawężniach chodników. Po co? Nie wiadomo. Zresztą, zaraz je mają zrywać, bo nie znalazły aplauzu.

Prezydent miasta – nieodpowiedni, mówiąc delikatnie. Co do tego nie ma dwóch zdań, tu panuje ogólna zgoda. Ale wszystkich nonsensów nie sposób zwać na niego. Bo choć istotnie, Marcin Świąćcki wydaje się być człowiekiem-osiką, to nawet gdyby był człowiekiem-dębem, obawiam się, że i tak niewiele więcej by zwojował.

Paraliżuje go zarząd działający nie wedle obiektywnych potrzeb, ale wedle klucza partyjnego.

Miasto jest oczywiście przykładem większej całości, całości państwa. Obsada ról wedle tego samego klucza obowiązują bowiem wszędzie, wszędzie też powodując podobny paraliż. W telewizji, w kulturze, w każdym ogniwie władzy od góry do dołu. Cała energia człowieka, czy zespołu ludzkiego, który ma jakąkolwiek władzę, idzie w wepchnięcie swojego faceta na odpowiednie stanowisko. A dalej, niech się dzieje, co chce.

Wszyscy o tym wiemy, biadamy, załamujemy ręce, prasa urąga – i nic.

Czasami myślę, że gdyby nagle, za dotknięciem różdżki, układy te pękły, to co by się stało? Czy bylibyśmy zdolni do innego działania? Czy na przykład, obsadzilibyśmy kraj ludźmi kompetentnymi, aktywnymi i nie kierującymi się prywatą? Czy też w tej swojej – zaczynam już myśleć – genetycznie wczepionej, niemożności samoorganizacyjnej, znów założylibyśmy sobie na szyję jakąś absurdalną pętlę?

Popularne stało się u nas pojęcie *homo sovieticus*. Nazwa-klucz, tłumacząca nasze społeczne niepowodzenie. Zwaliliśmy na tego *sovieticus* wszystkie nasze codzienne sprawy, wszystkie winy. No cóż, pięćdziesiąt lat panowania komunizmu

zrobiło swoje, wytworzyło w naszej mentalności bierność i poczucie zależności. Uznałam ten skrót za niesłuchanie trafny, adekwatny dla naszej społecznej postawy. Postawy, jak się wydawało, jednak przejściowej, ograniczonej do pokolenia poddawane komunistycznej indoktrynacji i warunkom życia. Był więc w tym optymizm: wystarczy, że my pomrzemy, następni będą lepsi, bo nie skażeni. Dziś myślę pesymistyczniej, intuicja mówi mi, że po diagnozę naszego stanu rzeczy trzeba sięgnąć głębiej.

Boję się, że jesteśmy wciąż, mówiąc skrótem, który mi się nasunął „społeczeństwem stepowym”.

Nie mając własnej dachy (letniego domku na wsi), oboje z mężem staliśmy się pieczeniarczami. Korzystamy z zaproszeń wielu przyjaciół, co daje nam, poza wiejskimi rozkoszami, przegląd okolicznych daczowisk. Daczowiska są to w kilometry ciągnące się poszatowane i posiatkowane mazowieckie laski sprzedawane ludziom z miasta przez chłopów.

W każdej „przegródce” każdy urządza się na swój sposób. Nierzadko, bardzo wymyślnie. Importowana roślinność, wyszukane krzewy, drzewa i kwiaty, nie mówiąc już o budynkach, często w ulubionym dziś w Polsce dworkowo-mauretańskim stylu. Na ogół, każdy też dba o wyposażenie wnętrza i tego, co naokół, a więc kąciki do grilla, altanki, bujane fotele, hamaki, a w domu kominek, idealnie wyposażona kuchnia, łazienka, a bywa, że i dwie – na górze i na dole. Już nie Europa, ale Ameryka zgoła.

Dacze to takie małe polskie raje-twierdze, gdzie właściciel oddziela się od zgiełku świata, od tej walki którą toczy na co dzień w miejskim krajobrazie pierwotnego kapitalizmu.

I wszystko byłoby pięknie, tylko nie daj Boże, oddalić się o metr od ogrodzenia dachy! Wyjść sobie na spacer, po prostu. Bo zaraz za płotem spotka cię, spacerowiczu, kilometrami ciągnące się śmietnisko. Szumiąca górą Puszcza Biała, którą kroczysz, ma u podnóża, zamiast ściółki, obierzyny, resztki z talerzy, butelki, puszki, proszki, zbutwiałe meble, dziurawe wiadra i miski.

Dawniej ubolewało się, że chłop ma ten brzydki zwyczaj i wywozi furą swoje śmieci do lasu, dziś czyni to autem pan

doktor, inżynier, przemysłowiec, handlowiec i profesor. Co mi nie pasuje – to za płot!

W tej sytuacji doroczne ogólnopolskie święto pod hasłem „Sprzątamy Polskę”, rozdmuchane i rozreklamowane przez wszystkie media, staje się urągowaniem: pachnie reliktem komunistycznych pozorowanych „czynów”.

Zimową porą dacje są obowiązkowo okradane przez miejscowych. Często przez tych, którzy miejskim ziemię sprzedali. Wielu daczowników, wywiózłszy już na zimę wszystko, co można, zostawia drzwi otwarte i stosowną wywieszkę. Chcą uniknąć rąbania i bicia szyb. Ale i tak kawalerka wiejska rąbie i niszczy, co się da, z nudów, z powódzanej agersji i z potrzeby bezinteresownego huligaństwa. Raz, znajomy po śladach trafił do domu tego, kto mu ukradł deski przygotowane na podłogę. I cóż? Popatrzył sobie na chałupę złodzieja i... umówił się z nim na kładzenie podłogi z ukradzionych desek, zapłaciwszy za nie, oczywiście.

Wokół Warszawy, na północnym Mazowszu zwłaszcza, tam, gdzie styka się ono z Kurpiami, istnieje wiele złodziejskich wiosek. Na to odludzie carat zsyłał swego czasu złodziei. I tradycja ta przetrwała. W lecie chłop sieje i orze, w zimie jeździ gdzieś ku miastu na zarobek i okrada daczowiska, które powstały pod bokiem.

Nie tylko zresztą okrada. Dostarcza daczownikom wszystkiego, co do życia potrzebne. Jadąc drogą przez zabita wieś, widzi się często z daleka napis SUPERMARKET umieszczony na dawnym chlewiku czy drewnitni. A w nim obok podstawowych produktów wszystko to, co można dostać w mieście, z paczkowanymi lodami włącznie.

Daczowników ze wsią łączy symbioza złodziejsko-handlowa. Już się do tego obie strony przyzwyczyły. I dobrze im z tym, nikt nie myśli o zmianie.

W swoim czasie komuna wymyśliła rewir „przemysłowego” wypoczynku dla warszawiaków. Tam, gdzie Bug styka się z Narwią, by potem, koło Modlina, jako jedna rzeka wpaść do Wisły, kosztem wielu zalanych wsi, stworzono sztuczne jezioro, nazwane Zalewem Zegrzyńskim. Zalew Zegrzyński nigdy „nie zagrał” pełną parą. Warszawiacy nigdy jakoś nie uznali go za swoje masowe miejsce wypoczynku. Pozbawiony odpowiedniej infrastruktury, jak większość budów komunizmu,

zmarłwił więc. I o dziwo, obecni przywaciarze też się nim nie zajęli. Nie stworzyli tu jakichś „Mazur” na opłotkach Warszawy, choć przecież wielka woda powinna inspirować. Tak więc brudno tu i pusto; dawne domy wczasowe zapadają w pokrzywy, i choć w zaroślach przywodnych wysiadują wprawdzie wędkarze, to o niczym nie świadczy, bo ci są wszędzie.

No i dacje. Te też są wszędzie. Staranne, wymuskane, ale i tu nie daj Boże, wyjść za próg! A przecież spacer nad wodą kusi. Niestety, od tej nie tak dawno jeszcze, za mojej pamięci, rozlanej szeroko, dzięki, pięknej Bugo-Narwi – śmierdzi dziś jak z kloaki. Śmierdzi nie tylko sama woda, ale i brzeg. Gdy się idzie ścieżką, trzeba zatkać nos i uważać, żeby w coś nie wdepnąć.

Ambicją każdego budującego się dziś prywatnego domu jest *cathedral ceiling* czyli bawialnia wysoka na wszystkie kondygnacje; jest łazienka wyłożona hiszpańską glazurą, z wpuszczoną okrągłą wanną, *à la* basen, są marmurowe schody. Wygląda to często komicznie, bo pałace te stoją obok siebie bez zachowania jakiegokolwiek proporcji przestrzennej, stoją tak blisko, że bez trudu jeden drugiemu zagląda, co ma na talerzu. Ale może o to właśnie chodzi, żeby ukazać splendor? Podobno snobizm indywidualny korzystnie oddziałuje na stan społecznej cywilizacji i widocznie to prawda, bo toalety w miejscach publicznych już mamy takie, że można do nich wejść bez odruchu wymiotnego.

Ale czy nie jest to trochę jak szata królowej włożona na niedomyte ciało?

Bo gdzieś w głębi – nadal jesteśmy społeczeństwem stepowym, niezdolnym do wspólnego działania niż w obrębie własnego parkanu.

Nasz obecny Parlament uwielbia fety. Ktokolwiek by nie przyjechał z zagranicznych osobistości – pełna sala. Nie jestem bynajmniej za bojkotem gości, a już na pewno nie – prezydenta Francji, Jacquesa Chiraca. Na jego wystąpieniu (10 września 1996 r.) zdarzyła się w Sejmie zupełna rzadkość – stu procentowa obecność, taka, jaką widziało się ostatnio w Sejmie Kontraktowym.

Ach, Sejm Kontraktowy, łażą się kręci w oku! Niech sobie mówią, co chcą, ale to były prawdziwe pierwsze wzruszenia, pierwsze, namacalne doznania wolności. Tak niedawno, a jakby wieki temu!

Byłam wówczas sprawozdawcą *Tygodnika Powszechnego*, pamiętam te chwile. Komuniści, choć w większości umieli się tak zgrabnie przyzaić, że ich prawie nie było widać ani słyszać.

Do wrót Sejmu wchodził w lipcu 1989 roku nowi ludzie; młodzi, roześmiani, nabici energią czynu, zdolną do ruszenia z posad kuli świata – i zupełnie na luzie. Do tego stopnia na luzie, że pamiętam Adama Michnika, który swobodnie zapomniał legitymacji, kompletnie zdezorientowani strażnicy nie chcieli go wpuścić. „To poseł – powiedziała – niech panowie wpuszczają”. W trwodze i bezmiernym zdziwieniu, posłuchali. Tyle lat widywali zupełnie inne twarze.

W antraktach obrad przystawiałam mikrofon do ust parlamentarzystów, dawali wyraz swojemu entuzjazmowi. Tylko Stanisław Stomma, ku memu zgorszeniu, powiedział: „No, Bundestag toto nie jest...” Miał na myśli siermiężność.

Ale jaka to tam była siermiężność w porównaniu z tym, co jest teraz! Jacy są posłowie PSL-u każdy widzi. Ale wcale nie inni – w mowie, piśmie, uczynku i prowienienici – są ich koalicjanci z SLD. Jedni i drudzy, przeważnie drobni czynownicy dawnego i obecnego aparatu i pseudospółdzielczości, sztywni, z gębami pełnymi dawnej nowomowy, której nie są w stanie wyplenić; bo to nie język, to mentalność. A język pełen mazurzenia – mówią „som”; „rękamy”, „noga-my”... Tylko, że tego wszystkiego w grupie SLD-owców mało słyszać, bo im mówić zakazano. Do gadania wystawionych jest tylko kilku pyskatek inteligenciaków, którzy mówią za nich i których widzujemy w telewizorach. Stąd opinia, że eseldowcy lepsi od peeselowców.

Nie czepiałabym się ani zaszłości, ani zewnętrżności, niech tam sobie byliby ćwokami, ale żeby coś mieli w głowach i coś, u diabła, roblii! Nic z tego. Śmierdzące lenie. Nawet jeśli przyszli tu z dobrą wolą, to pasowanie na posła natychmiast przewróciło im we łbie, i uśpiło. Rozbudowany z pietyzmem i rozmachem kompleks rekreacyjny tego gmachu wpuścił ich w kanał prymitywnego, zamkniętego hedo-

nizmu, nastąpiła zupełna amnezja, kto tu dla kogo.

Sala plenarna jest zazwyczaj kompromitująco pusta, prezydium gada do ściany. Ożywienie wywołują jedynie przetoczki personalne, nigdy sprawy merytoryczne. Nikt mi nie wmówi, że z sali wymiata ich intensywna praca po komisjach, bo wtedy byśmy jej rezultaty jakoś widzieli.

W barach przesiadują! Po licznych tu restauracjach i salonach biologicznej odnowy. Szkoda, że odnowa ta nie objęła głów.

Ostatnio słyszę, że posłowie uchwalili bal. Bal z powodu jakiejś tam swojej okrągłej rocznicy. Zastaw się i postaw się. To umiemy.

Żeby wrócić kołem do początku tych rozważań. Ile magistrat miasta stołecznego Warszawy dopłacił do występu Pavarottiego – imprezy na całym świecie dochodowej dla miejsca, gdzie się odbywa – to jeden Pan Bóg wie. Bo to nie tylko było okazałe dofinansowanie całego przedsięwzięcia, ale i wystawne bankiety, których nawiasem mówiąc, Maestro nie zaszczycał, to było zapychanie sali swoimi za darmość.

Może za to nie byłoby mostu, ale jedno przeszło by było.

Tymczasem mieszkańcom Stegien i Ursynowa dalej poręczniej na Pragę przez Górę Kalwarię, bo Mostu Siekierskiego jak nie ma, tak nie będzie.

Warszawa i okolice to moje naturalne tereny obserwacji, tu mieszkam. Ale zajęłam się tą okolicą celowo – bo w tym miejscu najlepiej widać to, co nazwałam stepowością. Sporo jeżdżę po kraju i widzę, że im dalej od stolicy, tym lepiej. Mniej absurdalniej, a za to autentyczniej, zwykłej, gospodarnej, uczciwiej. Mniej strachu i zatimizowania, więcej pomysłów, spokoju i chęci do pospólnej roboty wykonywanej w rozumieniu potrzeb, jakie niesie życie.

Paradoksalnie, ale to nasza prowincja bardziej dziś pachnie Europą niż centrum, czyli dawna Kongresówka. Jeśli tak jest, jeśli w tym miałoby być dla nas jakieś światelko w tunelu, to chuchajmy tam właśnie, żeby nie zgasło.

wrzesień 1996

Ewa BERBERYUSZ

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

potwierdza otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek, przekazanych w czerwcu, lipcu i sierpniu 1996 r.

DZIĘKUJEMY:

- PANI JÓZEFIE RADZYMIŃSKIEJ – pisarce i tłumaczce za przekazanie 597 egzemplarzy książek Jej autorstwa
- PANU ANDRZEJOWI KOTLICKIEMU za przekazanie 1.000 egzemplarzy książek
- ZESPOŁOWI SZKÓŁ ZAWODOWYCH NR 1 W ZDUŃSKIEJ WOLI za przekazanie 595 egzemplarzy książek
- PANU ZBIGNIEWOWI JEŻOWSKIEMU za przekazanie 248 egzemplarzy książek
- PANU WŁODZIMIERZOWI TUGENDRAICH za przekazanie 118 egzemplarzy książek
- PANSTWU EWIE I ROMANOWI GINIEWSKIM za przekazanie 35 egzemplarzy książek
- INSTYTUTOWI SZTUKI PAN za przekazanie 1.170 egzemplarzy książek
- REDAKCJI „FORUM POLONIJNE” za przekazanie 1.000 egzemplarzy pisma
- WYDAWNICTWU NAUKOWEMU PWN za przekazanie 2.211 egzemplarzy książek
- WYDAWNICTWU PRÓSZYŃSKI I S-A za przekazanie 272 egzemplarzy książek
- PANU TADEUSZOWI NOWAKOWSKIEMU I WYDAWNICTWU „POLONICA” za przekazanie 909 egzemplarzy książek
- PANU ROMANOWI CHRYSTOWSKIEMU za przekazanie 56 egzemplarzy książek.

Otrzymane pisma i książki przekazujemy nieodpłatnie bibliotekom w kraju i zagranicą.

Nasz adres:

Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim,
ul. Hoża 29/31, 00-524 Warszawa,
tel./fax 621-70-75, 628-42-57

Dyrektor
mgr Agnieszka Oknińska-Wawer

Wywiady „Kultury”**Polska polityka naukowa**

WYWIAD Z DR. JANEM KRZYSZTOFEM
FRĄCKOWIAKIEM – PROF. MICHAŁ
TYMOWSKI I PROF. WANDA KRZEMIŃSKA

Wanda KRZEMIŃSKA: – *Jakie problemy i zadania stoją przed polityką naukową naszego państwa w okresie transformacji ustrojowej?*

Jan Krzysztof FRĄCKOWIAK: – Zasadniczy problem to zwiększenie edukacyjnej roli nauki. Najważniejszym celem jest wyraźne podwyższenie poziomu wykształcenia, będące warunkiem dobrej pozycji Polski w przyszłym układzie europejskim i światowym. Nauka – jako fundament jakości kształcenia – umożliwi powiększanie kapitału ludzkiego, niezbędnego dla gospodarki, działań społecznych i rozwoju samej nauki i edukacji.

W.K.: – *Rozumiem, że ten kapitał ludzki jest interpretowany przede wszystkim jako kapitał intelektualny?*

J.-K.F.: – Tak. Jest on od ponad ćwierćwiecza traktowany przez ekonomistów na równi z kapitałem w rozumieniu klasycznym. Wiedza i wykształcenie są takim samym bogactwem jak dobra materialne, bogactwa naturalne, czy kapitał finansowy. Potrzebujemy znacznie więcej ludzi wykształconych, a nauka jest stymulatorem edukacji.

Drugim problemem jest wzrost innowacyjności gospodarki, który zależy od dopływu wykształconych kadr, tzw. czuwania technologicznego i transferu osiągnięć naukowych do praktyki. Czuwanie technologiczne wiąże się z umiejętnością wyszukiwania i przejmowania cudzych innowacji. Nawet najbardziej rozwinięte kraje świata nie mogą dziś liczyć wyłącznie na wyniki własnych badań i muszą korzystać z dorobku nauki światowej, do czego jednak także trzeba być odpowiednio przygotowanym. Wdrażanie własnych osiągnięć naukowych do gospodarki przez lata było i niestety nadal jest w Polsce, niewystarczająco sprawne. Minione czterdzieści pięć lat gospodarki planowej nie sprzyjało racjonalnemu współdziałaniu sfery gospodarczej i naukowej. W warunkach gospodarki rynkowej uczymy się tej współpracy. W szczególności wprowadzamy instrumenty finansowe, ekonomiczne i prawne, które potencjalnym odbiorcom stwarzają lepsze warunki do zakupu i wykorzystania wyników badań naukowych. Komitet Badań Naukowych nie dąży do stosowania tzw. instrumentów bezpośrednich, jak np. finansowanie środkami budżetowymi wdrożeń osiągnięć naukowych, ale zmierza ku coraz szerszemu stosowaniu instrumentów pośrednich w postaci np. ulg podatkowych dla tych podmiotów gospodarczych, które inwestują w badania i rozwój, podnosząc w ten sposób swoją konkurencyjność. Dowodem skuteczności takiej polityki jest wzrastający udział finansowania pozabudżetowego nauki: w latach 1992-1995 wzrost nominalny finansowania budżetowego sięgnął blisko 200%, co oznacza jednak realny spadek o 28%, podczas gdy finansowanie pozabudżetowe wzrosło nominalnie o 350%, czyli realnie o 8%. Zważywszy na kryzys początku lat 90-tych jest to wskaźnik dość optymistyczny. Dodajmy, że problem ulg podatkowych ma także wymiar polityczny, gdyż takie ulgi uszczuplają doraźnie budżet państwa. Trzeba więc przekonać rząd i parlament, że przyszłe zyski z zastosowania tych mechanizmów będą większe niż dzisiejsze „straty”. Przekonane powinno być również społeczeństwo, ale w Polsce społeczne rozumienie spraw nauki nie jest niestety naszą silną stroną.

Michał TYMOWSKI: – *Panie Ministrze, sformułował Pan pewne cele, które stoją przed nauką polską, ale sam wybór tych celów jest także pewnym problemem. Jakie tu się pojawiają dylematy, jakie możliwości wyboru i mechanizmy realizacji tych celów?*

J.-K.F.: – Jednym z najważniejszych celów jest wzrost udziału Polski w nauce światowej, w zwłaszcza na arenie europejskiej współpracy naukowej. Wymaga to stabilnego rozwoju kadr badawczych, jednak warunek ten może okazać się trudny do spełnienia. W polskiej nauce napływ nowych kadr nie równoważy bowiem ubytków z tej sfery. Mimo kształcenia młodych ludzi, niewielu, i nie zawsze tych najlepszych, decyduje się na pozostanie w nauce, głównie ze względu na niskie uposażenia. Co gorsza, z tych samych powodów z nauki odchodzi wielu zdolnych, ambitnych badaczy. Jeżeli ta tendencja się utrzyma, za kilka, kilkanaście lat nie będzie komu uczyć następców.

Hierarchię celów polityki naukowej naszego kraju staramy się ustalać korzystając także z doświadczeń krajów rozwiniętych. Uczymy się na cudzych błędach i sukcesach, co daje czasem szansę skrócenia etapów pośrednich. Znacznie uważniej patrzymy teraz na praktyczną przydatność badań dla rozwoju kraju, śledzimy potwierdzające się w świecie kierunki rozwoju. Więcej inwestujemy na przykład w pewne dziedziny nauk biologicznych, ważnych dla medycyny czy biotechnologii. Kształtując politykę naukową pomijamy jednak o potrzebie zachowania równowagi.

W.K.: – *Czy mówiąc o „zachowaniu równowagi” ma Pan na myśli równowagę pomiędzy poszczególnymi dyscyplinami naukowymi?*

J.-K.F.: – Tak, ale nie tylko. Równowaga ta dotyczy także wyboru pomiędzy wspieraniem swobody twórczej a sterowaniem nauką. Potrzeby przedsiębiorstw przesadzają o zamawianiu konkretnych tematów badań, państwo określa priorytety, programy badawcze, strategiczne cele naukowe. Finansujemy jednak również prace oparte wyłącznie o własne

pomysły i intuicję uczonych. Jedynym narzuconym warunkiem jest wtedy dobry poziom naukowy.

Innym zagadnieniem związanym z równowagą między dyscyplinami i kierunkami badań jest wspomniana już edukacyjna rola nauki. Aby nauka mogła ją spełniać, musi być uprawiana w bardzo szerokim spektrum. Trzeba więc pogodzić sprzeczność pomiędzy potrzebą finansowania wielu tematów naukowych a dążeniem do lepszej efektywności, osiąganego przez narzucanie priorytetów. Jesteśmy jednak przekonani, że nie wolno rezygnować z badań czysto poznawczych, sterowanych jedynie ciekawością uczonego i jego intuicją.

W.K.: – *Sądzę nawet, że jednym z głównych zadań działalności edukacyjnej uczelni wyższych jest wyposażenie młodych ludzi nie tylko w ustrukturyowaną wiedzę, ale także, a może przede wszystkim, w narzędzia pracy intelektualnej, które pomogą stawić czoła przyszłym, nieznanym dzisiaj wyzwaniom.*

M.T.: – *Dobrze byłoby, gdyby już szkoła zaczynata tę pracę. Niebezpieczne jest zarzucanie zbyt dużą ilością informacji bez jednoczesnego wykształcania umiejętności logicznego, twórczego myślenia.*

J.-K.F.: – Rzeczywiście taką umiejętność może przekazać mistrz uczniowi tylko wtedy, gdy sam jest czynnym uczonym. Misją każdego twórczego badacza powinno być wykształcenie i wychowanie młodych ludzi, spośród których najlepsi staną się jego następcami. Rozwiązania bardziej szczegółowe przewidują m.in. włączenie instytutów pozauczelnianych do działalności edukacyjnej, szczególnie na poziomie dyplomowym, podyplomowym, czy kształcenia ustawicznego, a także współdziałanie kadr z ośrodków uniwersyteckich i instytutów badawczych dla efektywniejszego wykorzystania ich potencjału. Wymaga to przełamania pewnych przyzwyczajzeń, dotyczących rozgraniczania pracy czysto badawczej i działalności edukacyjnej, ale korzyść ze zniesienia takiego rozróżnienia odniosą wszystkie zainteresowane strony.

M.T.: – *Nauka najszybciej rozwija się w silnych ośrodkach, do których wybitni uczeni przyciągają uzdolnioną młodzież, i które łatwiej zdobywają środki finansowe. Czy to nie utrudnia jednak awansu starszych ośrodków i powstawania nowych placówek badawczych?*

J.-K.F.: – Jest to ciekawe pytanie. Rozwój ośrodków regionalnych jest jednym z priorytetów nowoczesnej polityki naukowej. Odchodzimy obecnie od systemu jednego silnego centrum na rzecz stworzenia sieci równorzędnych ośrodków regionalnych, gdyż ze światowych doświadczeń wynika, że policentryczny model rozwoju nauki i współpracy naukowej jest efektywniejszy.

Bardzo ważnym elementem tej strategii jest rozbudowa infrastruktury informatycznej. Duży nacisk kładziemy na budowanie w Polsce sieci komputerowych, które dzisiaj łączą badaczy z praktycznie wszystkich ośrodków akademickich w kraju. W 19 ośrodkach miejskich funkcjonują lub wkrótce zostaną uruchomione najnowocześniejsze miejskie sieci komputerowe o dużej przepustowości. W pięciu takich ośrodkach (Kraków, Poznań, Warszawa, Gdańsk i Wrocław) działają centra komputerowe wyposażone w komputery o dużej mocy obliczeniowej, zwane czasem superkomputerami. Dostęp do nich mają – przez sieć krajową – wszystkie znaczące ośrodki naukowe. Lokalne – ale połączone z całym krajem i światem (Internet!) – sieci sprzyjają tworzeniu i wzmocnieniu powiązań naukowych, a więc realizacji ważnego celu naszej polityki naukowej.

W.K.: – *Pozwolę sobie dodać, że nie bez znaczenia jest stworzenie w ten sposób możliwości szybkiego dostępu do zasobów informacji w skali świata, co wyraźnie wpływa na efektywność badań.*

J.-K.F.: – Rzeczywiście są to rewolucyjne zmiany w systemie obiegu informacji, a komunikacja komputerowa znajduje wśród badaczy coraz więcej zwolenników i staje się dla nich codziennym narzędziem pracy. Informatyzacja otwiera dla Polski nowe perspektywy – możliwości codziennej, rutynowej

współpracy ponad granicami państwowymi i szybszego przepływu informacji. Obserwujemy lawinowy wzrost kontaktów naukowych naszych badaczy z ośrodkami zagranicznymi, przy czym większość z nich bynajmniej nie jest sterowana centralnie w ramach oficjalnych wymian państwowych; wręcz przeciwnie, odbywa się z własnej inicjatywy i na własną odpowiedzialność uczonych lub instytucji naukowych. Jeszcze kilka lat temu częściej spotykało się opinię, że system centralnie sterowanych programów (w tym mieściła się współpraca z zagranicą regulowana przydziałami „cennych dewiz”) był efektywniejszy. Analiza wskaźników naukometrycznych (liczba publikacji, liczba cytowań, liczba kontaktów zagranicznych itp.) jednak wykazuje – przy znacznym realnym spadku państwowych nakładów na badania – bardzo wyraźny (w dobrych placówkach nawet kilkukrotny) wzrost wskaźników uczestnictwa polskich badaczy w międzynarodowej aktywności naukowej.

M.T.: – *Mimo tej elastyczności i wielkiej poprawy w wymianie międzynarodowej, jest jednak jeszcze wiele do zrobienia dla rozwoju współpracy zarówno z krajami Wspólnoty Europejskiej, jak i Europy Środkowej i Wschodniej.*

J.-K.F.: – Niewątpliwie rozwiązać trzeba jeszcze wiele problemów, a przede wszystkim naszych problemów wewnętrznych. Mam na myśli wspomniany już niedobór młodych kadr w nauce, finansowanie zbyt niskie w stosunku do realnych potrzeb, permanentne niedoinwestowanie istniejącego majątku trwałego. To prawda, że inwestując w infrastrukturę stawiamy na najlepsze rozwiązania – np. Warszawa jako jedno z pierwszych miast w Europie została wyposażona w nowoczesną technologię budowy sieci komputerowych ATM, a w informatyzacji bibliotek oparliśmy się m.in. na doświadczeniach niemieckich, dzięki czemu uniknęliśmy powtórzenia kosztownych błędów. Zarazem jednak musimy stwierdzić, że wsparcie państwa jest zbyt nikłe w stosunku do stałych potrzeb związanych choćby z utrzymaniem budynków, remontami, amortyzacją aparatury.

Mimo, że nauka i edukacja już od dwóch lat znajdują się na liście priorytetów rządu, ich wsparcie ze środków publicznych pozostawia jednak wiele do życzenia. Niewystarczające – mimo znaczącego postępu – są także rozwiązania prawne i finansowe promujące „naukochofność” podmiotów gospodarczych.

M.T.: – *Panie Ministrze, jaką rolę widzi Pan dla Stacji Naukowych PAN jako ośrodków reprezentujących polską naukę zagranicą i czego oczekiwałyby instytucje rządowe od tego typu placówek?*

J.-K.F.: – Uważam, że zagraniczne Stacje Naukowe PAN powinny przede wszystkim pełnić rolę informacyjną i promocyjną, ułatwiającą nawiązywanie i podtrzymywanie współpracy badaczy polskich z partnerami z ośrodków zagranicznych, wspierać obecność i propagować osiągnięcia nauki polskiej na arenie międzynarodowej, podejmować inne działania na rzecz związków nauki polskiej z instytucjami międzynarodowymi. Wzmocnienie naukowej pozycji Polski w świecie można osiągnąć przez wieloletnie i wielokierunkowe działania. Złoży się na nie wiele przedsięwzięć, a wśród nich ważna powinna być także działalność Stacji Naukowych PAN.

W.K.: – *Postrzeganie roli stacji paryskiej przez jej kierownictwo i wybór kierunków działania zbiega się jak najbardziej z Pana oczekiwaniami, ale czy wynikają z tego jakieś konkretne, wymierne decyzje KBN?*

J.-K.F.: – W KBN dyskutowano możliwości dotowania Stacji przez Komitet, ale nie pozwalają na to warunki prawne, ponieważ Stacja nie jest instytutem naukowym, a jedynie placówką pośredniczącą i organizującą współpracę. Otwarte są natomiast dla Stacji i jej pracowników niektóre inne strumienie finansowania budżetowego. Jeżeli zaś już mowa o naszych oczekiwaniach, to chcielibyśmy jeszcze, aby Stacja, podobnie jak Akademia, będąca korporacją reprezentującą całe polskie środowisko naukowe, nadal służyła swoją pracą wszystkim

polskim uczonym, niezależnie od tego, czy zatrudniają ich placówki naukowe PAN, szkoły wyższe czy jednostki badawczo-rozwojowe.

M.T.: – *Panie Ministrze, bardzo dziękujemy za ciekawą rozmowę.*

*Rozmowę prowadzili
dr Wanda KRZEMIŃSKA i dr Michał TYMOWSKI*

Dr Jan Krzysztof Frąckowiak jest podsekretarzem stanu w Komitecie Badań Naukowych.

Dr hab. Michał Tymowski jest profesorem na Uniwersytecie Warszawskim, obecnie pełni funkcję 1-go zastępcy dyrektora Stacji.

Dr hab. Wanda Krzemińska jest profesorem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, obecnie pełni funkcję zastępcy dyrektora od spraw naukowych Stacji.

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Sprawy i troski

Nauki polskiej droga przez mękę

Z czasów peerelowskich zapamiętałem taką scenkę: utytułowany naukowiec, zresztą partyjny, mówi dobitnie do słuchawki telefonicznej: – Panie profesorze, ja zawsze powtarzam: albo się będzie rozwijać naukę i technikę w Polsce, albo Komitet do spraw Nauki i Techniki!

Złośliwiec mógłby powiedzieć, że od pięciu lat (z okładem) uczeni polscy zajmują się nie poszukiwaniem, wynajdywaniem i odkrywaniem, ale reformą swoich instytucji. Było to jednak konieczne: biurokracja i marnotrawstwo pieniędzy sięgnęło za rządów Jaruzelskiego apogeum. Przemysł potrzebuje unowocześnienia i zmniejszenia materiało- i energochłonności – na próżno czekał na wsparcie naukowych instytucji w tym celu (nominalnie) stworzonych. Z tysiąca przykładów przypomnijmy patent na ekologiczne ogrzewanie otrzymywanym ze spalania węgla. Józef Kuśmierk swoim zaostrzonym piórem tak opisywał tę sprawę: „Historia państwa Giecwiczów jest jedną z wielu, „jedną z tysiąca, może dziesiątków tysięcy podobnych spraw. Naukowcy polscy narzekają na niedobłą atmosferę wokół nauki, na brak zainteresowania decydentów, na brak funduszy. A po co im fundusze! (...) Zanim odwiedziłem mieszkanie pani inż. Giecwicz miałem w rękę dokument podpisany przez doradcę naukowego Głównego Instytutu Gospodarki Energetycznej. Jak wynika z korespondencji, ten główny doradca przez 20 lat nie robił nic

Artykuł ten traktujemy jako dyskusyjny (RED).

innego, jak tępił wszystkie osiągnięcia państwa Giecewiczów.

Dlaczego w środowisku naszych naukowców tam gdzie pojawia się sukces, od razu nadciąga niszcząca wszystko burza zawiści? Nie SB inspirowało papierników z Łodzi, by zniszczyć Giecewiczów za pomysł robienia tektury z odpadów węgla brunatnego. Nie MSW inspirowało Senat AGH, by pozbawić Tadeusza Giecewicza warsztatu pracy."

Pierwsze pomysły na reformę nauki polskiej pojawiły się natychmiast po wyborach 89 r. W 5. numerze *Tygodnika Solidarność* z 29 VI 89 Antoni Hoffman, Jerzy Dzik i Janusz Uchmański pisali: „Nie ma powodu, żeby nauka miała się lepiej niż gospodarka. (...) Kwestią najtrudniejszą – choć zapewne najbardziej spektakularną – jest racjonalna organizacja badań podstawowych. Kłopot z nimi polega na tym, że na ogół jedynie naukowcy ocenić potrafią ich celowość. Nauka jest jednak dziedziną zbyt ważną w życiu społeczeństwa, by pozostawić ją całkowicie w rękach naukowców.” W *Gazecie Wyborczej* z 21 IX A. Hoffman powiedział więcej:

„Nieprawdą jest teza, że z nauką dlatego jest źle, bo brakuje na nią pieniędzy. (...) Nauce przede wszystkim brakuje mechanizmów, które sprzyjałyby jej rozwojowi. Kto raz się w instytucie naukowym zatrudni, ma posadę do końca życia, choćby nawet nie sprawdził się jako naukowiec. Potrzebny jest mechanizm promujący lepszych, bardziej twórczych i pracowitych, a eliminujący słabszych. (...) Wiele działających dziś instytucji naukowych powinno ulec drastycznemu ograniczeniu, a nawet likwidacji. (...) Trzeba skończyć ze szkodliwym podziałem na trzy piony nauki – uczelnie, Polską Akademię Nauk i badawcze instytuty resortowe. Podział ten prowadzi do dublowania tych samych, kosztownych zwykle, badań.

Nowy minister i jego pomocnicy dość szybko przygotowali projekty nowych ustaw – i choć pozostawiono jeszcze osobne uprawnienia szkołom wyższym MON i MSW, to początek 1991 roku przyniósł wreszcie radykalną zmianę: zamiast państwa, pieniądze rozdzielać miał wyłoniony drogą wyborów Komitet Badań Naukowych. Wzorem krajów zachodnich fundusze przydzielane miały być odtąd w formie „grantów” na konkretne projekty badawcze, nie zaś na roczne czy wieloletnie plany danej placówki. Reformatorom wydawało się jednocześnie, że zastąpi to weryfikację wśród kadry naukowej,

zwłaszcza profesorskiej, gdzie tytuły nadawane były nader często z powodów politycznych czy „układowych” (z tego powodu fizyk Jerzy Przystawa przez 11 lat odmawiał przyjęcia tytułu profesorskiego – w złudnej nadziei, że za jego przykładem pójdą inni). Przypuszczano, że jeśli ktoś przez 3-5 lat nie otrzyma grantu, to po prostu wypadnie z nauki.

Pieniądzy było jednak tak mało, a pretensje o nieobiektywność przydziałów tak głośne – iż te nadzieje nie mogły się ziścić. Obiektywność przy rozdzielaniu funduszy była tak szeroko kwestionowana, że w styczniu członek KBN, prof. Ryszard Tadeusiewicz, zdecydował się wystąpić publicznie w tej sprawie. Broniąc Komitetu – i przyznając, że jego decyzje są często odmowne – pisał: „Jednak pozwolę sobie stwierdzić, że decyzje podejmowane są uczciwie. (...) Podczas konkursu badawczego trzeba przejrzeć i ocenić w każdej sekcji ok. stu wniosków. Wśród tych wniosków są niewątpliwie projekty bardzo wartościowe merytorycznie (...) ale są też wnioski nie do końca przemyślane... Są wreszcie – częściej niż można się było spodziewać – przykłady zwykłego cwaniactwa.”

Reformatorzy z Komisji Porozumiewawczej Nauki NSZZ „Solidarność” – których zresztą w środowisku zaczęto wkrótce nazywać rewolucjonistami – zamierzali rozbić stare struktury PAN-u i zastąpić je nowymi. Dowodem na to, że nie byli jednak rewolucjonistami jest fakt, że przewidywali auto-reformę: rozpoczętą impulsem wychodzącym od samego środowiska. Była to naiwność – ani większość pracowników Akademii, ani oczywiście jej kierownictwo, potrzeby głębszych, to znaczy strukturalnych zmian, nie dostrzegło. Nowo wybrany prezes PAN, prof. Leszek Kuźnicki, wziął w obronę „Straszny Dwór”, jak malkontenci nazywali instytucję w Pałacu Staszica: „W Polsce dążono do tego, by wybór członków PAN odbywał się na podstawie ocen merytorycznych i moralnych. Te ostatnie odgrywały ważną rolę, nawet w czasach najbardziej ponurych”. Zabrakło prof. Hugo Steinhausa, który na żądanie prowadzącego posiedzenie Zgromadzenia Akademii podania przyczyn nieobecności niektórych członków, mruknął, że ważniejsze byłoby usłyszeć przyczyny obecności niektórych.

Ostatnią, odgórną próbę „rewolucji” podjął prof. Andrzej Stelmachowski, minister edukacji w rządzie Olszewskiego. Ogłosił on zamiar reanimacji rozwiązanej w 1950 roku

Polskiej Akademii Umiejętności i jednoczesnej likwidacji PAN (która wtedy właśnie powstała). Prawdopodobnie nie bez związku z tym planem w lutym 1992 r. kilkunastu profesorów opublikowało w *Gazecie Wyborczej* apel do premiera, utrzymany w tonie alarmowym, gdzie pojawiło się stwierdzenie, iż brak funduszy na naukę „zagroza Polsce katastrofą cywilizacyjną”. W komentarzu opublikowanym pod apelem, Adam Michnik oczekiwał „że premier Olszewski publicznie ustosunkuje się do apeli uczonych i proponuje sposoby działania, które mogą zapobiec katastrofie”.

Trzy tygodnie później Henrykowi Borucińskiemu udało się wydrukować w *Gazecie* replikę – w której zakwestionował moralne prawo sygnatariuszy do takich roszczeń: „Miejsce, w którym się znajdujemy, w dużym stopniu zawdzięczamy naukowcom. O tym zapewne pamiętają. Być może zdają sobie również sprawę ze skali zniszczeń, jakie pozostawili po sobie komunisci i z tego też, że zostawili pustą kasę i 40 mld dolarów zadłużenia. (...) Ciekawe, że pod apelem nie podpisał się ani jeden szerzej znany profesor ekonomii”. Gabinet Olszewskiego wkrótce upadł – i PAN-owi nic już, jak się zdaje, nie grozi. Cały hałas wobec jej ewentualnej likwidacji pomógł jedynie jej pracownikom, gdyż wszyscy (prawie) docenci otrzymali tuż przed spodziewanym końcem PAN-u stopnie profesorskie.

Pozostaje oczywiście kwestia pieniędzy – i one to właśnie były powodem ostatniej, jak dotąd, polemiki przy otwartej kurtynie. Odbyła się ona w połowie 1993 roku, gdy dyrektorzy 21 placówek PAN wysłali do przewodniczącego KBN, prof. Witolda Karczewskiego, list otwarty, w którym kategorycznie (a wedle adresata wręcz histerycznie) zażądali zwiększenia przyznanych im instytutom sum. W odpowiedzi prof. Karczewski zakwestionował ich prawo do występowania w imieniu pozostałych trzech czwartych placówek, a następnie – wykazując błędy rachunkowe nadawców – przypomniał, że „Komitet Badań Naukowych nie rozpatruje osobno placówek PAN, IBR czy wyższych uczelni – uznając ów podział na ‘piony’ nauki, za jeden z najbardziej szkodliwych relikwów przeszłości. Pod uwagę brany jest wyłącznie poziom naukowy i dynamika rozwojowa danej placówki, nie zaś jej instytucjonalna afiliacja”.

Najwyższa Izba Kontroli weszła w ten spór mimowolnie,

w tym właśnie czasie publikując swój raport na temat efektywności badań naukowych. Stwierdziła w nim, iż „tematyka kontrolowanych grantów wykazywała dużą zbieżność z tematyką realizowanych równoległe badań finansowych ze środków na działalność statutową, często nawet w zakresie pozwalającym na sformułowanie zarzutów podwójnego finansowania tych samych prac. Były one wykonywane przez te same osoby lub zespoły badawcze. (...) Podkreślić należy, że w praktyce zrezygnowano z przewidywanych w założeniach grantów preferencji dla młodych twórców do lat 30. Wśród dotychczasowych wykonawców stanowią oni zaledwie 5%. (...) Zwracał uwagę rosnący udział wynagrodzeń w kosztach projektów badawczych, a także brak dyscypliny finansowej ze strony kierowników projektów przy całkowitym braku reakcji ze strony KBN. Powszechne były przypadki wypłacania wynagrodzeń przed faktycznym wykonaniem zadań oraz osobom nie uczestniczącym w ich realizacji – jak również finansowania wyjazdów zagranicznych nie związanych z tematem grantu, w tym osób nie wchodzących w skład ekipy realizacyjnej”. I wreszcie najbardziej niepokojące zjawisko odnotowano na końcu raportu: „W sytuacji niedoboru środków zwracał uwagę stan niskiego zaawansowania wydatków w porównaniu do kwot przekazanych przez KBN. Zjawisko to, zwłaszcza wobec tendencji do tworzenia różnego rodzaju rezerw i lokat na rachunkach oprocentowanych – świadczy o wyraźnym ograniczeniu działalności badawczej”.

Wszystkie te zarzuty trzeba jednak skonfrontować z sytuacją placową w nauce – a jest ona smutna. W 1994 roku najwyższą pensję w PAN otrzymywali zatrudnieni w Zakładzie Fizyki Teoretycznej – i było to niecałe 9 mln 400 tys. zł. Zważywszy ile może zarobić dobry fizyk teoretyczny na Zachodzie, trzeba być prawdziwym patriotą, by pracować w kraju. W 1993 roku zwolniono ok 30% pracowników nauki – zwykle adiunktów, którzy nie podjęli przewodu habilitacyjnego – ale praktycznie nie uszczuplono administracji. „Jeśli jakieś uboczne zajęcia uczonego kolidują z jego działalnością pedagogiczną lub naukową, trzeba zrezygnować albo z tych zajęć, albo z pracy naukowej.” Tak uważał twórca cybernetyki Norbert Wiener. Gdyby polscy uczeni mieli się do tej opinii zastosować, trzeba by prawdopodobnie rozwiązać PAN z braku pracowników.

Naukowcy postawieni wobec tak nowej i trudnej sytuacji muszą się różnić w sądach – to oczywiste. Niestety, opinie ich nie zawsze są bezinteresowne – ale może to byłoby już zbyt wysokie wymaganie. Dość radykalne poglądy ma prof. Janusz Czyż z Instytutu Matematycznego PAN, który bardzo krytycznie ocenia poziom wykształcenia w Polsce i uważa, że jedynym rozwiązaniem byłoby wprowadzenie studiów licencjackich, to znaczy półmagisterskich – tak jak to się dzieje na świecie. Jest zdania, iż jak najszybciej trzeba zlikwidować wydziały Marce 68 czyli instytuty i przywrócić katedry. Twierdzi też, że różnych ciał naukowych – np. komitetów – jest zdecydowanie za dużo i że jak na razie KBN nie zmniejszył naukowej biurokracji. Sądzi wreszcie, że bez dekomercjalizacji nauka w Polsce będzie coraz bardziej sposobem na wyciążenie paru złotych od państwa, a nie pracą badawczą – czego przykładem jest dłań fakt, iż jedyny polski uczone cytowany na Światowym Kongresie Matematyków w Zurychu... nie dostał grantu w swojej placówce we Wrocławiu.

Idea samorządu nauki wydaje się tak słuszna i praktyczna, iż doprawdy byłoby katastrofą, gdyby okazało się, że jednak się w naszych postkomunistycznych warunkach nie sprawdza. „Jeszcze w 1988 roku – pisze Rafał Grupański, redaktor naczelny *Czasu Kultury* – pięć szkół wyższych, w tym uniwersytet poznański, zostało na skutek ówczesnego kaprysu komunistów wytypowane na szkoły eksperymentalne, które odtąd mogły m.in. z dużą dowolnością przekształcać swoje oblicze organizacyjne i programy. Minął rok i o jakichkolwiek zmianach nie usłyszeliśmy nic. Ale jak tu z własnej woli znieść obowiązkową obecność studentów na zajęciach, gdy grozi to ujawnieniem prawdy, że znaczna część wykładowców to niekompetentni nudziarze, których nikt nie przymuszony nie miałby ochoty słuchać?”

Obecnie słyszy się o projekcie uwłaszczenia instytutów – nie została jednak rozstrzygnięta kluczowa kwestia, to znaczy czy mają mieć osobowość prawną. Oznaczałoby to najprawdopodobniej ich całkowitą komercjalizację. Czy można – i czy należy – tego uniknąć? Te palące pytania wciąż czekają na odpowiedź.

Paweł RATYNIECKI

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

„Koniec wojny. Dostyc się nawojowaliśmy...” – oświadczył Aleksander Lebied', podpisując z Aslanem Maschadowym, naczelnikiem Sztabu Głównego zbrojnych sił czeczeńskiej opozycji, umowę o zasadach uregulowania konfliktu. Wydarzenie to uważam za jedno z najważniejszych w historii nowej Rosji. Przede wszystkim dlatego, że położono kres bezmyślnej wojnie. Po drugie dlatego, że zakończył ją człowiek, który był co prawda pełnomocnikiem prezydenta, ale działał po swojemu, wbrew woli i nadziejom tych, którzy go posłali do Czeczenii.

Istnieje pewna zbieżność między zdecydowaniem Lebiedia w sierpniu 1996 roku i wystąpieniem Jelcyna w październiku 1987. Przyszły rosyjski premier zaatakował wówczas na plenum KC KPZS przywileje nomenklatury. Był to szalenie śmiały krok – nie przypadkiem wtedy właśnie Jelcyn dostał pierwszego zawału. Przemówienie Jelcyna naruszało wszystkie zasady ustroju, a wychodząc poza ramy jego praw, spowodowało nań atak. Michaił Gorbaczow natychmiast surowo ukarał „dysydenta”. Jednak cztery lata później wahadło znalazło się po drugiej stronie: teraz Borys Jelcyn jest prezydentem Rosji, Gorbaczow istnieje tylko na łamach starych gazet.

Aleksander Lebied' naruszył prawa systemu, którego twórcą jest Jelcyn. Przede wszystkim naruszył je tym, że zakończył wojnę błyskawicznie, pokazując w ten sposób, że trwała ona tylko dlatego, że Moskwa nie chciała jej przerwać. Naruszył zasady, oświadczając na konferencji prasowej to, o czym wszyscy wiedzą, ale boją się powiedzieć: „Wynędniali

kraj ze zrujnowaną gospodarką i takim wojskiem nie może sobie pozwolić na luksus wojny”.

Różnica między oboma „dysydentami” jest na miarę różnicy między oboma systemami. Borys Jelcyn zbuntował się przeciwko niektórym cechom systemu sowieckiego, sądząc błędnie, że generalny sekretarz go poprze. Aleksander Lebied' mówi jak demokrat: „Nie jestem klerkiem. Za mną stoi jedenaście milionów ludzi, którzy mi zaufali...”

Sekretarzowi Rady Bezpieczeństwa brak tylko laurów męczennika. Jeśli prezydent go poprze – wygrał: już drugiej wojnie położył kres. Jeśli prezydent go nie poprze – zostanie bohaterskim męczennikiem, co ma wszelkie dane, by znacznie zwiększyć liczbę głosujących na niego obywateli. Co więcej, trudno będzie ponownie posłać wojska do Groźnego na kolejną rundę wojny. Jej bezsens został dowiedziony czarno na białym. Potwierdziła się też trafność zasady Lebiedia: kto pierwszy strzela, śmieje się ostatni. Druga niespodzianka, naruszająca utarte normy postępowania, związana jest z chorobą prezydenta Rosji. O tym, że Jelcyn jest chory, wiedzą wszyscy. Nie było też tajemnicą, że czeka go operacja serca. (Chociaż wyniki wyborów byłyby może inne, gdyby wyborcy znali szczegóły.) Dziś wspominają, że Stalin był ciężko chory i mimo to rządził krajem. Wielu ludzi pamięta jeszcze straszące z telewizorów twarze półżywych: Breżniewa, Andropowa, Czernienki. Chory u władzy nie chce jednak wypuścić jej z rąk tylko dlatego, że zapadł na zdrowiu. Wystarczy przypomnieć Mao Tse-tunga, który latami nie wychodził z pościeli, otoczony młodzieutkami chłopkami i uparcie kontynuował swoje mroczne dzieło. Ale można też przypomnieć demokratycznych przywódców. Chory na raka Mitterrand wygrał drugie wybory ukrywając chorobę.

Ważnym wydarzeniem nie jest choroba Jelcyna, lecz jego zgoda na to, by na czas choroby (operacji) część władzy scedować na premiera. W dziejach Rosji istnieje tylko jeden precedens: w 1574 roku Iwan Groźny wprowadził na tron tatarskiego chana Simeona Bekbulatowicza, nadał mu tytuł wielkiego kniazia Wszech Rusi, a sobie zostawił tylko tytuł kniazia moskiewskiego. Komedia trwała jedenaście miesięcy. Wspominam o niej tylko dlatego, żeby podkreślić, jak niezwykła jest decyzja Borysa Jelcyna.

Wiele rzeczy pozostaje niejasnych: od którego momentu Wiktor Czernomyrdin będzie zastępował prezydenta i jakie dokładnie pełnomocnictwa zostały mu przekazane. Wiadomo tylko, że prezydent, idąc na operację, zabiera ze sobą „walizeczkę z guzikami atomowymi”. *Case* prezydenta, jak mówią w Moskwie. Ponieważ jednak Rosji z żadnej strony nie zagraża atak atomowy, walizeczka ma charakter symboliczny i ma znaczyć tyle: główna siła pozostaje w rękach chorego. Kilka lat temu opisałem w „Notatkach” dzieje zaginięcia *case'a*, który towarzyszył Gorbaczowowi. Kiedy go wywożono z Foros, walizka się zawieruszyła. Znalaziono ją dopiero po kilku dniach w przechowalni moskiewskiego lotniska. Gorbaczow nie zwracał uwagi na *case* i stracił władzę. Nauczony doświadczeniem Jelcyn nie wypuszcza symboli z rąk.

Główny sens zdarzeń, które opisuję, widzę w tym, że są one skutkiem podziemnych procesów, jakie zachodzą w Rosji. Wojna w Czeczenii po pierwszym wybuchu niezadowolenia przestała budzić poważny sprzeciw. Tylko Siergiej Kowaliow nieugięcie krzyczał, że w Czeczenii odbywa się rzeź. Borys Jelcyn mianował Lebiedia swoim pełnomocnikiem na Czeczenię, żeby się go pozbyć. Emerytowany generał doskonale to rozumie: „Posłali mnie do Czeczenii bym skręcił kark” – oświadczył na konferencji prasowej. Działania Aleksandra Lebiedia wynikają nie tyle z umiłowania pokoju, ile ze zrozumienia, że dzisiejsza Rosja nie ma armii. Lebied' chce zdobyć kapitał polityczny, licząc na demokratyczne wybory.

Borysa Jelcyna nikt nie mógł (i nie może) zmusić do tego, by na czas choroby przekazał komukolwiek swoje pełnomocnictwa. Konstytucja Rosji przyznaje prezydentowi pełną władzę. Zmusiły go do tej decyzji – nie fizycznie, lecz psychologicznie – zmiany, jakie zachodzą w kraju. Choroba prezydenta skomplikowała sytuację, która i bez tego nie była krystalicznie jasna. Wydawało się jednak, że na cztery lata został rozwiązany główny problem, mianowicie pytanie, kto rządzi Rosją. I oto pytanie znowu stanęło na porządku dnia. Patrząc na rozkład sił politycznych, widać przede wszystkim opozycję i obóz władzy. Zarówno opozycja jak obóz rządzący są rozbite i zwaśnione.

Zacznę od opozycji. Jej czołowy organ, *Zawtra* (Jutro),

określił swój stosunek do zachodzących wydarzeń ze stalinowską lakonicznością: „Rosja – to ojczyzna. Lebień – to sprzedawczyk”. Naczelny redaktor *Zawtra*, Aleksander Prochownik, chce zjednoczyć wokół siebie (i gazety) wszystkich wrogów demokracji, Żydów i Ameryki. Wita „Narodowo-Patriotyczny Związek Rosji”, założony po porażce komunistów w wyborach. Otwiera łamy Żyrynowskiemu, który oświadcza, że gotów jest współpracować z komunistami tylko na zasadzie równości. „Jestem sojusznikiem, nie poputczikiem”, oświadcza Władimir Wolfowicz i domaga się, by Ziuganow zgodził się z jego programem. Podejrzewa, że wódz komunistów jest za miękki. Rzeczywiście program Żyrynowskiego zawiera punkty, które nawet Ziuganowa mogą wprawić w zadumę: „Ja bym ‘oczyścił’ Kaukaz. Zacząłbym wojnę od Azji Środkowej. Hasło rzuciłbym: ‘Wszystkie kobiety – ciężarne! Odnowić naród!’”

Na łamach *Zawtra* wypowiadają się też patrioci, którzy opłakują upadek Związku Sowieckiego, ponieważ „dysponował on nauką i technologią, która pozwalała nie tylko przeciwstawić się wszystkim zamachom naszego śmiertelnego geopolitycznego wroga, ale też zdobyć władzę nad kosmosem. Mogliśmy stać się bogami, którzy dyktowaliby wolę Rosji całemu światu”.

Radykalna opozycja próbuje się zjednoczyć, bo w Rosji znów szykują się wybory. Tym razem terenowe – wybierać będzie się gubernatorów. Stanowią oni ważny pion władzy, który – teoretycznie – pozwala prezydentowi sprawować władzę w regionach. Wybory odbędą się w 52 rejonach z 89, które stanowią Federację Rosyjską. Potrwają do końca roku. Pierwszy wynik napłynął z Saratowa, miasta uchodzącego za „czerwone”, które w wyborach prezydenckich głosowało na Ziuganowa. Gubernatorem został Dmitrij Ajackow, zwolennik Jelcyna. Dostał około 80% głosów.

„Partia rządząca”, jak nazywają zwolenników prezydenta, składa się ze zwalczających się zaciekle grup, które w niektórych okolicznościach wiążą się w przejściowe koalicje. Po wyborach Borysa Jelcyna ogromną władzę zdobył szef administracji – Anatolij Czubajs, „ojciec prywatyzacji” i zwolennik reform liberalnych. Ważną rolę odgrywa naturalnie Wiktor Czernomyrdin, premier pełniący obowiązki prezy-

denta, uznany szef kompleksu paliwowo-energetycznego TEK. Głównym konkurentem TEK-u jest kompleks wojskowo-przemysłowy WPK, którego interesy reprezentują wice-premierzy Potanin i Bolszakow. Do walki o władzę przystąpiła grupa *leaderów terenowych*, którzy mogą się zjednoczyć wokół pary, składającej się z burmistrza Moskwy Jurija Łużkowa i gubernatora Uralu Edwarda Rosselsa.

Miejsce Aleksandra Lebień w kremlowskich kuluarach jest najmniej mocne. Nie stoi za nim żadna partia, chociaż zaczęły się próby stworzenia ruchu dla jego poparcia. Na początku września podpisana została umowa o zawiązaniu sojuszu „O prawdę i ład”, do którego przystąpili: Zjazd Ziemstw Rosyjskich, Demokratyczna Partia Rosji i ruch „Honor i Ojczyzna”. Aleksandrowi Lebieńowi zaproponowano, by stanął na czele sojuszu. Nie wiadomo jeszcze, czy się zgodził. Lebień sięga wzrokiem znacznie dalej i wątpię, by zadowolił się ruchem, który nie ma żadnej poważnej bazy.

W kuluarach ruch. Stanisław Lem zaproponował „socjologię fizykopodobną”. Jeśli patrzeć na ludzi jak na molekuly, to wypada stwierdzić, że liczba molekuł zderzających się ze sobą w danej przestrzeni zależy od temperatury. Im cieplej, tym szybciej ruszają się molekuly i tym częściej się zderzają. Wynika z tego też, że im częściej się zderzają, tym robi się cieplej. I tak dalej. Dziś można stwierdzić, że temperatura w kremlowskich kuluarach stale wzrasta.

12.9.96

Adam KRUCZEK

Ukraińskie orientacje

Ukraina obchodziła 24 sierpnia 1996 pięćciolecie niepodległości, otrzymała nową konstytucję, wprowadziła narodową walutę – hrywnię. Zamiast tradycyjnej korespondencji o wydarzeniach na Ukrainie, proponujemy oryginalny tekst wypo-

wiedzi prezydenta Leonida Kuczmy. Oddaje on treść i styl aktualnej polityki ukraińskich władz państwowych.

„Patrząc na dotychczasowy historyczny szlak pierwszego jubileuszu niepodległości Ukrainy przypomnijmy słowa naszego wielkiego wieszczka, że ‘we własnej chacie – własna prawda i siła, i wolność’ i wróćmy myślami do wybitnych twórców naszego państwa: Włodzimierza Wielkiego, Jarosława Mądrego, Daniela Halickiego, Bohdana Chmielnickiego, Pyłapa Orłyka, Mychajła Hruszewskiego, do wszystkich bojowników o państwo ukraińskie... Niepodległa Ukraina w sercu Europy to zwycięstwo historycznej sprawiedliwości. Ale doświadczenia ludzkości potwierdzają, że niepodległości nie można osiągnąć bez ofiar i cierpienia. Niepodległość wymaga ogromnych ofiar, a szczególnie cierpliwości, męstwa, poświęcenia ale również fantazji i wytrwałości. Dla Ukrainy cena za niepodległość była wyjątkowo duża. W naszej historii całą epokę po Bohdanie Chmielnickim nazwano Ruiną. Obca przemoc długo i bezwstydnie władała nami. Ale najstraszniejsze ślady pozostały po totalitarnym systemie.

Wyobraźmy sobie inny bieg historii i postawmy sobie pytanie: czy pozwoliłaby suwerenna Ukraina na to, aby miliony jej obywateli wymarły na skutek zorganizowanego głodu? Czy pozwoliłaby na masowe rozstrzelanie bez wyroków sądowych jej inteligencji? Czy zezwoliłaby na znęcanie się w łagrach nad najbardziej pracowitymi ludźmi – ukraińskim chłopstwem? Posiadając faktyczną a nie fikcyjną suwerenność, czy poszłaby Ukraina na to, aby siebie niszczyć koncentracją szkodliwych ekologicznie, przemysłowych urządzeń? I czy postawiłaby z własnej woli koło swego serca apokaliptyczny i szkodliwy dla całego świata Czarnobyl? Odpowiedź jest jednoznaczna i brzmi: „nie”.

Światowa, ale i nasza praktyka dowodzą, że w przełomowych etapach rozwoju zasadniczą sprawą staje się naturalne dążenie narodu do odnowy, do przywrócenia pamięci o swoim rodowodzie, do poznania własnej historii. Historia nie może wskazać współczesnym co mają robić, ale może ostrzec ich przed powtarzaniem starych błędów.

...A jednak nie możemy wykreślić z naszych dziejów i pamięci ludzkiej 70 lat egzystencji Ukrainy w składzie Związku Sowieckiego i kilka stuleci przebywania w innych systemach państwowych. Można rozpatrywać ten okres w kategoriach stalinizmu albo demokratycznego antystalinizmu,

bo taki był nasz los i cała nasza historia. Ale nam nie trzeba ideologicznego dogmatyzmu. Nam trzeba prawdy i obiektywnej znajomości spraw.

...Fakt, że większość polityków nie oczekiwała krachu Związku Sowieckiego, bynajmniej nie oznacza przypadkowości tego procesu. Cóż się więc stało? Stało się to samo, co dawniej doprowadziło do upadku wszystkich imperiów. Przetrvanie imperium mogli zabezpieczyć bolszewicy na 70 lat dzięki kosmopolitycznej idei komunizmu. Ale mimo radykalnej zmiany zewnętrznej formy nie udało im się zatrzymać procesu starzenia się i wreszcie rozkładu tej formacji. ZSSR okazał się przejściowym kompromisowym rozwiązaniem w sytuacji, kiedy już nie można było zachować istnienia imperium w czystej formie, a niepodległość była jeszcze niemożliwa. Oczywiście taki stan nie mógł trwać wiecznie, choćby ze względu na tworzenie państwowych struktur, mimo formalno-sztucznego ich charakteru, powolna transformacja republik w narodowe proto-państwa, konsolidację elit w ramach administracji republik i partyjno-biurokratycznych hierarchii. A oprócz tego Ukraina zawsze była źródłem swoistych fermentów niepodległości i na tle innych republik posiadała najwięcej cech państwowości...

Niełatwo było przyjąć europejski model postępowania w życiu politycznym, państwowym i społecznym. Podstawą tego modelu są tolerancja i kompromis, polityczny i ideologiczny pluralizm, wolność sumienia, słowa i informacji, wielokierunkowość w sferze duchowej jako przeciwięstwo dyktatury, cenzury i monopolu władzy w rękach jednej partii. Stajemy się krajem wolnych ludzi.

...O ile państwowość Ukrainy obecnie już nie wywołuje powątpiewań istnieje możliwość aby zmienić akcenty w polityce na przyszłość, stawiając taką oto kolejność wartości: człowiek, rodzina, społeczeństwo, państwo. Charakterystyczną cechą dzisiejszej sytuacji jest to, że na miejsce emocjonalnych sporów o nową konstytucję następuje zrozumienie znaczenia tego aktu.

Po pierwsze – jako gwarancji niepodległości, instrumentu rzeczywistej reformatorskiej przebudowy państwa.

Po drugie – jako społecznej umowy, która stwarza zasadniczo nowe podstawy dla stabilizacji kraju, moralno-psychologicznej integracji społeczeństwa i podniesienia jakości życia społecznego.

Po trzecie – jako mechanizmu konstruktywnego współ-

działania wszystkich organów władzy w interesach wszechstronnego rozwoju i wzmocnienia Ukrainy.

Po czwarte – jako fundamentalnego regulatora prawnego, dzięki któremu państwo i społeczeństwo przestają być zależne od światopoglądu działaczy politycznych.

Po piąte – jako środka do ustabilizowania pozycji Ukrainy w świecie, stworzenia korzystnego klimatu inwestycyjnego dla całego naszego gospodarczego kompleksu”.

(Wyciąg z przemówienia Leonida Kuczmy, wygłoszonego w Kijowie w dniu 24 sierpnia 1996 roku)

Bohdan OSADCZUK

„Dialog” na temat Polonii w Niemczech

„Nawet jeśli w ostatnich latach od czasu do czasu donosiliśmy o Polakach żyjących w Niemczech, to jednak brakowało dotąd możliwie obszernej prezentacji tej grupy, tak ważnej również w stosunkach polsko-niemieckich. To, że tym razem dokonujemy większego wyłomu, nie wynika jedynie z ‘nakazu wzajemności’ w stosunkach polsko-niemieckich, ale i z tego, że ostatnimi czasy w środowiskach polonijnych nastąpił znaczący ruch” piszą redaktorzy naczelni dwujęzycznego magazynu niemiecko-polskiego *Dialog* Günter Filter i Adam Krzemiński i dodają: „Z jednej strony przez całe dziesięciolecie skrajnie rozdrobnione grupy i grupki polonijne powoli jednoczą się, wyłaniając stałą reprezentację tak wobec państwa niemieckiego jak i polskiego. Z drugiej natomiast zdają się wychodzić z zadawnionych animozji i sporów, podejmując zasadniczą dyskusję na temat przyszłego charakteru Polonii (...)”.

Powyższe stwierdzenia przybliżają sedno problematyki przedstawionej na 124 stronach formatu A4. Warto przy tym wspomnieć, że ukazujący się od dziesięciu lat w nieregular-

nych kilkumiesięcznych odstępach bogato ilustrowany *Dialog** czytany jest nie tylko przez elity polityczne i kulturalne w obu krajach. Dociera on także do członków licznych organizacji polsko-niemieckich i niemiecko-polskich, uczniów dwujęzycznych szkół, bibliotek i polskich instytutów kultury w Niemczech. Połowa aktualnego nakładu wynoszącego 30.000 egzemplarzy rozprowadzana jest bezpłatnie wśród czytelników w Polsce.

Zainteresowanie pismem wzrosło jeszcze bardziej z chwilą rozpoczęcia wydań dwujęzycznych. Piszą w nim zarówno politycy, działacze organizacji i instytucji niemiecko-polskich, jak też publicyści zajmujący się na co dzień problematyką stosunków bilateralnych. Obok obszernych artykułów, komentarzy i omówień zamieszczane są w nim krótkie informacje na aktualne tematy z dziedzin kultury, polityki i współpracy niemiecko-polskiej. Ukazują się w nim niekiedy również materiały publikowane uprzednio w prasie obu krajów. W ten sposób magazyn *Dialog* stanowi swoiste kompendium publicystyki na tematy stosunków niemiecko-polskich. Finansowo magazyn wspierany jest doraźnie przez różne instytucje i fundacje, rząd RFN, poszczególne landy oraz gospodarkę prywatną. Jak powiedział mi współzałożyciel i redaktor naczelny *Dialogu*, Günter Filter, obecna sytuacja finansowa w Republice Federalnej powoduje, że coraz trudniej uzyskać jest środki na wydawanie pisma, które od samego początku swego istnienia definiuje się jako „polskie lobby w Niemczech”. Na razie środki zapewnione są na dwa kolejne wydania tego najważniejszego magazynu, zajmującego się problematyką stosunków i zbliżenia obu krajów.

Wspomniane powyżej kwietniowe wydanie *Dialogu* podjęło się przedstawienia jednej z bodajże najdelikatniejszych obecnie kwestii w stosunkach polsko-niemieckich, a mianowicie sytuacji „polskiej społeczności w Niemczech”, czy też „polskiej mniejszości narodowej w Niemczech”, jak twierdzą zwolennicy prawnego zrównania statusu Polaków w Niemczech z tym, jaki posiada „niemiecka mniejszość naro-

* *Dialog*, Deutsch-Polnisches Magazin, Magazyn Polsko-Niemiecki, Nr 1, kwiecień 1996 r., wydawca: Bundesverband deutsch-polnischer Gesellschaften, adres redakcji: Günter Filter, Postfach 20 24 15, 20 217 Hamburg, Niemcy.

dowa w Polsce". Przez całe dziesięciolecia sprawa ta była dodatkowo skomplikowana z powodu rozbicia organizacyjnego i przedkładania partykularnych interesów poszczególnych organizacji polonijnych nad wyrażane jednym głosem interesy całej polskiej społeczności w Niemczech.

Problem ten porusza m.in. zamieszczony w *Dialogu* artykuł autorstwa Krzysztofa Karwata („Patriotyzm czy pragmatyzm. Polacy w Niemczech”). W części poświęconej sytuacji ostatnich lat autor stwierdza m.in., iż „Niemcy, także ci przychylnie nastawieni do polskich aspiracji, powtarzają, że Polacy niejako sami sobie są winni, gdyż nie tylko nie potrafią się zjednoczyć, ale również obierają niekorzystną dla siebie taktykę postępowania (...)” Zajmując się problematyką konkurujących między sobą nurtów programowych poszczególnych organizacji polonijnych, Krzysztof Karwat wyróżnia i charakteryzuje dwie główne grupy tych organizacji, tj. „narodowych patriotów” zjednoczonych w Kongresie Polonii Niemieckiej oraz „konsolidującą się obecnie w ramach Polskiej Rady w Niemczech grupę „europejskich pragmatystów”.

Pierwszym przypisuje głównie postawę roszczeniową zarówno wobec administracji niemieckiej, jak i władz w Warszawie. Boli ich, że w traktacie niemiecko-polskim nie uzyskali statusu mniejszości narodowej, (...) silnie akcentują potrzebę stworzenia własnego systemu oświatowego i wydobywają przeszkody, jakie stawiają na tej drodze urzędy niemieckie. (...) Do tego dochodzi sztafaż narodowej symboliki i silne przywiązanie do tradycji, także religijnych, katolickich”.

„Europejscy pragmatyści” – zdaniem Karwata – sądzą natomiast, że „takie rozumienie miejsca Polaków w Niemczech pachnie anachronizmem i nie liczy się z realiami. Nie wystarczy zaśpiewać rotę czy odtańczyć polkę na jakimś spotkaniu rodaków (...). Liczy się posiadanie pracy, perfekcyjna znajomość języka niemieckiego, wysoka pozycja społeczna, bo tylko to gwarantuje, że urzędy niemieckie liczyć się będą z obywatelami polskiego pochodzenia”. W innym miejscu autor stwierdza, iż według tej grupy „warunkiem zachowania polskiej tożsamości jest wyrazista integracja (lecz nie asymilacja) ze społeczeństwem niemieckim, pełne uznanie prawodawstwa niemieckiego i wykorzystanie go dla własnych interesów ekonomicznych, bytowych, zawodowych etc. Ta

grupa uznaje argumentację urzędników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych RFN, domagających się jednego poważnego partnera w rozmowach”.

Analizą prawnych uwarunkowań położenia Polonii w Niemczech zajmuje się artykuł prof. Jana Barcza, w którym autor stwierdza m.in., iż państwa zachodnie, w tym Niemcy, „dążą do oddzielenia problemu ochrony mniejszości od ochrony tożsamości kulturowej emigrantów, ograniczając tę pierwszą do tzw. mniejszości uznanych (...). Co się tyczy Polaków w Niemczech, chodziło o objęcie ochroną całej tej grupy, która jest bardzo zróżnicowana tak pod względem faktycznym jak i statusu prawnego. Wprowadzenie do traktatu terminu ‘mniejszość polska’ nie rozwiązałoby automatycznie problemu ochrony grupy polskiej. Jeśli uwzględnić stan prawny w RFN, to można śmiało założyć, że taka ochrona zostałaby ograniczona do tzw. Ruhrpolen (Polacy z Zagłębia Ruhry – przyp. A.S.), pozostawiając na boku pozostałe liczniejsze grupy”.

Oдноśne kryteria prawne warunkujące uznanie danej społeczności za mniejszość narodową w Niemczech przedstawia w wywiadzie udzielonym *Dialogowi* minister spraw wewnętrznych RFN Manfred Kanther. Stwierdza on, że status mniejszości narodowej mogą uzyskać grupy ludności spełniających następujące kryteria: „członkowie ich rodzin posiadają obywatelstwo niemieckie; odróżniają się od większości społeczeństwa własnym językiem, kulturą i historią, czyli posiadają własną tożsamość; chcą zachować tę tożsamość; są tradycyjnie zasiedzali w Niemczech; żyją na swych rdzennych terenach”.

Komentując znaczenie Traktatu Niemiecko-Polskiego z 17 czerwca 1991 r. prof. Barcz stwierdza, iż stwarza on „dobry punkt wyjścia dla ochrony Polaków w Niemczech” i wymienia dwa zasadnicze czynniki, które jego zdaniem będą miały wpływ na dalszy rozwój: „Po pierwsze Polacy w Niemczech muszą osiągnąć określony stopień organizacji, pozwalający w sposób wiarygodny i jednoznaczny reprezentować interesy grupowe w stosunku do władz państwowych. Z drugiej strony – RFN powinna bardziej elastycznie podejść do ochrony mniejszości ‘u siebie’ i stopniowo rezygnować z restryktywnego podejścia do zapewnienia ochrony jedynie tzw. uznanym mniejszościom (...)”.

O konieczności zwiększenia własnej aktywności jako warunku poprawy sytuacji Polonii przy jednoczesnym wsparciu ze strony władz polskich pisze Jerzy Kranz, który stwierdza m.in.: „Utworzenie pod koniec ubiegłego roku Rady Polskiej w Niemczech stwarza szansę, by Polonia w Niemczech porozumiewała się ponad podziałami i reprezentowała w miarę jednolite stanowisko. Na tym tle bałamutne są stwierdzenia, jakoby jednym z nieszczęść Polonii w Niemczech był nacisk polskiej ambasady lub niemieckiego MSW. Jest to nieudolna próba przekonania Polonii w Niemczech, iż jej kłopoty mają swe źródła głównie poza nią.” Odnosząc się do trudności związanych z realizacją postanowień Traktatu, Jerzy Kranz pisze, iż wynikają one nie tyle z jego treści, ile w dużej mierze z niezajomości jego postanowień i postawy niektórych urzędników niemieckich. Ogólnie rozwój sytuacji Polonii w pięć lat po podpisaniu Traktatu autor ocenia z umiarkowanym optymizmem.

Jednoznaczną postawę oskarżycielsko-roszczeniową, typową dla zwolenników teorii „spisku antypolskiego” w Niemczech reprezentuje natomiast artykuł Witolda Kamińskiego. Mimo swej jednostronnej krytyki jest on wart choćby krótkiego omówienia, ponieważ tego rodzaju argumentacja znajduje posłuch w niektórych kręgach w Polsce. Podobnie jak uczynił to w swym referacie, opublikowanym następnie przez *Politykę*, Kamiński buduje wyłącznie czarny, a w najświetlejszych momentach co najwyżej szary obraz sytuacji Polek i Polaków w Niemczech. Polscy imigranci to w ujęciu Kamińskiego rozczarowani i nieszczęśliwi frustraci, posiadający tylko nielicznych znajomych Niemców a i tych tylko w funkcji „alibi – dla siebie i samego otoczenia.” Efektem braku „zorganizowanych form kultywowania polskości” jak też braku „wspólnego języka u ludzi z różnych środowisk o różnym społecznym rodowodzie” jest „pełna gorczy alienacja” – twierdzi Kamiński i kontynuuje, dając dalszy dowód swoistej logiki: „Przybysze z Polski nie zdają sobie sprawy z tego, że ich alienacja jest wynikiem nie tylko uwarunkowań, lecz również ich nie urzeczywistnionej gotowości do asymilacji”.

Interpretując wyniki badań statystycznych na temat sytuacji Polaków w Berlinie, Kamiński twierdzi, iż wyniki ankiety, wedle której olbrzymia większość respondentów czu-

je się w Berlinie „dobrze lub bardzo dobrze (...) wytłumaczyć można tylko metodologicznym błędem”. Tak jak w przypadku innych stwierdzeń, autor nie uzasadnia ich i nie wyjaśnia, na czym ów błąd metodologiczny miałby polegać. Nieco dalej kontynuuje: „Statystyczna prawda świadcząca o nadal niestabilnym statusie pobytu, niższej od innych, porównywalnych grup, aktywności zawodowej, a wyższej drobnej przestępczości, o alkoholizmie, degradacji społecznej i rodzinnych dramatach, jest wypierana lub klasyfikowana w kategoriach patologii”. W całym tekście roi się od ogólników, pseudonaukowych wywodów i mieszania frazeologii z obszaru ideologii komunistycznej, psychologii i skarbców mądrości ludowych w rodzaju: „Jego pozytywna identyfikacja (emigranta polskiego młodego pokolenia – przyp. A.S.) ma związek z własnymi przeżyciami, a one są z pewnością odmienne od sentymentów emigranta starszej generacji. Jego naturalną potrzebą jest kreatywne działanie, w ramach którego ma szansę określić na swój własny użytek swą tożsamość”.

Jedną z najbardziej interesujących pozycji magazynu jest zapewne wywiad z Januszem Marchwińskim, przewodniczącym Polskiej Rady w Niemczech. Na ponad czterech stronach Marchwiński ustosunkowuje się w rozmowie z Adamem Krzezińskim do głównych problemów Polonii. W sposób wyważony i przytaczając cały szereg konkretnych przykładów Marchwiński odnosi się m.in. do kwestii nabywania obywatelstwa niemieckiego, posiadania podwójnego obywatelstwa, podejścia Polonii do „późnych przesiedleńców”. Opisuje też sytuację oraz zmuszony proces integrowania się organizacji polonijnych i wyłaniania jednolitej reprezentacji.

W kwestii możliwej roli Polonii w Niemczech Marchwiński stwierdza: „My chcemy być częścią niemieckiego krajobrazu politycznego, być wkomponowani w strukturę tego Państwa, brać udział w jego życiu politycznym. Chcemy być też członkiem propolskiego lobby i współkształtować przyszłe stosunki polsko-niemieckie”. W innym miejscu dodaje, ustosunkowując się do pytania o możliwe próby wpływania z zewnątrz na politykę Polonii: „Polonia w Niemczech nie jest żadną ‘placówką nad Renem’, jesteśmy w większości obywatelami niemieckimi, którym zależy na jak najlepszych stosunkach polsko-niemieckich i nasz wkład do nich polega

nie na tym, że liczymy w swych żyłach 'polskie krwinki' ale na tym, że jesteśmy związani z polską kulturą. Nie lekceważę chórów i zespołów tańca tam, gdzie wynikają one z wewnętrznej potrzeby ludzi, ale nie jestem zwolennikiem infantylizowania polskości do rozmiarów Cepelii. Czas wyrwać się z zaścianka i uwolnić od 'polskiego garbu'".

Kwietniowe wydanie *Dialogu* przynosi ponadto cały szereg artykułów opisujących zarówno historię i dzień dzisiejszy Polonii w Niemczech. Obok przykładów historycznych związków niemiecko-polskich, polskich śladów i aktualnych świadectw polskiej bytności w Niemczech przedstawionych m.in. przez Janusza Lewartowskiego, Christoha von Marschalla, Władysława Janika, Alinę Grabowską, Gerda Hoffmanna, Kristova Hogla, Ingrid Heinisch, Rolanda Reche, Wiktora Grotowicza, Christoha Kleßmanna, Petera Hemnita i Olgierda Budrewicza, *Dialog* ukazuje życie kulturalne polskiej społeczności, problemy związane z nauczaniem i pielęgnowaniem języka polskiego oraz życie i znaczenie duszpasterstwa polonijnego dla części polskiej społeczności w Niemczech. Także inne pozycje tego wydania magazynu czynią zeń interesujące i cenne kompendium wiedzy na temat Polonii w Niemczech.

Andrzej STACH

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Kronika kulturalna

Kontakt 96

Szósty Międzynarodowy Festiwal Teatralny KONTAKT w Toruniu znowu zaimponował rozmachem, dzięki energii i talentom dyrektora artystycznego Krystyny Meissner i jej współpracowników. Obejrzelśmy 17 spektakli z 11 krajów. Przyjechało ok. 140 gości – ludzi teatru i krytyków. Festiwal był, jak zawsze, fascynującą konfrontacją teatralnych stylów i kultur odległych od siebie krajów. Udział Zachodu był w tym roku dość skromny ilościowo.

Jedynym plenerowym spektaklem było widowisko „Magiczna noc” hiszpańskiego zespołu *Xarxa Teatre*, niezbyt zresztą oryginalne. Awangardę na modłę elektroniczną przedstawili Norwegowie: zawiłą opowieść-improwizację o Orfeuszu, dość nieskładną, protest przeciw cywilizacji, na scenie zarzuconej gratami i stereofonicznym sprzętem; oraz wersję tragedii Ajschylosa „Siedmiu przeciw Tebom”, opowiedzianej przez paru aktorów siedzących przy stole z towarzyszeniem siedmiu monitorów telewizyjnych, z powtarzającym się motywem sekwencji schodów odeskich z „Potiomkina” Eisensteina. W sumie – teatr protestu dość już ograny, jeśli chodzi o środki wyrazu.

I wreszcie *Passion Machine Theatre Company* z Dublina przybył ze sztuką Paula Merciera „Buddleia” – satyrą na zakłamanie, degrengoladę współczesnej Irlandii, gdzie tradycyjne, choć może mało ciekawe życie zamienia się w koszmar cywilizacji supermarketów, buldożerów, korupcji polityków, rosnącej przestępczości i nędzy. Autor wpisał swój komentarz w dzieje jednego domu, którego zmieniający się właściciele i lokatorzy dają metaforę Irlandii, i zapewne uważa

się za dramaturga awangardowego, operującego soczystym dialogiem. Ale na festiwalu potraktowano tę socjalną ostrość jako... socrealizm i przyjęto chłodno.

W prezentacjach ze Wschodu zaznaczyły się cztery odrębne wątki. Pierwszym jest wątek psychologiczny i egzystencjalny, zaczerpnięty głównie z literatury rosyjskiej. *Tallina Linnateater* z Estonii pokazał wersję „Płatonowa”, poszerzoną o inne teksty Czechowa, pt. „Pianola albo mechaniczne pianino” (reż. Elmo Nuganen). Plany sceniczne stworzono tak, by widzowie uważali, że znajdują się we dworze Wojnicewów i uczestniczą w akcji. Mogłoby się to sprawdzić, gdyby nie ekspresjonistyczne efekty, jak np. odsłonięcie w pewnym momencie bocznej ściany i ukazanie ogromnej (nadrealistycznej?) pianoli, a jeszcze bardziej, gdy oczom widzów, siedzących na scenie, odłania się pusta widownia z jedną tylko osobą, która klaszcze i wychodzi. W sumie jednak pomysłowy ten spektakl robi wrażenie.

Drugi spektakl estoński był dziełem Wyższej Szkoły Teatralnej z Tallina, której studenci zagrali dramat Gorkiego „Na dzień”, w reżyserii Kalju Komissarowa. Spektakl przyjęto źle, pojawiły się nawet głosy, że tytuł odpowiadał symbolicznie poziomowi przedstawienia. Nie zgadzam się z tym. Malkontenci nie zwrócili uwagi na to, że ci bardzo młodzi ludzie nie usiłowali grać starych nieudaczników, nie postarzeliz się nawet poprzez charakteryzację. Zdawali się sugerować, że dziś młodzi są bez szans, ot – młodzieżowe włóczęgi i bezdomni. Stanowi to chyba w jakimś sensie odbicie nastrojów w społeczeństwie już nie pre- a postkomunistycznym, i jest to nowa interpretacja. Studentka siedząca koło mnie na widowni powiedziała, że tak wygląda życie w jej akademiku: problemy innych nie obchodzą mieszkańców. (A poza tym cóż widzimy w tej sztuce? Wódkę, złudzenia, marzenia, że jest gdzieś kraina szczęśliwa.) Choć reżyseria jest tylko poprawna, scenografia bez polotu (tylko jak tę ponurą jamę zrobić z polotem – byłaby zbyt atrakcyjna), uważam, że młodzi aktorzy grali dobrze tę społeczność nieudaczników, w ich terażniejszości będącą społeczeństwem w ogóle.

Problemy młodych ludzi pokazał też zespół Pracownia Piotra Fomienki z Moskwy. Znakomity rosyjski reżyser

przywiózł bardzo młody wiekiem zespół – klasę mistrzowską zresztą – ze sztuką młodej pisarki Oli Muchiny „Tania-Tania”. Niektórzy narzekali na miałość tekstu, chwalać jednak wykonanie. Mnie wydał się ten komediogram, czechowski w nastroju z lekką domieszką Gogola, wiele mówiącym o współczesnej *psyche* młodych mieszkańców Moskwy i nie tylko. Bajka, ale i coś więcej – o meandrach miłości, małżeństwa, o marzeniach, o szczerości, ale i o udawaniu, wszystko to bez ideologicznych obciążeń. Jeszcze jeden z licznych rosyjskich teatrów eksperymentalnych, które namnożyły się po zaprzestaniu politycznego zniewalania sztuki. Spektakl Fomienki jest odpowiedzią na pytanie – jak można być nowoczesnym, nie zrywając z tradycją. Bez koturnów i efekciarstwa, naturalność w przedstawianiu dzisiejszych ludzi i ich spraw. Postacie sztuki zajęte były tylko sobą i swym emocjonalnym mikrokosmosem, ale ten eskapizm sam w sobie odzwierciedla postawę określonego środowiska – moskiewskiej młodzieży.

Następny wątek w spektaklach zespołów ze Wschodu dotyczył kwestii podtrzymywania własnych kultur przez narody przymusowo przypisane Rosji na terenie Azji, podany z wydzwiękiem pesymistycznym, czemu trudno się dziwić. Eksperymentalny Teatr Młodego Widza Achorun z Duszanbe w Tadżykistanie zaprezentował rzecz autorstwa i reżyserii Farruha Kosima „Utracony Józef powróci do Kanaan”. Ciemność rozświetlają reflektory, jedyny element scenografii to wielka wieżo-drabina. Józef i Jakub przeciwstawieni są chórowi braci Józefa, niezbyt zindywidualizowanych, poza kostiumami, wśród których są i kurtki wojskowe. Podobno – jak mówiono w kuluarach – jest to taki postsowiecki styl awangardowy; moim zdaniem raczej liryczno-epicki, forma która sięgać może korzeni własnych. Bracia torturują i zabijają Józefa z zazdrości o ojca, krzyżując go na drewnianej wieży jak prefigurację Chrystusa. Biblijna opowieść służy reżyserowi do przekazania współczesnych treści, do pytania o sens istnienia, piętnowania ludzkiego okrucieństwa. Przez zblakłą formę prześwieca autentyzm i wzruszająca szczerość.

To samo można w większym jeszcze stopniu powiedzieć o spektaklu Niurbińskiego Teatru Dramatycznego z należącej do Rosji – Jakucji, „Na zapomnianej przez Boga ziemi” według Siemiona Jermołajewa. Jest to krótki poemat o cierpieniu,

opuszczeniu i śmierci. Spektakl w reżyserii Jurija Makarowa prostymi a dość ekspresyjnymi środkami opowiada o ludziach żyjących w północnym kraju łągrowskim. Jest to głównie pantomima. Aktorzy przynoszą małe kukły, chyba zwłoki, odprawiają nad nimi obrzędy, wynoszą je, wkładają ich ubrania, lamentują. Pracują, jedzą jakąś breję, śpią. Próba wyjścia z rozpaczki jest zapamiętanie miłosne, ale i ono szybko mija. Trwa beznadziejna egzystencja. Kobieta umiera przy porodzie. W końcu siedząc w kucki twarzami do widzów, zastygają w ciszy, wyciągają ku nam ręce. Jak ptaki wyrzucają ręce do tyłu, tańczą dziwny rytualny taniec. Ta łągrowska historia, nie pretendująca do wyżyn wyrafinowanej sztuki, była może najbardziej wzruszającym spektaklem festiwalu.

Kolejny motyw festiwalu to wątki szekspirowskie powiązane ze współczesnością. Teatr Narodowy Iwana Wazowa z Sofii pokazał „Sen nocy letniej”, dość luźno oparty na Szekspirze. Już na wstępie pojawiają się rzemieślnicy ateńscy, niby w celu odbycia próby swej sztuki o Priamie i Tysbe, ale w gruncie rzeczy po to, by błaznować na całego. Oni też – ubrani w chaplinowskie meloniki, koszulki i fraczki – dominują w tym spektaklu. Tezeusz i Hipolita, dublujący Oberona i Tytanię, pojawiają się czasem, ale zatarła się zupełnie granica między światem ludzi i duchów, i te wątki najwyraźniej nie interesują reżysera, Aleksandra Morfowa. Widzi on „Sen” jako farsę raczej niż komedię, więc jest to inscenizacja robiona „szerokimi machnięciami pędzla” w stylu ludowej zabawy.

Ten sam teatr bułgarski przywiózł także, w reżyserii tegoż Morfowa, spektakl „Zaczarowana noc” według tekstów Becketta, Mrożka i Ionesco, rozegrany przez znanych nam „ateńskich rzemieślników”, w surrealistycznym kraju z „Czekając na Godota”. Znowu clownada, pomieszanie cyrku z teatrem. Spektakle bułgarskie, zwłaszcza „Zaczarowaną noc”, przyjęto źle. Warto jednak zauważyć, że powstały one w Teatrze Narodowym i są pono wyrazem artystycznego i politycznego protestu. 35-letni Morfow bulwersuje i epatuje sofijską publiczność establishmentową, ale ten fakt słabo dotarł do świadomości widzów w Toruniu.

Jednym z najbardziej fortunnych i fascynujących zjawisk na KONTAKCIE jest tradycyjna już obecność litewskiego

reżysera Eimuntasa Nekrosiusa, jednego z najwybitniejszych dziś artystów europejskiego teatru. Tym razem zaprezentował on oparty na „Romeo i Julii” Szekspira rockowy musical Kęstutisa Antanelisa i Sigitasa Gedy „Miłość i śmierć w Weronie”. W roli Romea wystąpił popularny pieśniarz litewski Pavelas Meskelo (po matce pochodzenia polskiego). Jak zawsze u Nekrosiusa, spektakl odznacza się rozmachem, żywiołowością akcji, rozbuchaną wyobraźnią plastyczną i choreograficzną. Głównym elementem scenografii są dwa postawione na sztorc i rozczłonkowane fortepiany o niesamowitej wielofunkcyjności. Wątek tragedii Szekspira został oddany dość wiernie, jednak spektakl jest przede wszystkim feerią ruchu i świateł oraz rockowej muzyki już w „niedzielskim” stylu.

W KONTAKCIE wzięły też udział dwa dość nieszablonowe zespoły z Węgier. Studyjny Teatr na Poddaszu przy Teatrze Narodowym w Győr dał spektakl „Miasto Moliera czyli szkoła żon” w reżyserii Osaby Kissa. Na kanwie molierowskiego tekstu skonstruowano sny na modłę awangardową, przenosząc akcję w czasy bliższe nam. Dodajmy, że Arnolfa odmłodzono, kochanka Agatki zrobiono Amerykaninem, a służący Arnolfa jest koniem, którego gra człowiek.

Wyżej znacznie oceniono teatr tańca z Budapesztu – Zespół Yvette Bozsik ze spektaklem „Żółta tapeta”. Jest to balet-pantomima, oparty na powieści amerykańskiej pisarki Charlotte Gilman. Opowiadająca o kobiecie cierpiącej na załamanie nerwowe, zamkniętej w pokoju, do którego nie ma dostępu rzeczywistość, ale szaleją zwidy jej chorej wyobraźni. Spektakl odznacza się dużym emocjonalnym napięciem, które zawdzięcza choreografii pełnej inwencji, obrazom przechodzącym od stylizacji niemego filmu po surrealizm i muzyce, głównie elektronicznej, choć ewokującej nastroj Bartoka.

Swoistej syntezy teatrów Wschodu i Zachodu dostarczył teatr *Volksbühne am Rosa-Luxemburg Platz*, usytuowany geograficznie i symbolicznie na granicy Berlina wschodniego i zachodniego. Spektakl „*Murx den Europäer*” („Załatw Europejczyka – wieczór patriotyczny”) obmyślony i wyreżyserowany przez Szwajcara Christoph'a Marthalera, uznany został zgodnie za najlepszy na festiwalu. Najogólniej mówiąc jest to metafora spustoszeń dokonanych w niemieckiej psychice

zarówno przez nacjonalizm i wyrosły z niego hitleryzm, jak też narzucony na to komunizm w wydaniu idiotycznego biurokratyzmu, ale metafora precyzyjnie zakorzeniona w realistycznym szczególe i obserwacji podszytej satyrą.

W jakiejś hali – ni to poczekalni ni to świetlicy – siedzi przy stolikach kilkanaście osób w różnym wieku. Nie robią nic szczególnego. Na sygnał wychodzą rzędem do łazienki, czy ustawiają się w kolejce po jedzenie. Nadzorca czy majster, dogląda od czasu do czasu ogromnych pieców. Ale ta dyscyplina podszyta jest jakimś wewnętrznym i zewnętrznym niechlujstwem. Wszystko co się tam dzieje, sugeruje dycho- tomie pomiędzy narzuconym ładem a wewnętrzną pustką, beznadziejnością życia w jakimś nieokreślonym bliżej systemie. Od bezsensownego i fragmentarycznego dialogu ważniejsza jest muzyka; jest Schubert ale i tradycyjne pieśni patriotyczne, nacjonalistyczne. Dyskantem śpiewany jest kwartet Haydna, który znamy jako hymn „*Deutschland übert alles*”. Ale śmiech rychło zamiera widzom na ustach, gdy słyszymy „Obudź się niemiecka Rzeszo”, „Niemiecka wierność... od Mozy po Niemen, od Adygi aż po Belt” itd. Tylko te słowa są w stanie wzbudzić w tych ludziach – jakże poza tym bliskich postaciom Becketta czy kantorowskim marionetkom – emocje wiodące aż do frenetki. Ów spektakl to dwustronne lustro, przez które widać odbicie Zachodu i Wschodu. Porażający obraz, ale uzdrawiający.

Polskie teatry zaprezentowały na KONTAKCIE odświeżoną klasykę i coś ze współczesności. Białostocki Teatr Lalek dał nowatorską interpretację „Parad” Jana Potockiego w reżyserii Wiesława Czołpińskiego. Aktorzy nie są tylko manipulatorami lalek, ale utożsamiają się i grają z nimi, a czasem sami, przejmując na siebie ich „osobowość”. Lekki, dowcipny, grany w zawrotnym tempie spektakl, jest przykładem teatru awangardowego, umiejętnie korzystającego z tradycji *commedia dell'arte* i dopasowujący klasykę do dzisiejszych odczuć.

Najbardziej rewelacyjne podejście do klasyki zademonstrował jednak Piotr Cieplak swą inscenizacją „Historii o chwalebnym zmartwychwstaniu pańskim” Mikołaja z Wilkowiecka (Teatr Dramatyczny m. st. Warszawy). Kluczową sprawą dla niego jest dotarcie do istoty przesłania, które utwór zawiera dla dzisiejszego widza. Odrzuca więc wszelkie

zdobnictwo, ludowość i stylizację. Otwarta scena przybliża widzom akcję, a scenografia Ewy Wodeckiej jest maksymalnie oszczędna, zarazem bardzo pomysłowa; główny jej element to grób Jezusa, po „otwarciu” okazujący się stołem, przy którym zasiadają uczniowie. Aktorzy noszą swetry i marynarki dzisiejszego kroju. Najskromniej wygląda Jezus (Piotr Kondrat), ale ów niepozorny młody człowiek emanuje siłą osobowości, która pozwala widzowi wierzyć w jego wspaniałe zwycięstwo nad Lucyferem oraz wyprowadzenie dusz zmarłych z otchłani, pokazane zresztą nader pomysłowo. Jest to spektakl jakby kameralny, tekst podawany jest naturalnie, prosto i, rzecz dziwna, pomimo swej stylistyki, brzmi on współcześnie. Jest i subtelny humor. Najbardziej uderza w tym przedstawieniu brak triumfalizmu i powierzchownego blichtru. Prostymi, nowoczesnymi środkami usiłuje ono dotrzeć nie tylko do dzisiejszego widza, ale i do korzeni chrześcijaństwa, co znajduje swą kulminację w stonowanej scenie końcowej, gdzie uczniowie idą w świat szerzyć dobrą – boską, ale jakże ludzką – nowinę, bez euforii i zbędnych gestów. W tym upatruję siłę i aktualność przesłania, że akcentuje ono pokorę i brak „wywyższania się” samego Jezusa i Jego apostołów, co powinno być na zawsze wzorem dla ich następców.

Na jeden ze spektakli powieziono uczestników festiwalu do Wrocławia. Obejrzeli tam sztukę Thomasa Bernharda „Immanuel Kant” w reżyserii Krystiana Lupy. Jest to fantazja o podróży królewieckiego filozofa do Ameryki dla otrzymania doktoratu h.c. na Uniwersytecie Columbia, która daje teatrowi spore możliwości, mimo iż sytuacje i dialogi nie są rewelacyjne. Prawdę mówiąc i inscenizacja Lupy zbyt mi się nie podobała. Spektakl jest statyczny, przegadany, odnosi się wrażenie, że reżyserowi „nie leżał”. Działania statystów na obrzeżach akcji (raczej dialogów) w formie pantomimy, żywe obrazy, to działania pozorne. Aktorzy zanadto tekst celebują. Niektóre pomysły są ciekawe, jak wpisanie podróży Kanta w statek szaleńców i dość staranne tego pomysłu dozowanie. Całkiem dobrze zrobiony jest bankiet, ostatni akt ma swoją choreografię i styl. Trochę jednak brak właściwych puent. Moim zdaniem średnie dzieło wybitnego reżysera zebrało mimo to sporo pochlebnych recenzji.

Tegoroczny KONTAKT miał zapewne trochę mankamentów. Nie chcę jednak, by uważano mnie za malkontenta. KONTAKT pozostaje jedynym w Polsce i rzadkim w skali europejskiej miejscem pozytywnych, twórczych konfrontacji ludzi, teatrów i kultur Wschodu i Zachodu. Oby takim miejscem pozostał jeszcze długie lata, bo jest to teraz bardziej potrzebne niż kiedykolwiek.

Bolesław TABORSKI

Ostatni apel Sienkiewicza

Zamieszczone poniżej tłumaczenie przedstawia tekst o niezwykłej wartości nie tylko dla historyków literatury i badaczy twórczości Sienkiewicza, ale dla historyków kultury polskiej, a zwłaszcza jej dziejów poza granicami kraju. Jakkolwiek trudno byłoby nazwać pisarza emigrantem w powszechnie przyjętym znaczeniu tego słowa, nie ulega wątpliwości, że dzięki zamieszkaniu w Szwajcarii podczas I wojny światowej, zdołał on rozwinąć na rzecz Polski akcję znacznie skuteczniejszą niż ta, jaką prowadzić by mógł pozostając w kraju. Jednym z najciekawszych – i wyjątkowym ze względu na datę publikacji – dokumentów tej akcji jest podany tu apel, jeden z ostatnich tekstów, jakie wyszły spod pióra pisarza i zapewne ostatni, jaki ukazał się za jego życia. Egzemplarz, którym się posługuję, nosi pieczętkę biblioteki z datą przyjęcia „Nov. 22, 1916”, a biorąc pod uwagę okres dystrybucji czasopism przesyłanych ówczesną tzw. „drugą klasą” poczty, przyjęć należy, że trwał on dłużej niż tydzień, tzn. druk nastąpił 14 listopada, w przeddzień śmierci Sienkiewicza. W ten sposób apel wyprzedza datą publikację opowieści „Wspomnienie”, o której Julian Krzyżanowski w książeczce „Sienkiewicz a Warszawa” (Warszawa, 1975, s. 10) pisze, że ukazała się ona „w numerze przynoszącym wiadomość o śmierci jej twórcy”.

Poszukując materiałów dotyczących twórczości pisarza trafiłem ostatnio na ten jego nieznaną artykuł, drukowany w miesięczniku *American Red Cross Magazine* (Vol. XI, No 11, listopad 1916, s. 360-364), zatytułowany „Behold Our Poland!” (Patrzcie na naszą Polskę!). Wiadomość o istnieniu artykułu zawdzięczam dr Marii Bokszczanin, która natrafiła na nią w przygotowywanych do druku listach Sienkiewicza do kard. Adama Sapiehy, mających się ukazać w przyszłości. Sądzę jednak, że zarówno treść artykułu, jak i zbieżność daty publikacji z osiemdziesięcioleciem zgonu pisarza zasługują na ogłoszenie już teraz, gdy zainteresowanie Sienkiewiczem wzrasta coraz bardziej, a Rok Sienkiewiczowski (150-lecie urodzin, 80-lecie zgonu i 100-lecie „Quo vadis?”) przynosi szereg nowych publikacji, sesji naukowych i obchodów.

Artykuł napisany specjalnie dla *American Red Cross Magazine*, opatrzony został krótką notą redakcyjną i trzema zdjęciami, z których pierwsze, piękny, całostronicowy portret, przedstawia Sienkiewicza w ostatnich latach życia, drugie ukazuje Antoniego Osuchowskiego, prezesa Szwajcarskiego Komitetu Generalnego Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce (*Comité Général de Suisse pour les Victimes de la Guerre en Pologne*), przy czym obie fotografie, wobec braku podanego źródła, uznać można za wykonane dla redakcji miesięcznika, a zatem zdjęcie Sienkiewicza jest prawdopodobnie ostatnim robionym za życia pisarza. Zdjęcie trzecie, pochodzące z *International Film Service*, to scena prowadzonej przez niemieckich żołnierzy dezynfekcji przeciwtyfusowej w „małym rosyjsko-polskim miasteczku”, jak głosi podpis.

W pierwszej połowie 1916 r., kiedy Sienkiewicz pisał swój artykuł, Stany Zjednoczone pozostawały państwem neutralnym, nic więc dziwnego, że właśnie do amerykańskiej opinii publicznej zwrócił on swój apel o pomoc dla Polski i Polaków, przy czym niemałą rolę w utrzymaniu kontaktu między Ameryką a Komitetem odegrał tu Ignacy Paderewski, współzałożyciel Komitetu i czynny jego członek na terenie Stanów Zjednoczonych, gdzie jego zabiegi, zarówno polityczne jak i charytatywne, przyniosły znakomite rezultaty.

Szwajcarski Komitet Pomocy rozsyłał dziesiątki listów i apeli o pomoc dla Polaków, adresując je do wielu organizacji i poszczególnych osób, toteż rola Sienkiewicza ograniczała się często do złożenia podpisu pod standardowym tekstem pisma, w obecnym jednak przypadku jego autorstwo nie ulega

wątpliwości, z uwagi chociażby na zwroty takie jak „ogniem i mieczem”, czy zapożyczone z łaciny „ołtarze i ogniska”. Sienkiewicz znał, lubił i podziwiał Amerykę, czemu często dawał wyraz w swoich utworach, poczynając od „Listów z podróży do Ameryki” (Dzieła, t. XLI-XLII), aż po liczne wypowiedzi w wystąpieniach publicznych i prywatnej korespondencji. Ton ten przebija w apelu i na pewno nie jest tylko pochlebstwem pod adresem amerykańskiego czytelnika. W niedawno odnalezionych listach do filadelfijskiego działacza polonijnego, mec. Roberta von Moschziskera, które ogłosiłem w kwartalniku Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce *The Polish Review* (vol. XL, No. 1), pisał Sienkiewicz niemal proroczo, że „misja Ameryki nie jest jeszcze spełniona: z Bożą pomocą stanie się ona w przyszłych latach sumieniem świata i propagować będzie idee sprawiedliwości, takie jak tryumf prawa nad siłą i przywrócenie wolności wszystkim zniewolonym narodom, spełnienie bowiem tych zasad jest jedyną gwarancją trwałego pokoju i szczęśliwej dla ludzkości przyszłości” (list z 7 maja 1915 r.).

Osobisty, a równocześnie głęboko patriotyczny charakter apelu różni go od innych listów i publikacji Komitetu, tym bardziej więc zasługuje na uwagę.

Redakcja amerykańskiego miesięcznika nie mogła przewidzieć, że publikacja artykułu zbiegnie się z datą zgonu pisarza i tym samym stanie się jego ostatnim dziełem. Poniżej podaję tłumaczenie noty redakcyjnej i tekstu przedśmiertnego apelu, jakim Sienkiewicz pożegnał się ze światem.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

PATRZCIE NA NASZĄ POLSKĘ!

(NAPISAŁ HENRYK SIENKIEWICZ AUTOR „QUO VADIS”)

Od Redaktora: *Wybitny polski pisarz, Henryk Sienkiewicz, jest dyrektorem naczelnym Komitetu Generalnego Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce, z siedzibą w Vevey, w*

Szwajcarii. Antoine Osuchowski bezpośrednio nadzoruje pracę Komitetu i jest jego prezesem. Załączony poniżej żywy opis cierpień swoich rodaków w wirze wojny europejskiej p. Sienkiewicz napisał specjalnie dla American Red Cross Magazine, podczas gdy toczyły się negocjacje między prezydentem Stanów Zjednoczonych, który jest prezesem Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, a przywódcami głównych stron wojujących w sprawie pomocy dla Polaków. W dniu 17 października prezydent Wilson ogłosił w Long Branch, N.J. co następuje:

„Otrzymałem obecnie odpowiedzi od króla Anglii, prezydenta Francji, cara Rosji, cesarza Niemiec i cesarza Austrii na mój list z 20 lipca 1916 r., w którym przedstawiłem pozycję rządu w negocjacjach mających na celu znalezienie nowych rozwiązań możliwości i metod pomocy Polsce. Z wielkim żalem muszę powiedzieć, że wygląda na to, iż ciągle istnieją poważne różnice zdań między alian-tami a mocarstwami centralnymi co do warunków, na jakich pomoc i zaopatrzenie mogłyby być posyłane do Polski. Jestem rozczarowany, że nie udało mi się nakłonić odpowiednich rządów do zawarcia definitywnej umowy”.

Obecna wojna zadała straty prawie wszystkim narodom Europy, jednak na żaden z nich nie spadły one tak nadmiernym ciężarem jak na Polaków, naród ponad dwudziestomilionowy, podzielony między Rosję, Prusy i Austrię.

Belgia i Serbia zniszczone były ogniem i mieczem, lecz burza jaka przeszła nad tymi dwoma krajami była krótkotrwała, a belgijscy i serbscy żołnierze mieli tę przynajmniej pociechę, że oddawali życie za „ołtarze i ogniska”, broniąc swojej własnej wolności i swoich własnych praw. Polakom odmówiono tej pociechy. Niemal dwa miliony polskich żołnierzy zaciągnięto do trzech armii, co w konsekwencji zmusiło ich do bratobójczej walki.

Nawet gdyby terytorium Polski nie stało się teatrem wojny, sam ten fakt stanowiłby ukoronowanie nieszczęścia. Ale właśnie na naszym terenie walki były najintensywniejsze, trwały najdłużej i na nowo mają się powtórzyć. Ażeby zapobiec zaopatrywaniu walczących wojsk palono wsie i miasteczka, niszczone zbiory w spichlerzach i w polu, upro-

wadzano było. Zniszczono fabryki, te zaś, które pozostały, zmuszono do zawieszenia działalności z braku surowców lub dlatego, że maszyny zostały wywiezione. Jako nieunikniona konsekwencja zniszczeń w Polsce panuje głód i szerzą się epidemie.

240 zgonów na 100 urodzeń

W dodatku do wybuchu epidemii cholery i tyfusu, które w pewnych dzielnicach, zwłaszcza w Galicji, dziesiątkują ludność, zjawiała się w naszym kraju nowa klęska, straszliwa klęska głodu, której poprzedzające śmierć symptomy to opuchlizna ciała i ślepotą. Dr Strauss, przedstawiciel niemieckiego rządu, dał dokładny opis tej klęski w *Zeitschrift für artzliche Fortbildung*. W całym Królestwie Polskim statystycy podają stosunek 240 zgonów na 100 urodzin. Kiedy Rosjanie, wycofując się przed naciskiem Niemców, wprowadzili z sobą ludność cywilną zamieszkującą prawy brzeg Wisły, większość dzieci zmarła z głodu, zmęczenia i niedożywienia. To samo stało się w obozach koncentracyjnych Austrii i Prus.

W celu bodaj częściowego ulżenia tej straszliwej sytuacji stworzony został w dniu 9 stycznia 1915 r. w Vevey, w Szwajcarii, „Generalny Komitet Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce”, pod kierownictwem moim i p. Paderewskiego. Komitet wystosował podpisany przeze mnie apel do wszystkich cywilizowanych narodów, prosząc w imieniu Państwa Polskiego, z uwagi na jego zasługi jako przedmurze chrześcijaństwa jak też osiągnięcia w dziedzinie nauki i sztuki, w imię ogólnie pojętego postępu i cywilizacji, o przyjęcie z pomocą mieszkańcom tego kraju, których samo istnienie jest zagrożone.

Apel nasz nie pozostał bez echa. Poparty go kościoły katolickie w całym świecie. W okresie od 9 stycznia do 1 lipca 1916 r. zebraliśmy kwotę 12.571.276 franków (\$ 2.514.253,10), z której do końca tego okresu wystaliśmy sumę 12.137.044 franków (\$ 2.427.408) na pomoc ludności Polski pozbawionej schronienia, cierpiącej głód, nie czyniąc żadnych różnic ze względu na wyznanie.

Subsydia pieniężne wysłano na terytoria okupowane przez Niemców i Austriaków w Galicji i na Litwie oraz do Polaków wziętych do armii rosyjskiej w Rosji, jak też do tych, których uwięziono w obozach koncentracyjnych w Austrii. Otrzymaliśmy w Szwajcarii upoważnienie do wysłania trzydziestu wagonów skondensowanego mleka dla małych dzieci. Transport ten przyjęty został wybuchami radości we wszystkich miejscowościach Polski, gdzie nędra dała się odczuć najdotkliwiej. Niezmiennie posyłamy pieniądze, ubrania i zaopatrzenie przeznaczane dla Polski na ręce miejscowych komitetów działających pod przewodnictwem wybitnych Polaków.

Przesyłki nie są konfiskowane

Otrzymuję wiele listów z różnych stron świata z zapytaniami, czy nasze przesyłki dla Polaków nie były rekwirowane lub konfiskowane przez strony wojujące lub ich armie. Wyznaję, że te pytania, stawiane przez ludzi o zdrowym rozsądku, zdumiewają mnie, jeśli bowiem zdarzyłoby się to choć jeden raz, natychmiast zawiesiłbym przesyłki i rozwiązał nasz Komitet, gdyż jako Polak nie miałbym ani powodu ani zamiaru pomagać żadnemu z trzech mocarstw, które uprzednio dokonały rozbiorów mojego kraju. Strony wojujące dobrze to rozumieją. Dlatego też mogę świadomie zagwarantować, że wszystkie nasze przesyłki dojdą do miejsc przeznaczenia i że ani jeden centime, ani jedna paczka żywnościowa nie została kiedykolwiek zagubiona.

Trzecie sprawozdanie od czasu zorganizowania naszego Komitetu, przedstawione będzie przez prezesa Osuchowskiego przy współpracy miejscowych komitetów, i poda dokładne szczegóły ilości i rozdziału subsydiów pieniężnych, ubraniowych i żywnościowych. Muszę jednak powiedzieć, że sumy, jakie zebraliśmy, jakkolwiek poważne, są całkowicie niewystarczające ażeby pokryć straty sięgające tysięcy milionów a poniesione w pełnym wymiarze przez nasz kraj na skutek zniszczenia miast, wiosek i fabryk, jak również w produkcji rolnej i przemysłowej oraz przez zawieszenie handlu; są one załóżnie niedostateczne ażeby skutecznie załagodzić przeraża-

jącą nędzę w jaką wpędzone zostały miliony naszych rodaków.

A gdyby Komitet Generalny w Vevey nie kontynuował starań o zwiększenie swoich wysiłków w celu uchronienia od głodu ludności miast i wsi, przede wszystkim zaś ocalenia od śmierci tysięcy dzieci będących nadzieją i przyszłością naszego ojczystego kraju? W Polsce, wszystkich jej dzielnicach, ludzie, nawet ubodzy, dzielą swoje skromne zapasy z najbiedniejszymi!

A Ameryce, dzięki poświęceniu i energii ludzi takich jak pp. Paderewscy, p. Sembrich-Kochańska, p. Adamowska, i licznych polskich stowarzyszeń, współczucie dla tragicznego losu naszych rodaków rośnie coraz bardziej z każdym dniem i wyraża się nie tylko w szerokim wsparciu materialnym ale także w formie wypowiedzi waszych najwybitniejszych obywateli, którzy zabierają głos w obronie naszego istnienia i naszego prawa do niepodległości. Szlachetne wysiłki prezydenta Wilsona i ambasadora Gerarda w celu definitywnego zalecenia ran głodu w Polsce okazały się bezpłodne wobec trudności powstających w czasie wojny – samolubstwa państw walczących. Mimo to napełniają one nasze serca poczuciem wdzięczności. Te same uczucia żyjemy wobec Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, który kilkakrotnie wspomógł nasz komitet darami pieniężnymi i odzieżowymi.

W rękach ludzkości

Braterskie współczucie waszego kraju, w którym obecnie znajduje schronienie nie tylko ludzkie sumienie wygnane z Europy, ale także duch chrześcijańskiej dobroczynności, napełnia nas nadzieją i podtrzymuje nas w tej najbardziej gorzkiej godzinie. Sytuacja w Polsce jest straszna! Jeśli jednak cywilizowani ludzie, wspólnie i indywidualnie odpowiedzialni przed całą ludzkością, nie przestaną uważać naszej sprawy za swoją, będziemy mocno trzymać się do końca i sami wkrótce się przebudzimy, pełni siły i gotowi do nowego życia na wolności.

Czerwony Krzyż, do którego na jego własne życzenie przesyłam ten obraz sytuacji w Polsce, jest najszlachetniej-

szym wyrazem humanitarnych uczuć wspaniałego amerykańskiego narodu. Jestem także przekonany, że życzenie to nie było podyktowane po prostu ciekawością, ale zasadami, które są podstawą i jedynym celem tej potężnej instytucji. Próbowałem, na ile to było możliwe w ramach krótkiego artykułu, przedstawić wszystkie okropności sytuacji na terytorium Polski. Ale przypuszczam, że bardziej niż moje słowa serca wasze poruszą łzy polskich matek i płacz małych dzieci umierających z głodu!

Henryk SIENKIEWICZ

Niemal równocześnie z odnalezieniem powyższego artykułu otrzymałem z Krakowa od p. Edwarda Schnaydera tekst wspomnienia z ostatnich dni i pogrzebu Sienkiewicza, napisany przez matkę nadawcy tej cennej przesyłki, dr Felicję z Kęszyckich Schnaydrową (ur. 1895), która w 1966 r. spisała swoje uwagi, następnie w maszynopisie złożone w Oddziale Rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej (sygn. „Przyb. 169/66”). Autorka była jedną ze studiujących w owym czasie w Szwajcarii Polek, po czym doktoryzowała się na wydziale historii uniwersytetu we Fryburgu. Należała do ostatnich rodaków, którzy mieli możliwość osobiście poznać Sienkiewicza i wziąć udział w jego pogrzebie. W opisie rozmowy z sędziwym pisarzem uderza ta sama, głęboka jego troska o sprawy polskie, jaką widać w artykule dla amerykańskiego miesięcznika, raz jeszcze potwierdzając tezę, że były to rzeczy dla niego zasadnicze i najważniejsze.

Ponieważ wspomnienia zarówno z ostatnich lat Sienkiewicza jak i uroczystości pogrzebowych w Vevey są nieliczne, korzystając z uprzejmego zezwolenia p. Schnaydera poniżej podaję bez zmian nigdzie dotychczas nie drukowany tekst autorki.

J.R.K.

POGRZEB HENRYKA SIENKIEWICZA

Dzieła Sienkiewicza, oraz samo jego nazwisko, mobilizowały nie tylko Polaków, lecz czytelników całego świata, do którego dotarły przez liczne przekłady jego książek.

Dziwić się zatem nie można, jeśli marzeniem każdego Polaka, przebywającego podczas I-szej wojny światowej w Szwajcarii, gdzie wówczas Sienkiewicz mieszkał i zmarł, było zobaczyć go i poznać osobiście. Przecież on nam pomagał przeżyć ciężkie chwile oderwania od rodziny na skutek działań wojennych we wszystkich dzielnicach Polski. On to wspierał hojnie z funduszków własnych oraz przesłanych mu przez Paderewskiego z Ameryki wszystkie polskie Bratnie Pomoce przy uniwersytetach szwajcarskich oraz Patronaty Robotnicze zajmujące się tak zdrowiem oraz finansowo-prawnymi stosunkami wśród rzeszy polskich robotników, jak i biedą moralną i kulturalną wśród nich.

Jako studentka a zarazem sekretarka Patronatu Robotniczego i skarbniczka akademickiej Bratniej Pomocy we Fryburgu szwajcarskim, w latach 1915-17 jeździłam do Vevey na konferencje i po odbiór pieniędzy dla tych instytucji, ale przyjmował mnie zawsze mecenas Osuchowski, pełnomocnik Funduszu Sienkiewiczowskiego.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym miałam to szczęście osobiście poznać naszego mistrza i zarazem dobrodzieja.

Było to we wrześniu 1916-go roku, na 6 tygodni przed jego śmiercią. Lekarze szwajcarscy wysłali go na kurację do uzdrowiska Bex-les-Bains, w górę Rodanu, powyżej jego ujścia do Lemanu. Krewna żony Henryka Sienkiewicza zaprosiła mnie do Bex, dokąd specjalnie pojechała, aby swoje już wówczas duże dzieci przedstawić mistrzowi. Nie było to łatwe, gdyż wszyscy kuracjusze, zwłaszcza Amerykanie oraz Amerykanki, Egipcjanie i in. atakowali go nawet przy wejściu do windy o autografy i wywiady.

Pewnego wrześniowego południa udało się pani Sienkiewiczowej wyprowadzić niepostrzeżenie swego czcigodnego a jakże już osłabionego małżonka do bocznego saloniku,

gdzie już wszyscy (7 osób) z bijącym sercem na niego czekali.

Był uroczy i tak bezpośredni, że wydawało się nam, że mówi z nami ukochany ojciec. Zasiadł na kanapce wśród nas 6-ciu młodych i wypytywał się troskliwie, z których stron Polski pochodzimy. Dowiedziawszy się, że wszyscy jesteśmy z Wielkopolski, powiedział: „Dzieci kochane, Polska po tej wojnie zmartwychwstanie i w waszych rękach spoczywają jej dalsze losy. Pamiętajcie, że Wielkopolska winna dać Polsce ministrów finansów i starać się wpoić poczucie ładu i zamięrowanie do pracy wszystkim obywatelom wskrzeszonej ojczyzny”.

Gdyśmy podkreślali, że to on rozpałił w nas miłość do ojczyzny i jej przeszłości przez swe wspaniałe dzieła historyczne i chwytające za serce nowele, wtedy odpowiedział Sienkiewicz: „A ja teraz, przeglądając przeze mnie napisane książki, spaliłbym je wszystkie”. Burza oburzenia, wyrażona głośno i z rozmachem przez nas wszystkich, wywołała uśmiech na jego bladej twarzy, a na skroni napęczniała mu jeszcze bardziej gruba, podskórna żyła. Żegnał nas całując nasze głowy, jakby błogosławiąc do wytężonej pracy w służbie ojczyzny w niedalekiej przyszłości.

Nadszedł dzień śmierci Henryka Sienkiewicza. Zelektryzowani i do głębi stroskani tą wieścią wystaliśmy z Fryburga kolegów do komitetu organizującego pogrzeb Sienkiewicza w Vevey.

Z wielką przychylnością odnosiły się władze szwajcarskie do wszystkich próśb i zarządzeń tego komitetu. Dla wszystkich Polaków zamieszkujących Szwajcarię wstawiono do rozkładu jazdy kolejowej na dzień pogrzebu Henryka Sienkiewicza specjalny pociąg, który szedł od wschodnich granic przez Berno i Fryburg do Vevey, zatrzymując się na każdej stacji, gdzie zgłoszono grupę osób dążących na pogrzeb mistrza.

Neogotycki kościół w Vevey, wyłożony w prezbiterium białym marmurem, cały był ozdobiony starymi chorągwiemi i proporcami powstańczymi z r. 1863, przywiezionymi z Rapperswilu. Wśród girland i zieleni robiły one na nas potężne i rzewne wrażenie. Trumna ustawiona w środku prezbiterium, była cała przykryta amarantowym całunem, a na nim widniał haftowany biały orzeł. Sześciu Polaków-

studentów w czarnych frakach, przystojnych przedstawicieli poszczególnych uniwersytetów szwajcarskich, pełniło straż honorową. Zwróceniu ku trumnie trzymali, każdy z osobna, chorągwie swoich Bratnich Pomocy w ręku. Z Fryburga byli Tadeusz Romer z Litwy, późniejszy ambasador polski m.in. w Tokio, oraz Andrzej Kurnatowski, który zginął na froncie w rodzinnej Wielkopolsce w czasie II-giej wojny światowej w walce z hitleryzmem.

Ławki w głównej nawie i w bocznych były zapchane. Wśród osób stojących nie dałoby się wsadzić szpilki. Przed balaskami z białego marmuru były ustawione krzesła zaopatrzone w numery. Piękny czerwony chodnik prowadził od balasek do głównej bramy. Przy bramie stało kilku młodych ludzi z listami orientacyjnymi i gdy nadjeżdżał samochód jakiejś ambasady, wtedy pierwszy witający wymieniał nazwę ambasady, która przysłała swego przedstawiciela, a stojący bliżej balasek prowadził tegoż przedstawiciela dostojnie kroczącego w stroju galowym, na swoje miejsce. Siedząc z koleżanką na brzegu ostatniej ławki głównej nawy śledziłam ten ceremoniał i mogłam stwierdzić, że przybyli oddać hołd ostatni Sienkiewiczowi przedstawiciele dosłownie wszystkich krajów Europy, a także bardzo wielu państw pozaeuropejskich. Dyplomatycznie posadzono ambasadorów krajów Ententy z jednej strony kościoła, a Trójprzymierza z drugiej strony. Jakiś znawca protokołu dyplomatycznego ustalił miejsce dla każdej ambasady według jej odpowiedniej rangi w korpusie dyplomatycznym. Nie brakło zatem ani Francuzów, Anglików, Rosjan, Włochów itd., jak i Niemców, Austriaków, Turków i in.

Nadzwyczaj wzruszający był moment, gdy zabrzmiał głos świetnie wyćwiczonego chóru studentów polskich, którzy *a capella* zaśpiewali „Bogurodzica, dziewica”. Po mszy św. wszedł na ambonę ks. Gralewski z Warszawy, który jako przyjaciel Sienkiewicza i wielbiciel jego talentu, był tak wzruszony, że w pierwszej chwili wypowiedział tylko gromkim ale drżącym głosem: „Sienkiewicz nie żyje”. Jęk i szloch wydobył się z piersi obecnych. Wraz z kaznodzieją opanowaliśmy się jednak wszyscy. W pięknych słowach żegnał ks. Gralewski pisarza. Żegnał go słowami z utworów mistrza wyjętymi, w imieniu tych bohaterów, których Sienkiewicz stworzył i tak

barwnie i plastycznie przedstawił. Podczas tego kazania byliśmy jak w transie i odprowadzaliśmy mistrza z tłumem tych bohaterów na wieczny spoczynek.

Po kazaniu liczni księża polscy – zwłaszcza z Fryburga – odśpiewali egzekwie, a potem spuszczone zwłoki do podziemi kościoła w Vevey wprost z prezbiterium.

Tłum Polaków do głębi wzruszonych wyległ na ulice Vevey by podążyć do pociągu specjalnego, a limuzyny ambasad odwoziły dyplomatów do Berna.

Dr Felicja KĘSZYCKA-SCHNAYDROWA

KOMUNIKAT KOMISJI FUNDACJI STYPENDIALNEJ IM. JANA I SUZANNE BRZĘKOWSKICH

Informujemy, że termin nadsyłania podań o stypendia na 1997 r. upływa z dniem 15 marca 1997 r.

Przypominamy, że zgodnie z założeniami Fundacji, o stypendia ubiegać się mogą osoby specjalizujące się w historii Polski. Chodzi o kandydatów, którym dla kontynuowania pracy, niezbędny jest krótki pobyt w Paryżu i korzystanie w pierwszym rzędzie ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu.

O stypendia im. Jana i Suzanne Brzękowskich nie mogą ubiegać się mieszkańcy Paryża i regionu paryskiego.

Do umotywowanego podania należy dołączyć życiorys, wykaz publikacji lub opinie osób kompetentnych.

Fundacja nie pokrywa kosztów podróży oraz nie zapewnia mieszkania w Paryżu. Stypendyści muszą również załatwić ubezpieczenie na wypadek choroby, przed przyjazdem do Francji.

Podania prosimy przysyłać na adres:

Fundacja im. Jana i Suzanne Brzękowskich
Société Historique et Littéraire Polonaise
6, quai d'Orléans
75004 PARIS

KOMUNIKAT KOMISJI FUNDACJI STYPENDIALNEJ IM. STANISŁAWA LAMA

Informujemy, że termin nadsyłania podań o stypendia na 1997 r. upływa z dniem 15 grudnia 1996 r.

Przypominamy, że zgodnie z założeniami Fundacji, o stypendia ubiegać się mogą osoby specjalizujące się w historii literatury polskiej i w krytyce literackiej. Chodzi o kandydatów, którym dla kontynuowania pracy, niezbędny jest krótki pobyt w Paryżu i korzystanie z tutejszych bibliotek i archiwów, a zwłaszcza ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu.

O stypendia im. Stanisława Lama nie mogą ubiegać się mieszkańcy Paryża i regionu paryskiego.

Do umotywowanego podania należy dołączyć życiorys, wykaz publikacji lub opinie osób kompetentnych.

Fundacja nie pokrywa kosztów podróży oraz nie zapewnia mieszkania w Paryżu. Stypendyści muszą również załatwić ubezpieczenie na wypadek choroby, przed przyjazdem do Francji.

Podania prosimy przysyłać na adres:

Fundacja im. Stanisława Lama
Société Historique et Littéraire Polonaise
6, quai d'Orléans
75004 PARIS

Notatki Redaktora

W Polsce toczy się od pewnego czasu dyskusja chcąca wyjaśnić co jest powodem tak katastrofalnej sytuacji w kraju. Przypisuje się często, że jest ona skutkiem zniewolenia kraju po ostatniej wojnie, przeprowadza się analogie do okresu międzywojennego, analizuje się zamach majowy Marszałka Piłsudskiego. Dobrze jest jednak przypomnieć sobie zapomniane książki zapomnianych autorów.

Ostatnio ukazała się książeczka prof. Artura Hutnikiewicza pt. „To co najważniejsze. Trzy eseje o Polsce”. Prof. A. Hutnikiewicz wykładał na Uniwersytecie Toruńskim i pracę zadedykował swoim studentom. Tę naprawdę wyjątkową książkę będziemy omawiać w najbliższym numerze *Kultury*.

Prof. Hutnikiewicz analizuje m.in. książkę Andrzeja Struga: „Pokolenie Marka Świdry”. Chcę tu zacytować fragment Hutkiewicza dotyczący chwili odzyskania niepodległości.

„...Wydawało się, że właśnie teraz nadejdzie czas robienia generalnych porządków, ostatecznej rozprawy z wszelką hołotą i podłością, co obsiadły ciało ojczyzny, z handlarzami świętości narodowych, z szulerami i fałszerzami i zwycajnymi złodziejami, z łotrami ubranymi w pychę i dostojęństwo i z ich usługowymi adwokatami. ‘Nowa era. Otrąbiono ją uroczysto i wszystko zostało po staremu’. (...)”

Jakby wszystkie upiory starej, szlacheckiej, przedrozbiorowej Polski z czasów jej najgłębszego moralnego i politycznego upadku wychynęły z otchłani i rozpanoszyły się bezczelnie wśród nowego, wątłego życia. W sejmie roku 1925 miały swoich przedstawicieli aż 32 partie i stronnictwa polityczne reprezentowane w 18 klubach poselskich. (...) Było to najprzedziwniejsze zbiorowisko ludzi, których nic nie łączyło. W restauracji sejmowej suwereni narodu sprawiali wrażenie przejezdnej zbieraniny z czterech końców świata. Orientacja

w tym tłumie rozbitym na przerozmaite, zmienne jak mgła mikrokluby była niemal niemożliwością. 'Na wszystkim leżało osobliwe piętno. Ni to zastarzały pył, ni to pleśń, ni to nalot miliardów wypowiedzianych tu pustych słów, wszystkich godzin zmarnowanych na jałowych dyskusjach, wszystkich intryg i szalbierstw'. Jakby na mocy najzłośliwszego paradoksu całe to zgromadzenie reprezentantów narodu nie bardzo wierzy w sens własnego istnienia. 'Czego pan chce od nas? Sejm się zestarzał, zatechł i coś dziwnego, że (...) śmierdzi. Każdy nowy będzie stokroć gorszy'. Niemniej to zbiorowisko było jedynym wedle konstytucji suwerenem narodu, źródłem władzy i przywilejów, niezgłębionej głupoty i bezwiednego humoru, nieprawdopodobnych teorii i pomysłów, w których kryć się miało jakoby zbawienie Polski.

'Polska – prawil jeden z owych 444 ojców ojczyzny – jako twór dziecięcy, wyrosły po burzy wojennej, nieustalony, pełen kłopotów organizacyjnych i groźnych fermentów socjalnych, sąsiadujący z czerwoną otchłanią itd. itd. (...) aby zbudować mocne państwo musi być szczerze i otwarcie lewicową, powiem – nawet socjalistyczną. Dla tych samych najgłębszych przyczyn oraz z powodu licznych chorób dzieciństwa, zatracenia tradycji państwowych i tendencji anarchistycznych i znowu z powodu tego fatalnego sąsiedztwa itd. itd. – musi być niezłomnie konserwatywną, prawicową, powiedziałbym nawet reakcyjną... Oba kierunki mają u nas niezłomne podstawy obiektywne...' Ponieważ nie może być jednocześnie taką i taką, więc rezultatem ostatecznym jest chroniczny zastój, wszystko w tym kraju idzie samo, a raczej nawet nie idzie, lecz 'wałęsa się, wlecze, ziewa, przystaje, kładzie się i usypia, to znowu ocknie się, zerwie i wyróżnie jakieś kolosalne głupstwo, jak na przykład' i 'nie szukając dalej'...

Obraz sejmokracji nabiera rysów groteskowych. '...Marek zaklął i porzucił metodę badań nad polską rzeczywistością. Gdy po raz ostatni był w sejmie, panował tam zgiełk, gwałt, suwereni tłumem wylewali się z sali posiedzeń i rozpełzali się po klubach dla tajemnych narad, w restauracji całe stoły kłóciły się ze sobą. (...)

W tym czasie Marek Świda (...) wszedł w zażyłe kontakty z kolegą z lat młodzięńczych, jeszcze z ławy szkolnej,

Nusymem Skurnikiem, który zmieniwszy nazwisko na lepiej brzmiące Mariana Plechyńskiego puścił się na burzliwe wody wielkich interesów. W olbrzymim apartamencie, złożonym z jedenastu pokoi w samym centrum stolicy, rozlokował ów koleżka swoje bajeczne afery. Mieściły się tu jakieś Bank Ex-Import, Pol-Hurt oraz jakoweś G.G.I., instytucje o nieokreślonych zadaniach'. Działy się tam rzeczy przeróżne, 'konferencje, konwektykle, rauty, uczty, bale' i orgie. 'Przewijało się mnóstwo ludzi, stosunki Nusyma były przeogromne'. To wszystko robiło się rzecz jasna dla dobra Polski. Żeby móc jej służyć – uświadamiał Marka jego tajemniczy przyjaciel – 'trzeba mieć kolosalne stosunki, wszystko wiedzieć, wszędzie na czas dotrzeć, wleźć i zdążyć. Informacje poufne, chytre manewry, zasadzki, pułapki, ataki (...) walka niczym na froncie'. Całe to towarzystwo podejrzanych typów, eks-dygnitarzy i eks-generałów jeszcze z ery zaborczej, biznesmenów, polityków, aferzystów, arystokratów, parlamentarzystów pętających się po Nusymowych apartamentach, sprawia na Marku wrażenie zbiegowiska kanalii, szui i kryminalistów. Nusym gwałtownie protestuje: 'A, przepraszam, żadnej szui w moim domu nie spotkasz'. I przed zdumionym Markiem rozwija subtelna dystynkcja między szują a kanalią. Szuja to 'wyciruch (...) szantażysta, wykolejeniec, co się czepia każdego (...) alfons i stręczyciel (...) ordynarny złodziejaszek', któremu publicznie można napluć w oczy i wykopać ze schodów, a wróci za chwilę, jakby się nic nie stało. Inaczej jest z kanalią, która zawsze przedstawia jakąś wartość wybitną: 'albo talent, albo spryt, albo węch, a przede wszystkim charakter'. Kanalia ma cnoty – żeby rzeć – bojowe: 'ryzyko aż do kryminału, zapal, wytrwałość'. Jest nieodzowna w interesach, ona w nich króluje i kto chce działać musi się z nią liczyć.

Ten deprymujący obraz polskiego przedwiośnia państwowego rozjaśniony jest przecież i zrównoważony niejako mniej narzucającą się w oczy, czynną, choć utajoną obecnością milionowej, anonimowej armii ludzi uczciwych (...) jak to się dzieje, że ten kraj zniszczony i spustoszony, skłócony i znów zdający się grażyć w najtragiczniejszych przywarach swej przeszłości, które przywiodły go już raz do zguby, przecież żyje i rośnie. (...) Objawili się ludzie bez imienia, nikomu

nie znani, zawsze nieobecni tam, gdzie huczy rozgłos i sława, kędy dzielone są nagrody, dostatki i dostojęstwa. Rozproszeni, nie wiedząc o sobie nawzajem, [tworzyli] bezwiednie jakby sektę tajemną, zaprzysiężoną na wieczną, wierną służbę ojczyźnie. Ich gatunek jest solą ziemi, jest wielkością swego narodu”.

Czy te słowa po siedemdziesięciu latach nie brzmią aktualnie? Zachęcałbym polityków i publicystów do większego zainteresowania się zapomnianymi książkami. A na początek proponuję, by członkowie PSL uważnie przeczytali książkę Kadena-Bandrowskiego pt. „Mateusz Bigda”.

Niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na niesłychane marnotrawstwo i lekkomyślne wydawanie pieniędzy przez sfery rządowe. Dotyczy to wszystkich rządów III Rzeczypospolitej. Bez skutku. Nawet wręcz przeciwnie, rośnie zabezpieczanie przywilejów i bezkarność, np. parlamentu, czemu sprzeciwia się bodaj jedynie Partia Pracy. Na olimpiadę w Atlancie wyjeżdża sobie znaczna część rządu, masowe rozjazdy bez sensu po całym świecie, etc. Dlaczego nie bierze się przykładu z o ileż bogatszych krajów europejskich? Niewątpliwie tego rodzaju oszczędności nie pokryją deficytu budżetowego, ale to ma ogromne znaczenie moralne. Rosnąca przepaść między klasą rządzącą a społeczeństwem jest wodą na młyn dla skrajnych organizacji. Wchodzimy w okres przedwyborczy. Nie dawajmy szans nowym Tymińskim.

Jest jednak sprawa poważniejsza. Są to niebotycznie wysokie pobory. W bankrutujących przedsiębiorstwach państwowych, gdzie zwalnia się setki pracowników, pensje dyrektorów są nadmiernie wysokie. To samo można zaobserwować jeśli idzie o samorządy – pensje burmistrzów czy radnych są często wyższe od pensji prezydenta RP. Uregulowanie tych spraw mogłoby dać poważne oszczędności, pozwalając na załatanie niejednej z dziur w szkolnictwie czy służbie zdrowia.

Z rosnącym niepokojem obserwuję politykę personalną Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Coraz bardziej dominują tu nie względy merytoryczne ale układy partyjne, miejsce honorowych zsyłek dla ludzi niewygodnych czy zwykłe kumoterstwo. I co gorsza, dotyczy to placówek w krajach bardzo ważnych, jak np. Białoruś. Nie znam kwalifikacji następczyni ambasadora Widackiego, ale nawet jeśli są one najlepsze, to przychodzi na to stanowisko w momencie b. trudnym (wybory na Litwie, kryzys gospodarczy) i dopiero musi się zapoznać z sytuacją, a kłębowisko żmij, jakim jest Związek Polaków na Litwie, jej pracy nie ułatwi. Tym bardziej, że na stanowisko konsula generalnego w Wilnie przychodzi człowiek w wieku przedemerytalnym, zupełnie nie zorientowany w stosunkach litewskich.

Ciągle nie ma też Instytutu Polskiego w Kijowie, a to jest placówka, która może mieć w tej chwili bardzo wielkie znaczenie. Mówi się o tym od lat bez rezultatu.

W intensywnych zabiegach o uzyskanie gwarancji bezpieczeństwa Polski, a więc w pierwszym rządzie wejście do NATO i Unii Europejskiej, zapominamy, że jeszcze bardziej zagrożone są kraje bałtyckie i Ukraina. Uzyskanie gwarancji bezpieczeństwa dla tych krajów jest nie tylko naszym obowiązkiem moralnym, ale przede wszystkim jest to w naszym interesie. Niepodległość naszych wschodnich sąsiadów jest równie ważna jak NATO.

Ostatnie posunięcia ministra kultury i sztuki stanowiące zagrożenie dla rozwoju naszej kultury wywołały powszechne protesty. Spowodowało to, że uważałem za swój obowiązek przyłączenie się do tych protestów i zaapelowałem do premiera Cimoszewicza o udzielenie dymisji ministrowi, wysuwając konkretne zarzuty. Były one sprecyzowane przede wszystkim w wystąpieniach chyba wszystkich autorytetów ze świata kultury i nauki. W odpowiedzi otrzymałem list od ministra Podkańskiego, którego treść podaję poniżej. Nastąpiło nieporozumienie. Nie zamierzałem przecież dyskutować z

ministrem, spodziewałem się, że premier tę sprawę zbada w własnym zakresie jako szef rządu i wyciągnie odpowiednie wnioski. Nie zamierzałem, decydując się na wystąpienie, prowadzić polemiki z ministrem, tym bardziej, że nie mam do tego żadnego tytułu. List ministra Podkańskiego muszę traktować jako unik ze strony premiera i nadal oczekuję, nie tylko ja jeden, na konkretne decyzje. Na list p. ministra Podkańskiego nie zamierzam więc odpowiadać, tym bardziej, że jego argumenty mnie nie przekonały.

REDAKTOR

A oto list:

MINISTER KULTURY I SZTUKI

Warszawa, 12 września 1996 r.

GM/130/96

Pan JERZY GIEDROYC

Wielce Szanowny Panie,

z przykrością przyjąłem Pańskie słowa o mnie, zawarte w liście otwartym do Pana Premiera Włodzimierza Cimoszewicza. Szacunek dla Pana każe mi rzucić inne światło na przywołane w nim fakty oraz wskazać ich podłoże.

Jak Panu wiadomo, Polska przechodzi głęboką transformację ustrojową, która ma wpływ również na kulturę. Procesowi temu, obok zjawisk pożądaných, towarzyszą nieprawidłowości wynikające najczęściej z niewiedzy lub ludzkich słabości. Przynoszą one często poważne straty.

Z tych to względów nie mogłem zlekceważyć wyników kontroli przeprowadzonych w ministerstwie i musiałem podjąć decyzje personalne, mimo że spodziewałem się ataku na moją osobę i sprawowany przeze mnie urząd ze strony zainteresowanych osób. Tak bowiem pojmuję istotę praworządności w Rzeczypospolitej Polskiej – państwie prawa, o które przecież i Pan długo zabiegał.

Osobiste Pana zaangażowanie w sprawę pana Andrzeja

Rosnera utwierdza mnie w przekonaniu, iż wszelkie wątpliwości, jakie wiążą się ze sprawowaniem przez niego wysokiej funkcji publicznej, muszą być definitywnie wyjaśnione. Do tego czasu pan Andrzej Rosner będzie zawieszony w czynnościach dyrektora departamentu.

Zapewniam Pana, że z tego powodu nie ucierpi żadna z funkcji urzędu Ministra Kultury i Sztuki. Wszystkie zadania, których realizacja jest Pańskim zdaniem zagrożona, są i będą wykonywane. Dotyczy to zarówno wypłaty stypendiów twórczych, dotacji dla prasy mniejszości narodowych, jak też zobowiązań międzynarodowych w dziedzinie literatury.

Szanowny Panie,

Ministerstwo Kultury i Sztuki konsekwentnie zmierza do stworzenia podstaw funkcjonowania nowoczesnego mecenatu na kulturę. Działania te popierają środowiska twórcze i ich organizacje, o czym świadczy m.in. przyjęte jednogłośnie w dniu 5 lipca 1996 r. wspólne stanowisko, które pozwałam sobie przesłać Panu w załączeniu*.

Obserwuje Pan doświadczenia Francji, która od lat w europejskich realiach walczy skutecznie o swoją kulturę i gospodarkę, kolejne jej rządy, twórcy kultury i społecznicy wnoszą do skarbnicy narodowej nowe treści i doświadczenia. Gdyby Pan był uprzejmy dzielić się z nami swoją bogatą wiedzą, byłaby to dla naszego narodu i dla mnie istotna pomoc.

Z wyrazami szacunku

M. Podkański

* W załączonym Komunikacie nie podano ani listy uczestników, ani „jednomyślnie przyjętych” uchwał. (Redakcja)

Książki

Rzecz o trudnym dialogu

Długo czekaliśmy na ten numer *Zustriczi*¹. Wydawało się już, że pismo definitywnie zniknęło z rynku wydawniczego. Przez ponad trzy lata, jeżeli nie liczyć numeru poświęconego najnowszej literaturze ukraińskiej, który zjawiał się prawem remanentów, w połowie ubiegłego roku, pismo nie ukazywało się. Od jakiegoś czasu krążyły słuchy, że redakcja przygotowuje numer specjalny poświęcony stosunkom ukraińsko-żydowskim. I nareszcie numer jest.

Tu muszę zrobić dygresję. Przypominam sobie jak podczas I Tygodnia Kultury Ukraińskiej w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, bodajże w roku 1987 doszło do dyskusji pomiędzy Jackiem Kuroniem a studentami ukraińskimi na temat: który naród – Polacy czy Ukraińcy – ma trudniejsze, bardziej obolałe stosunki ze społecznością żydowską. Jeżeli dobrze sobie przypominam, dyskusja skończyła się na niczym. To znaczy każda ze stron pozostała przy przeświadczeniu, że jej jest najtrudniej.

Ukraińsko-żydowski numer *Zustriczi* daje pewne pojęcie jak bardzo skomplikowane i traumatyczne są stosunki pomiędzy Ukraińcami a Żydami.

W świadomości żydowskiej tysiącletnia historia Żydów na ziemi ukraińskiej skurczyła się do trzech etapów: powstania Chmielnickiego, wojny narodowowyzwoleńczej z lat 1919-1920 pod przewodem atamana Petlury i Holocaustu. Niezwykle obolała pamięć żydowska utożsamiała Ukrainę niemal wyłącznie z pogromami. Israel Kleiner tak o tym pisze: „Jak wiadomo, pogromy na Ukrainie były i nadal pozostają jednym z żydowskich koszmarów, porównywalnych z koszmarem hitlerowskiego Holocaustu, nie bacząc na to, że

ani liczba ofiar, ani skala i zakres wydarzeń oraz stopień zaangażowania w nie oficjalnych władz – w żadnym wypadku nie upoważniają do takich porównań. Ale w żydowskiej psychice te tragiczne okresy historii niemalże się równoważą i ich wspomnienie wywołuje jednakowy (lub prawie jednakowy) dreszcz” (s. 145).

Pamięć ukraińska z kolei ma zakodowany wielowiekowy wyzysk i upokorzenia: upokorzenia również ze strony Żydów. Największą tragedią Ukraińców jest Wielki Głód z lat 1932/1933, w czasie którego śmiercią głodową zmarło od 5 do 7 mln. ukraińskich chłopów. Jednym z głównych organizatorów Wielkiego Głodu był bolszewik żydowskiego pochodzenia Łazar Kaganowicz. Stąd był już tylko krok do zarzutu, że komunizowali Ukrainę głównie Żydzi. I jeszcze ciągle powracające pytanie-oskarżenie: dlaczego Żydzi mieszkając wśród nas nie poparli naszej, ukraińskiej walki o niepodległość?

Oczywiście, nie przedstawiam tu całego katalogu wzajemnych żalów. Wymieniłam jedynie najważniejsze problemy w stosunkach ukraińsko-żydowskich. Te problemy stały się osiami, wokół których skonstruowany jest ostatni numer *Zustriczi*.

Tam, gdzie mamy do czynienia z niezwykle trudnymi problemami, które dodatkowo przez dystans czasu obrosły już swoją mitologią, kluczowym pojęciem staje się stereotyp. Zaś jedyną drogą jego zmiany jest wyjście poza etnocentryzm w badaniach historycznych. Frank Sysyn pisząc o powstaniu Chmielnickiego sformułował to w sposób następujący: „Więci o masakrach wstrząsnęły Żydami w Europie Wschodniej, a rok 1648 stał się w historii Żydów punktem zwrotnym. Dla Europy Wschodniej takim punktem zwrotnym był również rok 1648, w którym rozpoczął się upadek Rzeczypospolitej i w którym narodziła się kozacka Ukraina. Chociaż w zbiorowej pamięci i tradycji Żydów, Ukraińców i Polaków rok ten będzie budził inne skojarzenia, przyszedł czas, aby historycy każdej z tych narodowości poszerzyli swoje horyzonty i zakres badań, aby możliwe było lepsze zrozumienie skomplikowanych wydarzeń w powstaniu Chmielnickiego” (s. 144).

To wyjście poza etnocentryzm w patrzeniu na własną historię jest chyba największym walorem omawianej publikacji. Wybitni intelektualiści ukraińscy przeprowadzają narodowy rachunek sumienia. Najbardziej dramatycznie o ukraińską winę i odpowiedzialność wobec Żydów pyta w numerze

1. *Zustriczi* (pismo ukraińskie), nr 9/1995, Warszawa.

Myrosław Popowycz: „Na terytorium Ukrainy miały miejsce cztery straszliwe ludobójstwa na narodzie żydowskim: w okresie wojny narodowo-wyzwoleńczej (chmielnickizny) z lat 1648-1657, hajdamaczyzny (1768), wojny domowej (1919-1920) i w okresie holocaustu z roku 1942. Czy ja, jako Ukraińiec, jestem odpowiedzialny za te tragedie? Jeżeli tak, to w jakim stopniu i w jakim sensie? I za pomocą jakich symbolicznych i realnych działań można odpokutować realne grzechy? I w ogóle, co jest istotą historycznego zła oraz w jaki sposób nie dopuścić go do naszego ‘dziś’ i ‘jutro’?” (s. 37).

Bohdan Osadczyk odrzuca, bardzo często spotykaną w ukraińskiej publicystyce tezę, że między Holocaustem i Wielkim Głodem można postawić znak równości. Píše on: „Nie sposób przede wszystkim, jak to czynią niektórzy patrioci ukraińscy, stawiać znaku równości pomiędzy Wielkim Głodem na Ukrainie (Hołodomorem) i Holocaustem. Wielki Głód nie był programem rasowym zmierzającym do wyniszczenia całej ukraińskiej nacji; był programem mieszanym, złożonym z dwóch elementów: klasowego – dążącego do zniszczenia społecznej warstwy ukraińskiego chłopstwa i narodowego – czyli zastosowania pewnych elementów stalinizmu jako panowania wielkorosyjskiego. W realizacji tego programu mogli i uczestniczyli ukraińscy komuniści i nie wszyscy zostali potem zamordowani przez stalinowskich siepaczy. Zupełnie inaczej było z Holocaustem. Rasistowski obłęd i zbrodnie Hitlera polegały na tym, że chodziło o całkowite wytępienie narodu żydowskiego” (s. 28). O tym, że sprawa Wielkiego Głodu i Holocaustu w świadomości ukraińskiej często jest utożsamiana świadczy fakt, że w tym samym numerze *Zustriczi*, w artykule prof. Bilinśkiego znajdujemy następujące zdania: „Aby zapobiec powstawaniu i kulturowaniu niebezpiecznych stereotypów z ukraińskiej strony, przestudiujmy odpowiedzialność za Wielki Głód tak uważnie, jak wielu Żydów bada odpowiedzialność za Holocaust. Obie tragedie są porównywalne zarówno z punktu widzenia logiki, jak i moralności” (s. 171).

Bardzo ważnym tekstem jest artykuł Jakowa Suslenśkiego, w którym autor przedstawia znane mu wypadki pomocy Żydom przez Ukraińców podczas drugiej wojny światowej. A pomoc wówczas Żydom wymagała wielkiej odwagi i to nie tylko dlatego, że przechowywującym Żydów groziło rozstrzelanie ale również dlatego, że: „Żadna z organizacji politycznego podziemia na Ukrainie – ani nacjonalistycznego, ani komu-

nistyczna – nie wzywała ludności do niesienia pomocy Żydom, ani sama nie kwapiła się tego czynić” (s. 185). Jedynym wyjątkiem była działalność głowy Kościoła grekokatolickiego, metropolity Andrieja Szeptyckiego, który zwrócił się do wiernych swojego Kościoła z kazaniem „Nie zabijaj” oraz sam w swoim pałacu ukrywał Żydów. Holocaustowi poświęcony jest też artykuł Ahrona Weissa – jeden z najbardziej wstrząsających w tomie. Weiss podkreślając wszystkie opisane w literaturze przedmiotu przypadki pomocy, którą nieśli Żydom Ukraińcy konstatuje: „Co do badania stosunków żydowsko-ukraińskich w czasach Holocaustu, co jest czasami skomplikowane i czemu towarzyszą silne emocje, nie powiedziano jeszcze ostatniego słowa (...). Niestety, jeden tylko fakt nie podlega dyskusji, że na zachodniej Ukrainie ocalało tylko 17.000 Żydów, czyli 2 procenty przedwojennej populacji na tym terenie. Ta część, która ocalała uratowała się dzięki własnym staraniom, część uratowali Polacy, Czesi i prawi Ukraińcy. Pełna odpowiedzialność za te zbrodnie spada na nazistów, ale jeśli stosunek ukraińskiego ruchu narodowego i znacznej części społeczeństwa ukraińskiego do Żydów byłby inny, liczba ocalałych mogłaby być znacznie wyższa” (s. 181). Że ukraińscy historycy dostrzegają ten problem, świadczy zdania prof. Bilinśkiego: „Ukraińscy przywódcy zaniedbali swoje obowiązki poprzez niepotępienie. Muszą oni także naszkicować wskazówki dotyczące sposobu, w jaki wspólnota powinna działać w stosunku do zbrodniarzy wojennych, którym udowodniono winę. Jasne jest, że jeśli takowi istnieją, to każdy oficer administracji nazistowskich obozów śmierci, każda osoba okryta hańbą z powodu przynależności do *Einsatzgruppen* nie może być członkiem ukraińskiej wspólnoty w wolnym świecie” (s. 170).

Zatrzymałam się dłużej przy problemie Holocaustu, ponieważ jest to temat nadzwyczaj trudny, a jednocześnie w sposób najbardziej bezpośredni wpływający na współczesną jakość stosunków ukraińsko-żydowskich. Osobiście bardzo żałuję, że redaktorzy tomu nie zamieścili artykułu Iwana Łysiaka-Rudnickiego pt. „Uwagi do artykułu profesora Cwi Gitelmana „Społeczno-polityczna rola Żydów na Ukrainie” – w moim mniemaniu jest to jeden z najważniejszych tekstów dotyczących stosunków ukraińsko-żydowskich. Niemniej niemal wszystkie teksty pomieszczone w ostatnim numerze *Zustriczi* są niezwykle ważne. W sposób zupełnie specjalny zachęcam do lektury niewielkiego artykułu Witalija Portni-

kowa pt. „Rzadki ptak”. Tytuł to metafora: ukraińscy Żydzi, czy w ogóle istnieją? Jeżeli tak, to są to przypadki niezwykle rzadkie. Pisze Portnikow: „ukraiński Żyd jest rzadkim ptakiem. Nie wiem nawet czy on istnieje. Przecież ideałem ukraińskiego Żyda powinien być człowiek, którego językiem ojczystym jest jidisz i który biegle posługuje się ukraińskim, a Ukrainę uznaje za ojczyznę, natomiast Izrael za Macierz. (...) Zresztą dla kształtowania normalnej mniejszości potrzebne jest normalne państwo, którego do tej pory nie było. I chociaż obecnie ono istnieje, wątpię czy zaowocuje to pojawieniem się ukraińskiego żydostwa” (s. 112). To chyba jedna z najbardziej smutnych konstatacji numeru. Udział Żydów w kulturze ukraińskiej, ukraińskim życiu politycznym przez całe stulecia żaden – w wieku XX wprawdzie był zauważalny ale nigdy nie stał się istotnym czynnikiem kulturotwórczym. Żydzi na Ukrainie, jeżeli już asymilowali się kulturowo to wchodzili i współtworzyli kulturę polską, rosyjską czy niemiecką. Nie mniej ważnym powodem nieobecności ukraińskich Żydów jest fakt, że: „Mentalność sowieckiego Żyda, po stuleciach mieszkania w imperium, siedemdziesięcioletnim eksperymencie zlewania się narodów w coś nieziemsko pięknego, nie akceptuje idei państwa narodowego. I jeżeli ma przystosować się do niej, to już lepiej niech przystosuje się do swojego lub emigranckiego kosmosu Stanów” (s. 112). Stąd też, według autora, olbrzymia emigracja Żydów z Ukrainy. Wszelkie działania (również jak się wydaje zamieszczony w numerze „Państwowy program rozwoju kultury żydowskiej na Ukrainie”) zmierzające do ograniczenia tego procesu są zdaniem Portnikowa spóźnione: „Ludzie pakują walizki, a wy im mówicie lub rozprawiacie o miłości, po dziesięcioleciach poniewierań, których na pewno nie jesteście winni. Jednakże one miały miejsce na waszej ziemi. Istotnie ona do was nie należała, ale wy tutaj żyliście i stanowiliście większość. Czyż zatem winą Żydów jest to, że nie zorientowali się, czyja to ziemia, kiedy wy sami baliście się o tym myśleć?” (s. 112) To dramatyczne przekonanie, że proces emigracji jest nie do powstrzymania podziela inny autor tomu – Semen Awerbach. Według niego słowa potępiające antysemityzm powiedziano zbyt późno, bo w sytuacji, kiedy: „Nie można (...) zatrzymać unoszącego tysiące ludzi samolotu, gdy już oderwie się od ziemi” (s. 110).

Tego przynębiającego wrażenia, że oto jesteśmy świadkami końca historii Żydów na Ukrainie nie rozwiewa nawet

rozmowa z Ilią Lewitasem, który zapewnia, że „Szczyt wyjazdów minął” (s. 89).

Ukraińsko-żydowski numer *Zustriczi* jest numerem ważnym. O jego klasie świadczą nie tylko ranga problemów, które są w nim poruszane ale również sposób ich przedstawienia. Autorzy numeru nastawieni są na dialog, pomimo, że mają świadomość, że nie będzie to dialog łatwy, a na jego owoce trzeba będzie poczekać.

Bogumiła BERDYCHOWSKA

„Ruchome schody”

Tytuły powieści Zofii Romanowiczowej – nawet jeśli nie wywodzą się z poetyckich skojarzeń („Łagodne oko błękitu”, „Słońce dziesięciu linii”), ani nie uciekają zagadkowo w obcość („Sono felice”) – zawsze kryją dno symbolicznych znaczeń („Skrytki”, „Ruchome schody”).

Skrytki były zatajone w ścianie paryskiego mieszkania, ale także w ludziach, by odstąpić się pod naciskiem zdarzeń. Podobnie ruchome schody to nie te, którymi zjeżdżamy do metra czy poruszamy się po piętrach sklepów, lecz mijanie się – dziś czy kiedyś – wchodzących w życie i tych co z niego uchodzą.

W teatrze „Ruchomych schodów”^{*} główną rolę gra przyrodnie rodzeństwo – nie nazwana z imienia narratorka i brat jej Grzegorz; koło nich „satelici”, jak oboje ich żartobliwie nazywają, mniej i bardziej ważni, i symboliczny rekwizyt – nigdy nie otwarta walizka, zatrzaśnięta raz na zawsze nad tajemnicami życia i śmierci Grzegorza.

Poza chwilą relacji nic w tej powieści nie dzieje się bezpośrednio, tylko odtwarza w pamięci owej bezimiennej siostry w ciągu paru godzin letniej burzy.

Rodzeństwo łączy wspólne dzieciństwo i młodość w

^{*} Zofia Romanowiczowa, „Ruchome schody”. PIW Warszawa 1995.

Polsce i po pauzie wojennej, wypełnionej odmiennymi losami, odnalezienie się we Francji. Dla niej oznaczało to ustalenie, dom na wsi, rodzina, a potem samotność; dla niego – błyskotliwa bohema paryska.

Starsza o parę lat siostra od chwili urodzenia brata związała się z nim uczuciem o napięciu przekraczającym zwykłe stosunki między rodzeństwem, ale bez seksualnych domysłów. Po wojnie znowu są ze sobą blisko, z jej strony poddańczo, z jego pobłażliwie.

Grzegorz jest skażony pobytym w Oświęcimiu i wydaje się, że piętna nie potrafi zatrzeć nowe życie – pisarskie sukcesy, powodzenie w snobistycznym intelektualnym środowisku, łatwe podboje kobiece. W cieniu tych powierzchownych blasków, daleko w tle przemyka się nieefektowna Lena z balastem obozowych doświadczeń, zjawiająca się tajemniczo i znikająca, i tylko ona jedna ważna jest w życiu Grzegorza i zdolna tym życiem dysponować do tragicznego końca.

Romanowiczowa jest dziś jedyną polską powieściopisarką w dawnym klasycznym pojęciu, bliską tradycji przedwojennej, gdy w beletrystyce na pierwsze miejsce wysunęły się kobiety – Dąbrowska, Nałkowska, Kuncewiczowa, Gojawczyńska, Kossak-Szczucka, później Malewska. Młodsza od nich o pokolenie czy dwa Romanowiczowa, choć wierna medium powieści, poszła własnymi, nowymi drogami. Rozpoczynając swe pisarstwo w Paryżu, obecna w ówczesnej atmosferze *nouveau roman*, przejęła – chyba pierwsza w polskiej beletrystyce – kunsztowną konstrukcję bez tradycyjnej chronologicznej sekwencji i fabularnego wykładu, bez przyjęcia gotowego świata i gotowych bohaterów. Wyrzekając się programowo psychologicznego śledztwa, tak natrętnie dziś obecnego, zwłaszcza w literaturze anglosaskiej (powieści, biografie, pamiętniki, epistolografia), które najbłahszym nieraz wydarzeniom w przeszłości przypisują decydującą rolę w formacji dorosłego człowieka, Romanowiczowa buduje swego bohatera i jego świat tak jak to widzi w miarę ich poznawania. Istnieją przez autorski opis, poza nim, zamknięci jak owa tajemnicza walizka.

Przeżycia obozowe są obecne niemal we wszystkich powieściach Romanowiczowej poza pierwszą „Baśką i Barbarą”, co mogłoby dziwić, gdyż pisana była bezpośrednio po wojnie. Widocznie jednak macierzyństwo i nowy wtedy problem wychowania dziecka w dwóch kulturach, polskiej i kraju osiedlenia – w tym wypadku Francji – usunęły na krótko niedaw-

na przeszłość. Wróciła w dalszych książkach, najpierw jako realistyczne wspomnienia, później przemieniając się raczej w wyznacznik czasu z jego apokaliptyczną wymową niż jako klucz do wytłumaczenia tego, co stało się potem.

W refleksjach narratorki „Ruchomych schodów” mijają się różne etapy przeszłości, splecione z teraźniejszością, miejsca, czas, ludzie, by dotrzeć do pointy, którą Romanowiczowa umie zamykać swe powieści. (Inny, znakomity tego przykład – w niedawno wznowionej powieści „Sono felice”).

Światem narratorki jest piękny stary dom na francuskiej wsi i otaczający go ogród, obserwowane przez Romanowiczową z uważną czułością. Chodzi się z nią po chłodnych podgołą stopą kamieniach domu, słyszy spadające z drzewa jabłko, czuje zapach czeremchy i trawy pod świerkowym cieniem. A także odnajduje się codzienny, nie turystyczny Paryż, z konsjerżką, kafejkami, frytkami, z błyszczącym od spływającej wody, chodnikiem. Ta precyzyjna obserwacja jest tylko delikatnym akompaniamentem, usuniętym na dalszy plan, ale niezbędnym, by połączyć ziemię z widmami przeszłości.

Na progu starego domu, w błyskawicach, rozrywających cienie ogrodu, zamyka się dramatycznie historia Grzegorza, złączona z dwiema kobietami.

Ruchome schody stanęły.

Stefania KOSSOWSKA

Nieco wspomnień o Logofagach

Wysłała drukiem niewielka i w niewielkim (niesprzedanym) nakładzie książeczka wspominająca to dość niezwykle zjawisko. Oczywiście nie piszę recenzji, bo jakże mógłbym, skoro sam w niej autorsko współuczestniczę, zresztą o tej

* „Klub Logofagów”. Wspomnienia. Zebrał, opracował i uzupełnił wprowadzeniem Andrzej Rozmarnowicz, Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 1996. Stron 134. Odbito 350 ręcznie numerowanych egzemplarzy.

publikacji, która ukazała się dzięki staraniom naszego miłego współlogofaga, mecenasa i byłego senatora Andrzeja Rozmarynowicza, trudno pisać recenzję, natomiast warto zastanowić się przez chwilę nad samym fenomenem. I nie chcę robić z niego jakiegoś „Cudu nad Wisłą” (oczywiście w jej górnym biegu), ani też jakiejś politycznej manifestacji, bo takową nie był, a jednak zasługuje na pamięć i na chwilę refleksji.

Co to właściwie były owe „Logofagi”, na rodzimy język przekładając: „połykacze” lub „pożeracze” słowa czy mądrości? Była to grupa ludzi w wieku między dwudziestką a trzydziestką, która poznała się najczęściej na studiach i która poszukiwała wskazań, uzasadnień i w ogóle perspektyw w świecie, który nagle przeobraził się z ponurych lat okupacji hitlerowskiej, w świat pozorowanej wolności i demokracji. O tej demokracji (oczywiście „ludowej” czyli socjalistycznie upaństwowionej) bębniła oficjalna propaganda nieustannie, tak że spopularyzowało się podówczas hasło: „Przeżyliśmy okupację, przeżyjemy demokrację”. Przed ludźmi, którzy wyszli z konspiracji, z lasu czy przynajmniej z półlegalnej egzystencji narodu niewolników, otwierał się więc krajobraz wielkich nadziei i nie mniejszych lęków. Na razie jednak nadziei wciąż jeszcze było sporo, a przede wszystkim było owo zachłyśnięcie się jakimś tam surogatem wolności, a więc współczynnik pewnego rodzaju optymizmu był obecny. I na tym tle rysuje się krótka ale malownicza historia „Logofagów”. Pomysł powołania do życia klubu dyskusyjnego wyszedł od Andrzeja Ciechanowieckiego, zwanego popularnie Adim, a dwaj współnicy organizacyjni tej niewątpliwie wcale nie „ludowej” inicjatywy, to byli Alik Kiwerski oraz niżej podpisany, który sobie jedną jedyną przypisuje zasługę: wymyślenie nazwy.

Tak więc zrodziła się inicjatywa, a jej bazą stała się Akademia Handlowa (dziś Akademia Ekonomiczna) wówczas wciąż jeszcze uczelnia prywatna, na której studiowaliśmy we trzech, a później dołączyli z tegoż środowiska Jaś Załęski i Muś Skórzyński. Wkrótce jednak nowi członkowie zdominowali nas przy pomocy prawników, a stało się tak, bowiem w pewnym sensie patronat roztoczył nad nami Leopold Grzegorz Seidler (późniejszy rektor Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie). On był chyba w zarządzie krakowskiego oddziału YMCA (tak, tak – owa niewątpliwie imperialistyczna organizacja wciąż jeszcze legalnie działała!) i tam załatwił nam możliwość odbywania zebrań. Prawnikami

byli m.in. Zbigniew Marek, Józef Skąpski, Franciszek Studnicki, rzeczony Andrzej Rozmarynowicz, Andrzej Wielowieyski, Benedykt Łubieński, Piotr Wysocki, Adam Szpunar. A spoza tych dwu środowisk nasze grono okraszali jeszcze: Jan Józef Szczepański, Jacek Woźniakowski, Emanuel Rostworowski, Henryk Markiewicz i Andrzej Rey, jeśli zaś kogoś pominąłem to *mea culpa*, ale nie chodzi o statystykę, a jedynie o to, by czytelników przekonać, że było to wcale dobre towarzystwo i wielu spośród nas wyrobiło sobie wcale znaczące nazwiska.

Niemniej, w tym momencie w którym zaczęliśmy działać, byliśmy jeszcze mniej lub bardziej młodzikami, o tym i owym mówiło się, że „rokuje”, ale tak naprawdę to owe „rokowania” były dopiero woskiem na Andrzejki. Ale prawdopodobnie wśród „starszych”, a przede wszystkim pośród krakowskich profesorów, pisarzy i publicystów, istniało też owo pookupacyjne wygłodzenie i pragnienie odkrywania talentów. Dość, że nasza inicjatywa od razu niezwykle się powiodła. Zaczęliśmy od kilku osób „z nazwiskami”, które znaliśmy osobiście, w końcu było wśród nas kilku asystentów i ci ściągali za poły surdutów swych profesorskich mistrzów, by nam głosili nauki wszelkiego rodzaju. Pamiętam na przykład, że Piotr Wysocki obiecał i spełnił swą obietnicę w osobie słynnego Adama Krzyżanowskiego (należało doń mówić „Panie Rektorze”, bo jak się zwracano *per* „Panie Profesorze”, to szarpiąc swą kozią bródkę mruczał pod nosem z niechęcią: „Tak – dziś profesorze, a jutro będzie – Adasiu!”). Profesor, *pardon* – magnificencja Krzyżanowski wygłosił nam referat pod tytułem: „Walka klas w Starym Testamencie”.

Niestety, księgę pamiątkową, w której zapisywaliśmy nazwiska prelegentów i tytuły wykładów, a gdzie podpisywali się wszyscy uczestnicy, zniszczono nieopatrznie w mrocznych latach rozpanoszonego stalinizmu. Nie pamiętam więc dokładnie co i kiedy kto głosił, ale przewinął się wówczas przez nasze spotkania rzecz można kwiat krakowskich intelektualistów. Wyraźnie darzyli nas sympatią członkowie redakcji *Tygodnika Powszechnego*; referaty wygłaszali więc Turowicz i Starowieyska-Morstinowa, Gołubiew i Stomma, Malewska, a przede wszystkim (dwu- lub trzykrotnie) Kisiel. Ostrzył sobie na nas zęby również PAX, bo i sam wódz Piasecki nas nawiedził i jego ludzie, jak Dominik Horodyński czy Wojciech Kętrzyński. Ciekawe, że o nasze dusze nie podejmowali boju marksści i ich wystąpienia (np. Romana Szydłowskiego

czy Waclawa Wareckiego) były organizowane z naszej inicjatywy. Prawdopodobnie miano o nas od początku nader marną opinię, jako o środowisku ideowo niepewnym, zatrutym imperialistycznymi miazmatami. I było w tym dużo prawdy, jakkolwiek mieliśmy bowiem dość dobrą orientację w otaczającym nas świecie, a na dodatek uczono nas wciąż jeszcze takich zgnilizn jak teoria Smitha, Keynesa, a pamiętam dobrze jak jeden z profesorów rzeczonyj Akademii Handlowej zacytował – i to z lubością – słowa Churchilla, że jeśli kapitalizm to próba równania w górę, o tyle socjalizm jest równaniem w dół.

Nasz los był już wówczas przesądzony. Prawdziwi marksiści i prawdziwi demokraci, zwłaszcza ci z Urzędu Bezpieczeństwa, nie mogli przecież na dłuższą metę tolerować takich ideowych czerwi, jakimi byliśmy w większości. Ale stało się tak, że Adi wyczuł pismo nosem i podjął dyktatorską decyzję rozwiązania klubu, tak więc stał się nie tylko inicjatorem, ale i likwidatorem „Logofagów” i chwała mu za to, bo oszczędził nam represji, które z pewnością nastąpiłyby, gdybyśmy się nadal tak sromotnie zabawiali. To rozwiązanie nastąpiło jesienią 1949 r., tak więc klub istniał zaledwie dwa i pół roku.

Dużo to czy mało? Jestem i byłem zawsze człowiekiem ostrożnym, więc nie chciałem przeceniać tego, w czym jakoś tam maczałem swe słabe rączęta. To że jakaś grupa ludzi, młodych i dopiero się zapowiadających, utworzyła klub i dyskutowała najrozmaitsze problemy, samo przez się o niczym nie świadczy, poza tym, że jakiś ferment, jakieś „wojny żydowskie” (kto nie wie, niech się dowie: wojna żydowska to wojna własnych myśli ze sobą) w tamtych groźnych i brzemiennej latach nurtowały wchodzące w życie, wyposzczone pokolenie, bo to rzecz normalna i zdarza się w każdej epoce i w każdym pokoleniu. Że jednak przydarzyło się to właśnie wówczas, w czasie – co tu mówić – specyficznym, nadaje temu fenomenowi pewnego znaczenia. Już chociażby przez to, że się wówczas spotkaliśmy, że zadzierzgnęły się przyjaźnie i że być może kilku z nas jakoś to pomogło w ukształtowaniu samych siebie – a to jakoś świadczy na korzyść owej inicjatywy.

Jako się rzekło, członkowie klubu nie ponieśli żadnych strat i uszczerbków, czasem tylko padały w odpowiednich instytucjach pytania, ale naszej inicjatywy nie okupiliśmy „krwią i blizną”. I z tego też jestem dumny, jako notoryczny

wróg narodowych relikwii, jako taki Polak, który – gdyby dostał po łbie od jakiegoś okupanta – nie chwaliłby się tym bezwstydnie, ale ukrywał ten poniżający fakt. Bo licytować to ja lubię w brydża. Oczywiście jeśli mam kartę.

Fakt, że Adi został później aresztowany, a raczej porwany w biały dzień na krakowskim Rynku i zawieziony do mokotowskiego więzienia, że otrzymał potem spory wyrok, że po „październiku” wyszedł, że został „rehabilitowany”, to już zupełnie inna sprawa i do krótkiej historii „Logofagów” nie należy. Dziś, kiedy postradał częściowo zdolność ruchową, ale nadal działa i z Londynu naprawia nam – niezupełnie skutecznie – Polskę, chciałem przypomnieć te nasze działania w czasach młodości niezupełnie chmurnej i nie całkiem durnej. A także chciałem przypomnieć tych, którzy nas już opuścili, jak Benedykt Łubieński, Franciszek Studnicki i Zbigniew Marek. To byli – każdy na swój sposób – ludzie wspaniali i nie zamierzam tu ważyć i mierzyć ich szarych komórek, ani też ważyć i mierzyć dzieł, które pozostawili. Binio, bo tak mówiliśmy o nim, był jednym z najzabawniejszych ludzi, jakich znałem, sarkastycznym ale głęboko prawym. I dzielnym, o czym wiem, bo go widziałem w dniach jego okrutnej i nieuleczalnej choroby. Franio był słynnym podrywaczem i niejako symbolem niezłomnej młodości UJ-u, bo w jakiś sposób godnie reprezentował tę Alma Mater, przechadzając się po Plantach na uniwersyteckim ich odcinku, z coraz urodziwszymi i coraz młodszymi dziewczętami. Kiedy odwiedziłem go na krótko przed jego śmiercią, już prawie nic nie widział, ale wybornie pamiętał to, co mu przedtem dane było dostrzec i w książeczce o „Logofagach” jego tekst urzeka wdziękiem i celnością. Ale najbardziej niezwykłym z tej trójki był Zbyszek Marek, syn krakowskiego dorożkarza, krępy, jakby z grubsza tylko wyciosany i z wielkim łbem, w którym gotowało się od wiadomości i koncepcji. W czasach „Logofagów” był on filarem naszych dyskusji, bo na każdy lub prawie każdy temat potrafił coś sensownego powiedzieć. Był wielką nadzieją nas wszystkich i poniekąd naszym świetnym *vice*-mistrzem pośród grona mistrzów wybornych. Niestety chyba zbyt wiele wchłonął (miał, o ile pamiętam, magisterium i dwa doktoraty z różnych wydziałów). Ale nawet w tym potężnym łbie o z grubsza wyciosanych rysach ten nadmiar nie mógł się pomieścić. Umierał bardzo długo w swym zamąconym świecie, opuszczony przez wszystkich z wyjątkiem Andrzeja

Rozmarynowicza, który do ostatka opiekował się nim prawdziwie po chrześcijańsku. Chwała mu za to i za tę małą, ale cenną książeczkę, która coś ocala. Czy my cokolwiek ocaliliśmy? To jest temat dla naszych prywatnych „wojen żydowskich”.

Tadeusz CHRZANOWSKI

Uchronić ich losy od zapomnienia

Książka pani Barbary Zaorskiej „Śladami lekarzy – polskich uchodźców popowstaniowych w XIX wieku”¹ jest bez wątpienia interesującym opracowaniem historii polskiej emigracji. Autorka zafascynowana losami lekarzy emigrantów postanowiła „uchronić ich losy od zapomnienia”. Pomimo kilkudziesięcioletniego zainteresowania historyków dziejami polskiej emigracji ukazało się stosunkowo niewiele prac omawiających osiągnięcia poszczególnych grup zawodowych, a także polskiej nauki na wychodźstwie. Warto pamiętać, że w wyniku programowego niszczenia dorobku międzywojennej nauki historia medycyny ucierpiała szczególnie mocno. W 1947 roku zawieszono działalność z trudem restytuowanych zakładów historii medycyny jak i akademickie wykłady tego przedmiotu. Prześladowania dotknęły wówczas tak wybitnych uczonych jak Adam Wrzosek czy Władysław Szumowski, represyjnie przeniesiony na przedwczesną emeryturę. Lata cenzury i niszczenia „elementów obcych ideologicznie”, „badań o niemarksistowskim charakterze” lub po prostu wykazujących „zbyt małe przywiązanie do postępowych tradycji” dokonały reszty. Zbadanie losów polskich lekarzy emigrantów nabiera w tym kontekście szczególnego znaczenia. Należy mieć nadzieję, że wysiłek pani Barbary Zaor-

1. Wydawca: Wydawnictwa Medyczne i Oświatowe Borgis Ltd., Warszawa.

skiej będzie kontynuowany i że dorobek polskiej emigracji (nie tylko we Francji) zostanie doceniony i opracowany.

Autorka prześledziła losy kilku pokoleń lekarzy-Polaków głównie we Francji, ale także w Szwajcarii, Włoszech, Belgii oraz Ameryce Południowej. Tematem książki są nie tylko wybitni przedstawiciele zawodu lekarskiego czy też medycy aktywni politycznie, ale także cała rzesza postaci mało znanych, choć nieraz jakże interesujących. Obok sylwetek Polaków pracujących dla prestiżowych uczelni czy Instytutu Pasteura, w książce pani Barbary Zaorskiej odnajdujemy także lekarzy prowincjonalnych, żołnierzy Legii Cudzoziemskiej i wielu innych armii, podróżników, marynarzy, górników. Obok postaci sławnych, posiadających własne kliniki, autorów podręczników medycznych, spotykamy także lekarzy pozbawionych środków do życia, korzystających ze skromnych emigracyjnych zapomóg.

„Śladami lekarzy – polskich uchodźców popowstaniowych w XIX wieku” to nie tylko historia polonijnego środowiska lekarskiego ale także interesująco opisane dzieje polskiego szkolnictwa we Francji oraz towarzystw naukowych takich jak Towarzystwo Paryskie Lekarskie, Towarzystwo Pomocy Naukowej oraz innych instytucji emigracyjnych jak np. Instytucja Czci i Chleba. To także analiza sytuacji ekonomicznej środowiska emigracyjnego. To wreszcie pasjonujący opis emigracyjnych wysiłków aby z jednej strony zachować polskość i przygotować młode pokolenie do pracy w niepodległej ojczyźnie, a jednocześnie jak najlepiej zasymilować się ze społeczeństwem kraju osiedlenia. Emigracyjna praca u podstaw pomimo wielu niepowodzeń ostatecznie odniosła sukces. Bo przecież intelektualne działania Polaków-lekarzy odegrały znaczący wpływ na życie okupowanego kraju, wystarczy choćby wspomnieć starania redaktorów i autorów *Rocznika Towarzystwa Paryskiego Lekarzy Polskich* o utrzymanie jedności środowiska medycznego trzech zaborów. Z drugiej strony wielu spośród lekarzy-wygnañców dorabiając się znaczących majątków, pozycji naukowych lub pełniąc różnorodne funkcje, osiągnęło wysoki status społeczny w krajach osiedlenia. Jakże często w życiorysach emigracyjnych lekarzy, przypominanych przez panią Barbarę Zaorską, odnajdujemy informacje o wysiłku jakiego musieli dokonać wygnañcy, aby zdobyć upragnione wykształcenie i możliwość pracy w zawodzie. Wysiłku, którego symbolem może być droga Ludwika Hirszfelda do Paryża. Światowej sławy anatom rozpo-

czynął bowiem swoją karierę przemierzając Niemcy pieszo i boso, zarabiając na życie grą na skrzypcach.

Odrębna część książki poświęcona jest kobietom przebywającym na emigracji. Autorka przypomina w nim kilkanaście najbardziej barwnych postaci kobiecych „polskiego Paryża”. Wśród nich m.in. Kludynę Potocką z Działyńskich, opiekunkę powstańców – znaną organizatorkę i mecenasa polskich ośrodków emigracyjnych, Sewerynę Duchiniąską, będącą członkiem Francuskiego Towarzystwa Geograficznego, Zofię Węgierską – popularną dziennikarkę i publicystkę.

Pani Barbara Zaorska interesuje się także postaciami powszechnie znanymi. Kilka rozdziałów poświęconych jest Mickiewiczowi, Szopenowi, Słowackiemu, Norwidowi i Krasieńskiemu. Autorka podjęła się niełatwego zadania spojrzenia na czołowe postacie polskiej emigracji z pozycji dzisiejszego lekarza, próbując ocenić stan zdrowia wieszczów, przyczyny ich śmierci oraz jakość opieki lekarskiej jaką ich otaczano. Wnikliwej analizie poddane zostały w pracy okoliczności śmierci Adama Mickiewicza włącznie z hipotezą otrucia. Dwa ostatnie szkice „Czy dom św. Kazimierza dotrwa do swego 150-lecia?” oraz „Gorzki to chleb polskość” poświęcone są Norwidowi i posłużyły autorce do szerszej refleksji na temat losów polskich pamiętek emigracyjnych. Z z troską pani Barbara Zaorska pisze o przyszłości instytucji prowadzonej po dzień dzisiejszy przez siostry szarytki. Troska o materialną spuściznę emigracji, o polskie groby, pomniki i popiersia oraz nazwy ulic i placów, przewija się zresztą przez niemal wszystkie rozdziały książki. Stan polskiego dziedzictwa kulturowego we Francji niestety uzasadnia obawę autorki o przetrwanie polskich pamiętek. A przecież od kilku już lat instytucje Państwa Polskiego mogą funkcjonować normalnie i jest rzeczą naturalną, że obowiązek opieki nad spuścizną emigracji spoczywa na polskiej administracji.

Piotr DASZKIEWICZ

Nadane nowości wydawnicze

- KOBYLIŃSKI (Anatol). *Wędrowki Pana Anatola*. Ilustracjami opatrzył Szymon Kobylński. Str. 234, (6), il. Wyd. Oficyna Wydawnicza AGAWA, Warszawa 1996.
- HUTNIKIEWICZ (Artur). *To co najważniejsze*. Trzy eseje o Polsce. Str. 75. Wyd. Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne. Bydgoszcz 1996.
- LEGIERSKI (Michał). *Modernizm Witolda Gombrowicza*. Wybrane zagadnienia. Str. 460. Wyd. Almqvist & Wiksell International, Sztokholm 1996.
- HURWIC-NOWAKOWSKA (Irena). *Żydzi polscy (1947-1950)*. Analiza więzi społecznej ludności żydowskiej. Str. 185. Wydawnictwo Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 1996.
- RADZYMIŃSKA (Józefa). *Magnificat czyli Hymn Życia*. Str. 95. Oficyna Literacka PATRIA, Warszawa 1996.
- LAUB (Gabriel). *Man kann's auch positiv sehen*. Str. 184. Wyd. Langen Müller, München 1996.
- Klub Logofagów*. Wspomnienia. Zebrał, opracował i uzupełnił wprowadzeniem Andrzej Rozmarynowicz. Str. 130. Nakładem ZNAK, Kraków 1996.
- Stadtgeschichte oberschlesiens*. Studien zur Städtischen Entwicklung und Kultur einer Ostmitteleuropäischen Region vom Mittelalter bis zum Vorabend der Industrialisierung. Str. 336. Wyd. Gebr. Mann Verlag, Berlin 1995.
- ZIĘTKIEWICZ (Grzegorz). *Polen in Berlin. Polacy w Berlinie*. Historia i dzień dzisiejszy. Str. 76. Berlin 1994.
- Teki Historyczne*. Cahiers d'Histoire – Historical Papers. Tom XXI, Wyd. Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii, Londyn 1994-1995. Str. 384.
- Białoruskie Zeszyty Historyczne*. Nr 2(4). Str. 170. Wyd. Białoruskie Towarzystwo Historyczne, Białystok 1994.
- Białoruskie Zeszyty Historyczne*. Nr 1(3). Str. 214. Wyd. Białoruskie Towarzystwo Historyczne, Białystok 1995.
- Białoruskie Zeszyty Historyczne*. Nr 2(4). Str. 217. Wyd. Białoruskie Towarzystwo Historyczne, Białystok 1995.
- Białoruskie Zeszyty Historyczne*. Nr 1(5). Str. 176. Wyd. Białoruskie Towarzystwo Historyczne, Białystok 1996.
- Wiadomości i okolice*. Szkice i wspomnienia. Tom 2. Seria Archiwum *Wiadomości*. Redakcja i opracowanie Mirosław A. Supruniuk. Str. 318. Wyd. Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 1996.
- JUDYCKI (Agata et Zbigniew). *Les Polonais en France*. Dictionnaire biographique, Vol. I. Str. 348. Editions Concorde, Paris 1996.
- CHORUŻY (Wiesław). *Białoruski drugi obieg w Polsce 1981-1990*. Str. 146. Wyd. Białoruskie Towarzystwo Historyczne, Białystok 1994.
- Sporne postaci polskiej literatury współczesnej*. Kontynuacja. Pod redakcją Aliny Brodzkiej i Lidii Burskiej. Str. 245. Wyd. Instytutu Badań Literackich PAN, Warszawa 1996.
- GUZ (Jacek). *Geny*. Str. 70. Lubelska Oficyna Wydawnicza, Lublin 1995.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

30.7.96

Łotwa zaproponowała Kazachstanowi udostępnienie swoich portów nad Bałtykiem. W ogóle Łotwa podejmuje energiczne starania o zdobycie pozycji czołowego przewoźnika morskiego na Morzu Bałtyckim, proponując korzystne warunki b. sowieckim republikom. Ponadto Kazachstan chciałby włączyć łotewskie przedsiębiorstwa budowlane do tworzenia infrastruktury dla nowej stolicy Kazachstanu Akmoły. A gdzie jest nasz Budinex?

6.8.96

Zmarł w Warszawie w wieku 95 lat Władysław Sieroszewski „Sabała”. W czasie wojny był szefem Służby Sprawiedliwości Okręgu Warszawskiego AK.

2.9.96

W Gdyni miał miejsce zorganizowany po raz drugi Przegląd Ukraińskich Filmów Fabularnych. W ramach przeglądu Związek Ukraińców w Polsce zorganizował wystawę ukraińskiej prasy filmowej oraz kiermasz wydawnictw muzycznych. Ponadto na Uniwersytecie Gdańskim zorganizowano sympozjum „Polska – Ukraina. Spotkanie kultur”.

3.9.96

Wybitny pisarz białoruski Sokrat Janowicz został odznaczony przez Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Polonia Restituta.

10.9.96

W warszawskiej Zachęcie została otwarta wystawa sztuki Estonii, Litwy i Łotwy, obejmująca okres ostatnich 50-ciu lat. Wystawa jest tak duża, że obejmuje wszystkie sale Zachęty i część sal w Centrum Sztuki Współczesnej w Zamku Ujazdowskim. Realizacja tej wystawy jest zasługą p. Andy Rottenberg dyrektorki Zachęty. W ramach wymiany pojedzie w przyszłości do wymienionych krajów wystawa sztuki polskiej z tego samego okresu. Niedawno Centrum Sztuki Współczesnej urządziło pokazy sztuki Ukrainy i Białorusi.

13.9.96

Zmarł w Warszawie w wieku 69 lat Wiktor Woroszyński, poeta, prozaik, tłumacz, autor wielu książek dla młodzieży. Wspomnienia o nim zamieścimy w następnym numerze.

14.9.96

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Aleksander Kwaśniewski

spotkał się z uczniami uczestniczącymi w polsko-niemieckiej wymianie młodzieży między szkołami (Ernst-Abbe-Oberschule w Berlinie i Zespół Szkół Poligraficznych w Warszawie). Program wymiany jest dofinansowywany przez Polsko-Niemiecką Współpracę Młodzieży (*Jugendwerk*), której oba rządy w umowach z 1989 i 1991 roku przekazały swoje kompetencje w zakresie wspierania wymiany młodzieży. W latach 1993-1995 w ramach Polsko-Niemieckiej Współpracy Młodzieży wzięło udział w wymianie szkolnej i pozaszkolnej około 176 tysięcy młodych ludzi. Ocenia się, że w 1996 r. w liczba uczestników osiągnie prawdopodobnie 80 tysięcy.

17.9.96

W Gdańsku miał miejsce festiwal „Nowa Litwa” prezentujący sztukę, teatr i film lat 90-tych, zorganizowany przez Nadbałtyckie Centrum Kultury Macieja Nowaka.

20.9.96

Zygmunt Kubiak, eseista i krytyk literacki, otrzymał nagrodę literacką im. Stanisława Vincenza.

ZACHÓD – EMIGRACJA

23.8.96

Zmarła w Genewie w wieku 72 lat Maria z Rogozińskich Estreicherowa, bardzo czynna działaczka społeczna. M.in. zainicjowała ona organizację „Pro Polonia” o profilu humanitarnym, która miała również na celu organizowanie polsko-szwajcarskiej wymiany kulturalnej.

5.9.96

W Galerii Baggen w Sztokholmie została otwarta wystawa malarska Kristiny Redz-Radziejowskiej.

7.9.96

Dyrektor Domu Starców Polskiej Fundacji Humanitarnej w Lailly en Val, Marek Szypulski, został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

10.9.96

Jan Nowak-Jeziorański został odznaczony przez prezydenta Billa Clintona Medalem Wolności. Odznaczenie to ustanowił w 1963 r. John F. Kennedy.

23.9.96

Został otwarty XV Uniwersytet Letni zorganizowany przez Wspólnotę Francusko-Polską z udziałem Towarzystwa Histo-

ryczno-Literackiego Biblioteki Polskiej. Przemówienie inauguracyjne wygłosił ambasador RP we Francji prof. Stefan Meller. W czasie trwania Uniwersytetu Letniego wygłoszono m.in. następujące odczyty: René Remond – *La France et la construction européenne*, Hervé Lavenir de Buffon – *Perspectives pour l'Europe politique et culturelle*, André du Couëdic – *Bonaparte, la Restauration de la religion catholique et le concordat*, M.C. Pierre Zaleski – *L'énergie nucléaire: un enjeu pour l'humanité*, Krzysztof Rutkowski – *Mickiewicz et les Français*.

24.9.96

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbył się odczyt prof. UW, Karola Modzelewskiego, pt. „Culte et justice – lieux des assemblées tribales germaniques et slaves”.

25.9.96

W Instytucie Polskim w Paryżu odbył się recital Wojciecha Młynarskiego.

26.9.96–27.9.96

W Fundacji Kościuszkowskiej i w Columbia University w Nowym Jorku odbyło się międzynarodowe kolokwium poświęcone Józefowi Wittlinowi. Było ono przygotowane przez p. Annę Frajlch-Zajac. Omówienie kolokwium zamieścimy w następnym numerze *Kultury*.

27.9.96

W Levallois koło Paryża została otwarta wystawa polskiej sztuki współczesnej zorganizowana przez Association „Itinéraires”. ■ Adam Czerniawski został powołany na stanowisko Kustosza International Writers' Retreat w Hawthornden Castle w Szkocji.

23.9.96

Muzeum Bourdelle w Paryżu zorganizowało we współpracy z Muzeum Narodowym w Warszawie i Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie wystawę poświęconą działalności artystów polskich w Paryżu w okresie 1900-1918.

WYKAZ KSIĄŻEK „BIBLIOTEKI KULTURY”

	Stron	F.
Anderman, J.: <i>Kraj świata</i>	75	50,00
Beauvois Daniel: <i>Polacy na Ukrainie 1831-1863</i> (Szlachta polska na Wołyniu, Podolu i Kijow- szczyźnie)	296	120,00
Bereś W. i Burnetko K.: <i>Tylko nie o polityce</i>	128	70,00
Bieńkowska, D.I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Brandys, K.: <i>Miesiące 1985-1987</i>	192	80,00
Braun, K.: <i>Pomnik</i>	110	65,00
Broński, M.: <i>Teksty i preteksty</i> (Eseje literackie)	272	75,00
Brzeziński, Zb.: <i>Wielkie bankructwo</i>	286	145,00
Bugajski, R.: <i>Przestuchanie</i>	112	45,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czerniawski, A.: <i>Wiek złoty</i> (Poezje)	64	25,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura</i> (1958- 1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), Działal- ność wydawnicza (1959-1973)	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura</i> (1974- 1980), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1974-1980), Działal- ność wydawnicza (1974-1980)	310	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura</i> (1981- 1987), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1981-1987), Działal- ność wydawnicza (1981-1987)	342	150,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Giełżyński, W.: <i>Budowanie Niepodległej</i>	336	100,00
<i>Głos</i> („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956)	304	75,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)	256	70,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)	221	60,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. II, <i>Trans-Atlantyk</i>	130	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. XI, <i>Wspomnienia polskie. – Wędrowki po Argentynie</i>	256	65,00
Grynberg, H.: <i>Życie codzienne i artystyczne</i>	180	50,00
Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i>	160	40,00
Haupt, Z.: <i>Szpica</i> (opowiadania, szkice)	288	120,00
Heller, M.: <i>Maszyna i śrubki. Jak hartował się człowiek sowiecki</i>	286	120,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą</i> (1984- 1988) – t. IV	400	170,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Inny świat</i>	256	85,00

Hertz, Z.: <i>Listy do Czesława Miłosza (1952-1979)</i>	520	160,00
Iwaniuk, W.: <i>Moje strony świata</i>		20,00
<i>Jak z tego wyjść</i> (Seria „Dokumenty”)	80	25,00
Kaczmarek, J.: <i>Wiersze i piosenki</i>	140	45,00
Karpiński, J.: „ <i>Dziwna wojna</i> ”	160	80,00
Karpiński, J.: <i>Taternictwo nizinne</i>	123	55,00
Kisielewski, S.: <i>Podróż w czasie</i>	136	40,00
Koestler, A.: <i>Ciemność w południe</i>	208	70,00
Kowalik, J.: „ <i>Kultura</i> ” 1947-1957. Bibliografia Kultury	392	15,00
Kowalska, J.: <i>Pogranicze</i>	280	80,00
Kraśniewska, W.: <i>Po wyzwoleniu...</i> (1944-1956)	272	95,00
Krzyżanowski, J.R.: <i>Banff</i>	155	75,00
Kuśmierk, J.: <i>Stan Polski</i>	80	30,00
Łobodowski, J.: <i>Dwie książki</i>	108	45,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzwianie miłości</i>	168	24,00
Mickiewicz, A.: <i>Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego</i>	104	25,00
Mioszowski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i> („ <i>Dzieła Zbiorowe</i> ” t. 5)	196	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Kronika</i>	80	45,00
Miłosz, Cz.: <i>Nieobjęta ziemia</i>	148	55,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród Nauk</i> („ <i>Dzieła Zbiorowe</i> ” t. 10)	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje t. I</i> („ <i>Dzieła Zbiorowe</i> ” t. 1)	292	75,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje t. II</i> („ <i>Dzieła Zbiorowe</i> ” t. 2)	240	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje t. III</i> („ <i>Dzieła Zbiorowe</i> ” t. 11)	112	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i> („ <i>Dzieła Zbiorowe</i> ” t. 7)	256	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rodzinną Europą</i> („ <i>Dzieła Zbiorowe</i> ” t. 6)	248	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rok myśliwego</i>	286	145,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad Zatoką San Francisco</i> („ <i>Dzieła Zbiorowe</i> ” t. 9)	174	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Zaczynając od moich ulic</i> („ <i>Dzieła Zbiorowe</i> ” t. 12)	364	120,00
Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy</i> („ <i>Dzieła Zbiorowe</i> ” t. 4)	160	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i> („ <i>Dzieła Zbiorowe</i> ” t. 8)	224	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł</i> („ <i>Dzieła Zbiorowe</i> ” t. 3)	240	60,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mrożek, Sł.: <i>Alfa</i> (Sztuka sceniczna)	84	40,00
Mur, J.: <i>Dziennik internowanego</i>	200	85,00
Newerly, I.: <i>Zostało z uczyty bogów</i>	324	120,00
Nowak B.: <i>Cztery dni Łazarza</i>	146	75,00
Nowakowski, M.: <i>Dwa dni z Aniołem</i>	154	55,00
Nowakowski, M.: <i>Grisza ja Ciebie skążu...</i>	176	70,00
Nowakowski, M.: <i>Karnawał i post</i>	192	85,00
Nowakowski, M.: <i>Happy-End</i>	288	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zabezpieczanie śladów</i>	128	45,00
Orłoś, K.: <i>Historia „Cudownej meliny”</i>	160	70,00
Orłoś, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00

„ <i>Polska polityka zagraniczna 1926-1939</i> ” opr. A.M. Ciencięła na podstawie tekstów min. J. Becka	448	220,00
Pomian, G.: <i>Polska Solidarności</i>	464	120,00
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka</i> w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Prawa Człowieka i Obywatela w PRL (13.12.1981-31.12.1982)</i> . Raport Komisji Helsińskiej w Polsce na Konferencję w Madrycie (Seria „Dokumenty” nr 49)	224	75,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”)	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> . (Seria „Dokumenty”)	288	18,50
Rekulski, A.T.: <i>Czy drugi Katyni?</i>	46	20,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Na Wyspie</i>	168	65,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrytki</i>	200	55,00
<i>Rozmowy niekontrolowane...</i>	246	75,00
Rymkiewicz, J.M.: <i>Umschlagplatz</i>	223	95,00
Rymkiewicz, J.M.: <i>Zmut</i>	288	110,00
Siewierski, H.: <i>Spotkanie narodów</i>	144	55,00
Smoleński, P. (Tomasz Jerz): <i>Pokolenie kryzysu</i>	134	75,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i>	224	25,00
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	80,00
Sylwestrowicz, W.D.: <i>Listy niewysłane</i>	160	70,00
Szczypiorski, A.: <i>Początek</i>	160	65,00
Śląska, E.: <i>Dochodzenie</i>	128	50,00
Tarniewski, M.: <i>Płonie komitet</i>	196	65,00
<i>Teksty cywilne przez Leopolię</i>	176	55,00
Tuszyńska, A.: <i>Rosjanie w Warszawie</i>	122	70,00
Unger, L.: <i>Orzeł i reszta</i>	388	150,00
Wandycz, P.: <i>Polska a zagranica</i>	294	100,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia t. III</i>	527	50,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00

Zamawiających prosimy o doliczenie do należnej kwoty 10% na koszty przesyłki (minimum 15 FF).

APEL DO ŻOŁNIERZY II KORPUSU A PRZEDE WSZYSTKIM DO PAŃ BYŁYCH OCHOTNICZEK APW

Na życzenie redaktora *Kultury*, p. Jerzego Giedroycia, jak też powodowany własną ambicją szperacza, podjąłem się próby ustalenia okoliczności śmierci Ligii Żółkiewskiej-Zołądkowskiej, wpięć świetliczarki, potem siostry szpitalnej PSK, której zwłoki znaleziono w rejonie Ankony – Porto San Giorgio.

Bedę wdzięczny Paniom, które znały Żółkiewską osobiście, względnie o niej słyszały (plotek nie wyłączam, ich konfrontacje prowadzą często do właściwych wniosków), jeśli będą tak uprzejmie przekazać mi cokolwiek w tej sprawie wiedzę. Głównie chodzi o wiadomości dotyczące jej śmierci: jak to tłumaczono, na kogo zwalano winę, jakie były ew. późniejsze echa itp. Zaznaczę, że daty śmierci nie udało mi się ustalić. Z góry też dziękuję.

Kazimierz Zamorski
Höslstrasse 32
D-81927 München

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 4^{ème} trimestre 1996.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

**Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon (33-1) 39-62-19-04**

Fax: (33-1) 39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1996			
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore , 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

**W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.**

**Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)**

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 493

JACEK KRAWCZYK – JANUSZ SZYMAŃSKI

BIBLIOGRAFIA

ZESZYTY HISTORYCZNE Nr 1-110
(1962-1994)

Str. 240

Cena F. 100,00



Tom 495 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO SIEDEMNASTY

zawiera opracowania: A. Ziółkowska-Boehm: *Rozmowa z inż. Zdzisławem Julianem Starosteckim*; T. Dubicki: *Próba ucieczki płk. Becka z Rumunii (20.10.1940) w świetle archiwaliów rumuńskich*; A. Grzywacz: *Polski plan operacyjny „Wschód” a planowanie sowieckie w 1939 r.*; E.J. Feuerman: *Moi lwowscy profesorowie*; A. Lebień: *Zmierzch imperium albo odrodzenie Rosji*; W. Rojek: *Dwa „jaltańskie” raporty ambasadora Kajetana Morawskiego*; R. Bortnowski: *Daniłowski Dietprijomnik*; C. Bielecki: *Teresa Lechnicka-Affeltowicz*; M. Danilewicz Zielińska: *Przeoczony*; B. Berdychowska: *To jest przelom... (Rozmowa z Eugeniuszem Mironowiczem)*; T. Wyrwa: *Na rozdrożu interpretacji najnowszych dziejów Polski*; N. Taylor: *„Kresy” Jacka Kolbuszewskiego*; W. Zajewski: *Zagadki Sejmu Czteroletniego*; A. Friszke: *Sprawa Hanny Rewskiej*; G. Mazur: *Uzbrojenie Armii Krajowej. Stan faktyczny*; K. Tarka: *Polska Hierarchia a Litwini*; M. Rudzki: *Winietki okupacyjne (II). Pacyfikacja Natęczowa i*
LISTY DO REDAKCJI

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 55 F